

Wartość życia

Lubuscy seniorzy – historie opowiedziane



Marzena Stodownik
Krzysztof Wojciechowski

Wartość życia

Lubuscy seniorzy – historie opowiedziane

Słubice, 2007

Publikacja została wydana na zlecenie
Fundacji na rzecz Collegium Polonicum
ul. Kościuszki 1, 69-100 Słubice
www.fundacjacp.org

Idea i nadzór:

Krzysztof Wojciechowski

Kierownictwo projektu:

Monika Kononowicz

Redakcja:

Marzena Słodownik

Korekta:

Katarzyna Buchwald-Piotrowska

Wydawca:

Piktogram Polska

Projekt graficzny i skład:

Tomasz Stefański | stefan@piktogram.com

Fotoedycja:

Adam Czerneńko

Zdjęcie na obwolucie:

Paweł Młodkowski | www.locolot.pl

Druk:

Drukarnia Księży Werbistów

ISBN:

978-83-923762-2-4

Publikacja powstała w ramach projektu „Biografé”,
finansowanego przez rządowy program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich

Słubice, 2007

„Nigdy nie zapominaj najpiękniejszych dni twego życia!
Wracaj do nich, ilekroć w twym życiu wszystko zaczyna się walić.”

Phil Bosmans

Spis treści

Słowo wstępne	9
Rozdział I Dzieciństwo i dom rodzinny	19
Rozdział II Szkolne lata	45
Rozdział III Wojna i wysiedlenia	63
Rozdział IV Młodość i miłość	115
Rozdział V Na Ziemiach Odzyskanych	139
Rozdział VI Pasje i zainteresowania	157
Rozdział VII Lekcje od życia	167
Rozdział VIII Moje życie z MY LIFE	183

Słowo wstępne

Żyjemy być może nie w najlepszym z możliwych światów, ale w najlepszym z dotychczasowych.

Stwierdzenie to razić może swoim optymizmem zwłaszcza wobec tylu kłopotów dnia codziennego, a także najróżniejszych zaburzeń politycznych, lecz obiektywny obraz naszej sytuacji, przynajmniej sytuacji mieszkańców Europy Środkowej, zdaje się ów optymizm usprawiedliwiać.

Po pierwsze – mamy pokój. Rekord pokojowego współżycia w Europie zwany „belle epoque”, czyli lata 1871-1914, został pobity przez epokę po II Wojnie Światowej, trwającą już 62 lata. Istotna jest również treść owych pokojowych czasów. Wówczas militarne rytuały dominowały nad wszystkimi innymi formami komunikacji społecznej. Dziś – po okresie zimnowojennych napięć – dominuje trend do międzynarodowej współpracy.

Po drugie – zdecydowanie wydłuża się ludzkie życie. Jeszcze w połowie XIX wieku ludzie żyli średnio po 45 lat. Dzisiaj przekraczają osiemdziesiątkę. W Polsce wprowadzenie gospodarki rynkowej i demokracji spowodowało istną eksplozję długości życia.¹ Poprawiła się jakość wyżywienia: spadło średnie spożycie ziemniaków i wyrobów mącznych, wzrosło spożycie warzyw i owoców oraz mięsa. Wódka, ów ponury narkotyk, mający odczynić szarość i beznadziejność otoczenia, ustępuje na stołach miejsca lżejszym trunkom. W górę poszły wszystkie inne wskaźniki zamożności – wyposażenie w sprzęt gospodarstwa domowego, samochody, a nawet mieszkania.

Choć niepoliczalne, to jednak zalety wolności są najbardziej widoczne. Swobody demokratyczne oraz swoboda podróżowania i pracy ziściły się w stopniu większym niż można było przewidywać jeszcze 20 lat temu.

Nawet ten, kto przyznaje, iż obiektywnie rzecz biorąc, powody do zadowolenia u członków naszego społeczeństwa są wyraźne, musi przyznać, że nie zostało ono tym samym wprowadzone w stan euforii. Nierówny jest bowiem podział owoców postępu. Są w Polsce warstwy, które odmieniły swoje życie tak radykalnie, że nie różni się ono stylem od życia średnich i wyższych warstw na Zachodzie. Są też wielkie grupy społeczne, które w subiektywnym odczuciu nie tylko na skoku cywilizacyjnym nie zyskały, ale wręcz straciły. Z porównania bowiem, a nie z jakiegokolwiek obiektywnego poziomu dóbr czerpiemy poczucie satysfakcji. Ten, kto ma w zasięgu wzroku lepiej sytuowanych i bogatszych, zawsze będzie odczuwał wewnętrzne napięcie, każące mu

¹ Średnia wartość dalszego trwania życia w chwili urodzenia wynosiła w latach 1985-86 66,9 lat dla mężczyzn oraz 75, 3 lat dla kobiet (GUS 1989: Rocznik statystyczny 1989. Warszawa: Główny Urząd Statystyczny, 58). Wartość ta nie uległa znaczącej zmianie do roku 1995 – 67,6 lat dla mężczyzn oraz 76, 39 lat dla kobiet. W roku 2006 natomiast wynosiła już 70,93 lat dla mężczyzn i 79,6 lat dla kobiet (GUS 2007: Tablice trwania życia 1995-2006. Warszawa: Główny Urząd Statystyczny, dane dostępne na http://www.stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/gus/PUBL_trwanie_zycia_01_lifetables1995-2006.xls).

jakoś się wobec własnego upośledzenia opowiedzieć – aktem pogodzenia i pokory, albo resentymentu bądź nienawiści, czy wręcz buntu. Zresztą pozycja zajmujących szczyty hierarchii społecznej też jest chwiejna. Człowiek jest istotą nienasyconą i każde nowe doświadczenie, każdy nowy bodziec świadczący o istnieniu lepszej jakości życia, wytrąca go z równowagi. W Polsce stan cierpienia podyktowanego świadomością, iż na Zachodzie dzieje się lepiej, jest od wieków permanentny.

I znów odwołajmy się do obiektywnego wymiaru. Nawet jeśli zdystansujemy się wobec wynikających z importowanych potrzeb napięć, to dostrzec musimy, iż w naszym najlepszym z dotychczasowych światów trzeba zająć się kilkoma konkretnymi problemami.

Pierwszy z nich to dalszy rozwój cywilizacyjny Polski. Jego składnikami są zarówno rozwój ekonomiczny, doskonalenie społecznych instytucji i ogólnej sprawności zarządzania społeczeństwem, jak i wychodzenie naprzeciw wyzwaniom globalnym typu migracje, delegacja prerogatyw państwa na twory nadrzędne (np. Unia Europejska) bądź bezpieczeństwo. Drugi to – zdecydowanie – ochrona środowiska. Przemiany środowiskowe, głównie klimatyczne są w stanie wyzwolić zmiany stawiające pod znakiem zapytania dotychczasowy kształt życia w Europie.

Trzeci zaś to szeroko rozumiana witalność naszego, a razem z nim europejskiego, społeczeństwa. Pod tym pojęciem rozumiemy i procesy demograficzne, jakie z nieubłaganą konsekwencją w społeczeństwie polskim zachodzą, i wynikające z nich „predyspozycje socjopsychiczne” tegoż. Na naszych oczach dokonuje się bowiem eksperyment niespotykany w historii ludzkości. Zmienia się cała klasyczna struktura społeczeństwa. Tradycyjna piramida, której podstawę stanowiły najliczniej reprezentowane grupy wiekowe – dzieci i młodzież, znacznie węższy środek – ludzie w wieku średnim, a ostry czubek – osoby starsze, przestaje istnieć w niemal wszystkich społecznościach wysoko rozwiniętego świata. Należy zaznaczyć, iż charakteryzowała ona strukturę wiekową każdego społeczeństwa, niezależnie od szerokości geograficznej i rasy bądź religii. Wszystkie zewnętrzne czynniki jak wojny, epidemie, kataklizmy itp. nadszarpywały co najwyżej jej brzegi, wycinając na nich koniunkturalne karby, lecz nie zmieniały jej istoty. Dzisiaj piramida przekształca się w – przywołajmy wyobraźnię graficzną – „drzewo”, bądź w „grzybek”. Oznacza to, że w perspektywie 30-50 lat liczba dzieci zmaleje do tego stopnia, iż będzie mniejsza aniżeli liczba osób w wieku średnim. Liczba osób dojrzałych i starszych ulegnie natomiast proporcjonalnemu zwiększeniu, czyniąc ze starców najliczniejszą grupę społeczną. Przyczyną tego fenomenu jest oczywiście dobrodziejstwo rozwiniętej cywilizacji: wysoki poziom dobrobytu łącznie z opieką zdrowotną, niesłychana długość życia, brak wojen, a także różnorodność bodźców rozwiniętej cywilizacji, która sprawia iż rodzenie i wychowywanie dzieci staje się zajęciem mało atrakcyjnym. Zmieniające się proporcje demograficzne postawią społeczeństwo przed koniecznością opracowania całego szeregu nowych rozwiązań. Jak bowiem utrzymać dotychczasowy system emerytal-

ny, jeżeli w roku 2002 wartość przeciętnej emerytury w Polsce wypracowywało 5,05 pracownika, bądź dokładniej – osób w wieku produkcyjnym, w roku 2030 będzie to zaś tylko 2,37²? Jak utrzymać istniejące instytucje społeczne, jeśli w 2002 roku młodych, uczących się ludzi było o ok. 5% więcej niż emerytów (17,4%:12,8%), a w roku 2030 osób w wieku nauki będzie ponad dwa razy mniej niż osób w wieku poprodukcyjnym? Czy połowa szkół zostanie przekształcona w domy starców? Zaznaczmy, iż o ile zjawiska dotyczące środowiska mogą, ale nie muszą zarysować się w pełnym kształcie, o tyle procesy demograficzne działają z żelazną konsekwencją. Dzieci, które nie urodziły się w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia, już się nigdy nie narodzą. Natomiast osoby, które urodziły się 30 lat wcześniej, żyć będą zgodnie z nieubłaganą logiką statystyki, aż osiągną przeciętnie 82 lub więcej lat. I gdyby nawet obdarzony niezwykłą perswazją polityki nakłonił obywateli i Polski, i Europy do zajęcia się natychmiast płodzeniem i wychowywaniem dzieci miast karierami i wakacjami za granicą, to i tak dzisiaj spłodzone dzieci przejmą ciężar utrzymywania emerytów dopiero za 30, 40 lat. A poza tym nikt już tylu potomków nie napłodzi, aby odtworzyła się tradycyjna piramida. Rozdęty bowiem kapeluszczyk „grzybka” osób starszych wymagałby dla odtworzenia struktury piramidy w samym polskim społeczeństwie pojawienia się dodatkowych 60-70 milionów ludzi.

Zatem stoimy w obliczu społeczeństwa starców. Czy jest to tragedia? Absolutnie nie. W społeczeństwie starców brakuje co prawda szczytów dzieci, ale pojawia się cały szereg sympatycznych zjawisk. Na przykład spada ilość wypadków drogowych. Spada z tej prostej przyczyny, iż 25% procent wypadków drogowych popełniają młodzi mężczyźni w wieku 18-24 lat, co stanowi zarazem największy wskaźnik liczby wypadków na 10 000 populacji (19,43³). Spadek liczebności tej grupy wiekowej o połowę oznacza spadek o co najmniej połowę ilości zabitych na drogach. Co najmniej, bowiem to interakcje z innymi młodymi wyzwalają ducha junackiego. Obcowanie ze starszymi natomiast wyraźnie młodych ludzi temperuje.

Spadać będzie ogólna tendencja do dokonywania przestępstw. A przynajmniej tych, które związane są ze stosowaniem brutalnej siły fizycznej. Trendy te wyraźne są w krajach o rosnącej przeciętnej wieku. Zmniejszać się będzie również agresywność rozumiana jako zamiłowanie do rytuałów wojennych i gotowość do stosowania państwowej przemocy na skalę międzynarodową. Oczywiście, zjawiska te nie gwarantują wewnętrznego i zewnętrznego pokoju, ale wzmacniają jego prawdopodobieństwo. I byłoby to najbardziej optymistyczne przesłanie naszej analizy, gdyby nie fakt, iż to właśnie ów spadek agresywności oznacza jednocześnie spadek vitalności ogólnej społeczeństwa, który staje się problemem być może większym niż susze i powodzie razem wzięte.

² Dane te zostały opracowane na podstawie raportu GUS (2004): Prognoza ludności Polski do 2030 roku. Warszawa: Główny Urząd Statystyczny. Raport dostępny na stronie http://www.stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/gus/PUBL_prognoza_ludnosci_ogolem.xls

³ Na podstawie: Komenda Główna Policji (2006): Wypadki drogowe w Polsce w 2006r. Warszawa: Biuro Prewencji i Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji, s. 23.

Witalność społeczna jest czynnikiem trudno mierzalnym. Różne aspekty życia grupowego nakładają się na siebie stwarzając problem ich porównywania. Czy miasto, które traci mieszkańców, traci ich z powodu braku miejsc pracy? Czy może z tego powodu, iż jego mieszkańcy utracili wiarę, że mogą zmienić swoje życie? Czy odrzucenie reform gospodarczych przez wyborców podyktowane jest niedoskonałym charakterem tych reform, czy też starczą niewiarą w jakiegokolwiek ich powodzenie? Odpowiadając na te pytania możemy odwołać się wyłącznie do potocznego widzenia świata i zdroworozsądkowej analizy. Wyobraźmy sobie piętrowy dom, w którym mieszkała rodzina z dziećmi. W momencie, kiedy dzieci się wyprowadziły, a rodzice zostali starcami, dom ten staje się praktycznie domem parterowym, ponieważ staruszkowie nie mogą już wchodzić po schodach na piętro. Krąg ich aktywności życiowej tak się zawęża, że wystarczą im 2-3 pokoiki na parterze. Społeczeństwo ludzi starych, które nie będzie umiało dbać o swoją witalność, zatraci w praktyce ogromną część swego dorobku. Dorobku materialnego, kulturalnego i być może terytorialnego...

Zatem, w jaki sposób pogodzić wiek senioralny z witalnością, czyli umiejętnością generowania energii, potrzebnej dla utrzymania cywilizacyjnego i kulturowego dorobku?

Zacznijmy od tego, iż ogólne pojęcie „seniorzy”, które staje się przedmiotem zainteresowania polityki społecznej, powinno i na pewno znacznie rozpaść się na pojęcia bardziej szczegółowe. Kryteria podziału mogą być tutaj różne. Zacniemy zapewne mówić o „młodych seniorach” i „starych seniorach”. Będziemy rozróżniać seniorów zawodowo czynnych i nieczynnych, tych innych podzielimy na „aktywnych” i „odpoczywających”. Wyróżnimy na pewno ogólną kategorię seniorów „potrzebujących”, wśród których jedni będą wymagali dorywczej opieki, inni zaś rozbudowanej opieki stacjonarnej. Zresztą, i treść i brzmienie określeń rozwinie się spontanicznie.

Przeniesienie punktu zainteresowania na seniorów spowoduje również rozwój i wysublimowanie odpowiednich dziedzin nauki od medycyny i psychologii geriatrycznej poczynszyszy, poprzez pedagogikę wieku senioralnego, na dietetyce i kosmetyce skończywszy. Zapewne zacniemy również mówić o „kulturze fizycznej wieku trzeciego” i tworzyć jej specyficzne modele.

Jeśli seniorzy mają się stać w znacznie większym stopniu niż dotychczas źródłem żywotnych sił społeczeństwa, to oczywiście społeczeństwo musi zadbać o ich jakość życia. Jakże mało dzisiaj jest produktów dostosowanych do wieku senioralnego! Niemal żaden z dzisiejszych gadżetów elektronicznych nie posiada guzików, które wyraźnie mogłyby widzieć osłabione oczy, a niezbyt ruchliwe palce wygodnie naciskać. Niemal żadna dziedzina usług społecznych (komunikacja publiczna, system obsługi petentów w urzędach, oświata, bezpieczeństwo publiczne) nie jest w pełni dostosowana do potrzeb seniorów. Wciąż jeszcze przy wszelkiego rodzaju okienkach trzeba stać, a wyobrażenie, iż przy normalnej szosie będzie zarezerwowany pas, na

którym jechać można z prędkością maksymalnie 60 km/h jest dokładnie odwrotne od tego, czego pragniemy, czyli samych pasów, po których można pędzić 160 km/h. Tutaj społeczeństwo europejskie, a szczególnie polskie, będzie musiało wiele rzeczy przemyśleć i wykonać na nowo.

Aktywność seniorów musi obejmować duże obszary klasycznej aktywności zawodowej społeczeństwa. Podnoszone zatem muszą być szanse zawodowe i dokonana akceptacja rynku pracy dla potrzeb seniorów. Trzeba dostosować jej prawne ramy, tworzyć miejsca pracy chronionej pod kątem konstytucji fizycznej i psychicznej ludzi starszych. Praca musi przenosić się do domów lub być wykonywana w sprzyjających dla zdrowia warunkach. Czy strażnikiem miejskim, który chodzi po mieście, pilnuje porządku, wypisuje mandaty dla źle parkujących aut i upomina właścicieli sklepów, by pozamiatali przed własnym progiem, musi być młody „byczek”, który z jednej strony nudzi się jak mops, a z drugiej prowokuje zachowania agresywne. Czy nie lepiej sprawdziłby się senior, mający znacznie lepsze wyczucie porządku oraz umiejący rozmawiać z ludźmi bez wzbudzania agresji? Seniorzy oczywiście będą musieli być szkoleni w nowoczesnych technikach pracy, takich jak techniki komputerowe, nowe formy pracy zespołowej, nowe formy komunikacji itp.

Zwiększenie aktywności zawodowej oraz poszerzenie liczebne grupy seniorów spowoduje wzrost jej znaczenia ekonomicznego. Mimo, iż emerytury zapewne nie będą wysokie, powinien powstać i powstanie duży rynek ofert spędzania czasu wolnego, od podróży po kursy malowania na jedwabiu.

Kursy są tutaj hasłem wywoławczym całego ogromnego zagadnienia, które w Polsce nigdy nie było traktowane z należytą uwagą, mianowicie kształcenia ustawicznego. System oświaty i szkolnictwa wyższego kończy się na doktoracie. Najpóźniej w wieku dwudziestu kilku lat Polak traci kontakt z publicznymi instytucjami kształceniowymi i jeśli się doksztalca, to pod presją pracodawcy, na wolnym rynku (za duże pieniądze) lub w stowarzyszeniach. Przekonanie o potrzebie ustawicznego kształcenia, a przynajmniej utrzymywania kontaktu z aktywnością intelektualną w trakcie trwania całego życia, jest w naszej kulturze bardzo słabo rozpowszechnione. W innych krajach jest natomiast jedną z elementarnych potrzeb ludzkich. Na Zachodzie wykształciły się nawet kategorie socjologiczne, które opisują ludzi nieustannie kształcących się. Przykładem może być tu niemieckie „Bildungsbürgertum”, słowo określające osoby posiadające mieszczański zawód (rzemieślnik lub robotnik wykwalifikowany, pracownik umysłowy, przedstawiciel wolnego zawodu itp.), które uczęszczają systematycznie na odczyty, koncerty, biorą udział w lokalnych wydarzeniach kulturalnych oraz same wnoszą w nie aktywny wkład na miarę swoich możliwości i umiejętności. Stwarzają w ten sposób w swoim miasteczku lub dzielnicy miasta środowisko podtrzymujące szeroko rozumiane życie kulturalne i intelektualne. O tym, że seniorom może przypaść szczególna rola w kreowaniu podobnych zjawisk w Polsce, niech świadczy fakt, iż już dzisiaj spontanicznie uzupełniają luki państwo-

wego systemu oświaty. Mam na myśli np. istniejące w wielu miastach, działające na prawach stowarzyszeń, Uniwersytety Trzeciego Wieku, tworzące jakby drugi filar mostu, którego przeszło w postaci systemu kształcenia ustawicznego dopiero musi być przerzucone.

Seniorzy oczywiście nie mogą żyć w społecznej próżni. Mimo iż będą stanowić wyrazistą grupę ze specyficznymi potrzebami i statusem, powinni być jak najgłębiej zintegrowani z innymi grupami wiekowymi. Chodzi tu zarówno o wielopokoleniowy model rodziny, który został w ostatnim czasie rozbity przez mobilność społeczeństwa, a także przez opiekę społeczną i „wygodnictwo” dzieci i wnuków, a który może być restytuowany dzięki nowoczesnym środkom komunikacji elektronicznej. Chodzi tu także o „pomost generacyjny” między najstarszym i najmłodszym pokoleniem, który może nie tylko transportować deficytową dzisiaj wiedzę o prawdziwym obliczu historii, ale także stanowić – jako opieka najstarszych nad najmłodszymi – uzupełnienie istniejącego, państwowego systemu wychowawczo-oświatowego.

Nawet jeśli uda się uwolnić duże zasoby energii u ludzi starszych i skierować je ku głównemu nurtowi społecznego życia, to część z niej będzie musiała być przeznaczona na potrzeby własne. W najbogatszych krajach już dzisiaj widać, że standardy opieki wypracowane w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, w latach burzliwego wzrostu ekonomicznego i dużej kumulacji kapitału, nie są możliwe w dzisiejszym społeczeństwie do utrzymania. Bezpłatne lub niskopłatne domy starców z pełną, całodobową opieką, będą w przyszłości dostępne albo dla najlepiej sytuowanych, albo dla marginalnej liczby szczególnie ciężkich przypadków. System opieki państwowej, który zresztą w Polsce nawet dzisiaj jest cząstkowy i słabo rozwinięty, będzie musiał być uzupełniony sieciami opieki wzajemnej. Przykrą sprawą jest, iż o takich rzeczach, jak opieka wzajemna, opieka sąsiedzka lub opieka przyjacielska, trzeba mówić jako o rzeczach, które należy dopiero wprowadzić. Wszystko to przez tysiące lat były formy towarzyszące nieodłącznie ludzkim zbiorowościom. Formy te funkcjonowały skutecznie i jeśli mają być restytuowane, to rzeczywiście seniorzy jako ci, którzy jeszcze zaznali wagi elementarnych więzów międzyludzkich, wydają się do tej restytucji być powołani. Być może rzeczywiście uda się dzięki seniorom zaszczerpić nieco więcej ducha wspólnoty w dzisiejszym atomizowanym społeczeństwie. Nie jest wykluczone również, że to właśnie w społeczności seniorów zostaną „przetestowane” nowe rozwiązania prawne dla tych form partnerstwa, które uzupełniają tradycyjny model rodziny. Dwójka seniorów bowiem, która ma przed sobą dziesięć lat życia nie będzie na pewno dążyć do zawierania małżeństwa i regulowania kwestii majątkowych, bo majątek przeznaczyła dla dzieci i wnuków. Ale będzie zależało jej na wspólnotce prawnej, jaka charakteryzuje małżeństwo i jaka przydaje się w chwilach choroby, niemocy, czy w innych skrajnych sytuacjach egzystencjalnych. Być może dzięki seniorom uświadomimy sobie, że równie ważną, jak płodzenie dzieci,

treścią związku dwojga ludzi jest wzajemna pomoc, solidarność, wsparcie duchowe i „usługi”, których nigdy nie wykona w zadawalający sposób nawet najlepiej zorganizowane państwo.

Zatem i nas i seniorów, a raczej wszystkich, bowiem wszyscy w pewnym momencie staniemy się seniorami, czeka ogrom zadań. Skąd brać na nie siły? Pytanie to tylko na pozór jest naiwne bądź retoryczne, społeczeństwo polskie bowiem jest, niestety, przykładem społeczeństwa, którego członkowie wraz z postępującym wiekiem bardzo tracą siły vitalne. Wiek przechodzenia na emeryturę jest w Polsce jednym z najniższych w Europie⁴ i wciąż jeszcze wczesna emerytura traktowana jest jako dobro. Wiele grup zawodowych walczy o nią usilnie, nie zdając sobie sprawy, iż piłuje gałąź, na której siedzi i całe społeczeństwo, i one same. Niesłuchanie wysoka jest również w Polsce ilość rencistów (10%, w Irlandii 2,7%). Te i szereg innych czynników sprawia, iż niski jest w Polsce współczynnik aktywizacji zawodowej, czyli inaczej mówiąc – duża grupa ludzi, którzy nie wykonują żadnych czynności przyczyniających się do rozwoju bądź utrzymania społeczeństwa. Jeśli procesy demograficzne powiększą automatycznie rozmiary tej grupy, to Polska może pożegnać się z jakimikolwiek perspektywami wzrostu bądź dobrobytu.

Przepis na generowanie energii społecznej jest oczywiście przepisem na kamień filozoficzny. Ktoś, kto by go posiadał, byłby w stanie uczynić w ciągu kilku lat z Afganistanu drugą Japonię. W rzeczywistości stymulowanie aktywności, a zatem energii społecznej, to cały system rozstrzygnięć prawnych, stymulacji ekonomicznej, zręcznych socjotechnik politycznych oraz promocja określonych treści kulturowych. Miejmy nadzieję, że dzisiejsi i przyszli rządzący Polską sięgną po jak najwięcej środków z całej palety.

Ale wśród tychże środków jest jeden, który nic nie kosztuje i który w skuteczności swej potrafi przewyższyć takie metody jak nakaz prawny lub nagroda pieniężna. Jest to poczucie wartości własnej. Ludzie, którzy są przekonani, że są coś warcni, że życie ich ma sens, i że ów sens i wartość dostrzegają inni, potrafią osiągnąć bardzo wiele. Poczucie wartości własnej – pokazują to badania psychologiczne i medyczne – w sposób wyraźny i pozytywny wpływa na stan zdrowia oraz przedłuża życie. Poczucie wartości i sensu może wydobyć człowieka z najgłębszej opresji⁵. Może zmobilizować go do ogromnych wysiłków i wytrwałych działań. Jest ono zatem

⁴ Oficjalny wiek emerytalny wynosi w Polsce 65 lat i jest najwyższy spośród państw naszego regionu. Jednakże rzeczywisty średni wiek emerytalny w naszym kraju jest najniższy (57 lat). W porównaniu, w Estonii wynosi on 65 lat, na Litwie 63 lata a w Czechach lat 61 (Maciejewicz, P. 2007: „Polska, kraj gdzie krótko się pracuje”. W: Gazeta Wyborcza, 28 września, s. 31).

⁵ Istnieje cały szereg prac psychologów, które pokazują na różnych obiektach, począwszy od szczerów, na człowieku skończywszy, iż sens i wartość generują ogromne zasoby sił. Jednym z najbardziej znanych jest książka Viktora Frankla, który był więźniem Oświęcimia. Pokazuje on wyraziście, jak ci którzy umieli odnaleźć sens w straszliwej i beznadziejnej oświęcimskiej rzeczywistości i przez niego nadać swemu życiu wartość, mogli przy odrobinie szczęścia przetrwać piekło. Zob. Frankl, V. (1962): Psycholog w obozie koncentracyjnym. Warszawa: PAX.

najlepszą witaminą i to witaminą, którą można wygenerować przyjaznym gestem, mądrym słowem i chwilą życzliwej uwagi.

Istniejąca od 2002 roku w Słubicach Fundacja na Rzecz Collegium Polonicum postawiła sobie za cel dać jak największej liczbie starszych ludzi, zamieszkałych w powiecie słubickim i jego okolicach właśnie ową witaminę. Ruch, który Fundacja inicjuje i realizuje w postaci rozlicznych projektów, nazwany został My Life (Moje Życie). Sednem jest spisywanie, wydawanie w formie albumu oraz archiwizowanie historii życia przedstawicieli najstarszego pokolenia. Trwałym produktem ruchu jest Archiwum Ludzkich Losów, istniejące przy Collegium Polonicum, w którym znajduje się w tej chwili już prawie 1000, mniej lub bardziej wyczerpujących, biografii. Wokół tego ruchu skupia się cały szereg mniejszych, lecz nie mniej ważnych inicjatyw – szerzenie kultury wywiadu biograficznego i kultury obchodzenia się z biografiami, przerzucanie pomostów międzypokoleniowych (projekty, w których przedstawiciele najmłodszego pokolenia przeprowadzają wywiady biograficzne ze swoimi dziadkami), przerzucanie pomostów między narodami (Fundacja posiada zarejestrowane we Frankfurcie nad Odrą partnerskie stowarzyszenie „My Life – Erzählte Zeitgeschichte e.V.”, razem z którym gromadzi biografie niemieckie oraz poprzez tłumaczenia i spotkania otwiera oczy na historię życia sąsiadów), organizowanie różnych form spędzania czasu wolnego dla seniorów (spotkania, wieczorki dyskusyjne i taneczne itp.) oraz realizowanie różnych form kształcenia seniorów. Fundacja współpracuje intensywnie z Uniwersytetami Trzeciego z Gorzowa i Zielonej Góry oraz ich filiami w mniejszych, okolicznych miastach.

Spisywanie biografii, którego sednem jest wywiad biograficzny, czyli wielogodzinna rozmowa, w trakcie której senior opowiada swoje życie, ma już dla samych biorących w nim udział osób duże znaczenie. Z reguły jest tak, że udzielający wywiadu po raz pierwszy w swoim życiu opowiada jego przebieg w sposób spójny i w jednym kawałku. Już przy tym odkrywa, że obok tych rzeczy, które wielokrotnie opowiada rodzinie, musi wydobyć z pamięci i włączyć w tok narracji sprawy, o których niemal zapomniał, a które konieczne są dla utrzymania spójności opowieści. Zatem opowieść biograficzna rekonstruuje. Opowiadający zbliża się również do prawdy. Nie musi on opowiadać o życiu ze wszystkimi, również kompromitującymi detalami, ale – to mówią jednoznacznie wieloletnie doświadczenia My Life – unika mitów i grubych przeinaczeń. Nawet jeśli w jednym momencie opowieści zdarzy mu się oddalić od prawdy o spory kawałek, to w innym momencie odczuwa potrzebę usprawiedliwień i ekspiacji powodując, iż wahadło interpretacji odsuwa się w drugą stronę tak samo daleko. Już te dwa momenty pozwalają słuchającemu, a potem czytelnikowi, wyczuć, gdzie leży prawda. Opowiadający ma również prawo wyrazić wszystkie poglądy i wszystkie postawy, jeśli były faktycznymi poglądami i postawami w czasie trwania jego życia. Rolą prowadzącego wywiad jest otoczyć owe poglądy akceptującą opieką lub przynajmniej przyjąć je do neutralnej wiadomości.

W tym sensie z biografii wydziela się tyle wartości, ile tylko może się z niej wydzielić. Te trzy czynniki: pełniejsza wiedza, głębsza prawda i większa wartość współgrają sprawiając, iż senior podnosi o kilka punktów poczucie wartości własnej. Możliwość rozprawienia ładnie wydanej biografii wśród członków rodziny i przyjaciół oraz fakt, że biografia ta spoczywać będzie zawsze w Archiwum Ludzkich Losów sprawia, iż owych kilka punktów lepszego samopoczucia ma charakter trwały.

Pomysłodawcy i realizatorzy projektu My Life, a wśród nich redaktorzy niniejszej książki oraz Anna Prażanowska, Monika Kononowicz, Susanne Maletzki, Helga Grune i inni przedkładają Czytelnikowi, władzom regionu oraz społeczności województwa lubuskiego niniejszy tom. Powstał on w latach 2006-2007 na zakończenie projektu „Biografie”, w ramach którego oprócz całego szeregu zajęć, warsztatów, kursów i spotkań z seniorami, spisanych zostało 30 biografii. Podzieliliśmy je na obszary tematyczne i prezentujemy w niniejszej publikacji. Są to ludzkie losy, czasami zwykłe, czasami zadziwiające, czasami spokojne, czasami dramatyczne. Ale prosimy, żeby Czytelnik podczas lektury pamiętał, że nie tylko zaznajamia się z historiami życia sąsiadów, ale także otwiera okno na krajobraz, w którym na pierwszym planie są historyczne fakty, na drugim głębokie wymiary ludzkiej egzystencji, a na dalszym nie przeszłość lecz przyszłość społeczeństwa, które musi mierzyć się z coraz nowymi wyzwaniami.

Krzysztof Wojciechowski

GUS (1989): Rocznik statystyczny 1989. Warszawa: Główny Urząd Statystyczny

GUS (2004): Prognoza ludności Polski do 2030 roku.
Warszawa: Główny Urząd Statystyczny.

GUS (2007): Tablice trwania życia 1995-2006. Warszawa: Główny Urząd Statystyczny

Komenda Główna Policji (2006): Wypadki drogowe w Polsce w 2006r.
Warszawa: Biuro Prewencji i Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji.

Maciejewicz, P. (2007):
„Polska, kraj gdzie krótko się pracuje”. W: Gazeta Wyborcza, 28 września, s. 31.

Frankl, V. (1962): Psycholog w obozie koncentracyjnym. Warszawa: PAX.



Rozdział I

Dzieciństwo i dom rodzinny

Są chwile, które w pamięci pozostają na zawsze... W życiu każdego człowieka są momenty, które kształtują jego charakter. Takie, do których się wraca i wiele razy przeżywa na nowo...

Smak dzieciństwa... Jego zapach, kształt... Magia dziecięcych wspomnień. Obrazy, które na zawsze w nas pozostają. Każdy przeżywa je w inny sposób, inaczej je odczuwa, ale dla wszystkich jest to najważniejszy czas w życiu. Czas, który nas modeluje, kształtuje nas i naszą osobowość. Każdy ma swoją, indywidualną historię. Każda z nich jest inna, niepowtarzalna, ale jakże wspaniała.

O tym, w jaki sposób dzieciństwo wpływa na życie człowieka, możemy się przekonać, czytając zamieszczone poniżej fragmenty biografii. Są to historie osób, które opowiedziały nam swoje życie.

„Ochronka” u zakonnice

Mieszkaliśmy we wsi Słaboludź. W naszej wsi było przedszkole prowadzone przez zakonnice. Wtedy na przedszkole mówiono „ochronka”. Siostry uczyły nas plastyki i prac ręcznych. Były gry i zabawy, uczyliśmy się piosenek i wierszyków. Kiedyś przyjechał do nas biskup. Miałam ten zaszczyt i recytowałam wiersz dla gościa. W maju, podczas nabożeństw, sypaliśmy kwiatki przed kościołem. Miałam śliczną białą sukienkę, którą codziennie prała mi babcia. Na szyi nosiłam koszyczek z kwiatkami. Przed Świętami Bożego Narodzenia przygotowywaliśmy jasełka. Uczyliśmy się też tańczyć krakowiaka. Mieliśmy piękne, kolorowe stroje. Jeździliśmy do pobliskich miejscowości, gdzie prezentowaliśmy nasze taneczne umiejętności ku uciesze zgromadzonej widowni.

Bawiłam się z dziećmi mieszkającymi w naszej wsi. Zbieraliśmy się i razem bawiliśmy w „berka” i w „śluby”. Dziewczynka, która była panną młodą, zakładała na głowę welon zrobiony z powoju. Chłopcy zbierali gałęzie i udawali orkiestrę. Para młoda przechadzała się, udając, że idzie do ołtarza. Jeden z chłopców zakładał na ramiona prześcieradło i odgrywał rolę księdza. Bawiliśmy się też w sklep. Używaliśmy pieniędzy zrobionych z papieru. Chłopcy jeździli na „fajerkach”. Używali starych kółek od kuchni, które były połączone drutem.

Bawiłam się lalkami z drewna, wystruganymi przez dziadka. Babcia kupiła mi kiedyś lalkę – małego, nagiego murzynka. Byłam bardzo szczęśliwa. Szyłam dla niej sukienki.

Przed Świętami Bożego Narodzenia przygotowywałam łańcuszki z bibułki i słomy. Robiłam też koszyczki z pudełek po zapałkach, które oklejało się kolorową bibułą. Do pracy używaliśmy kleju zrobionego z mąki. Choinkę przystrajaliśmy także bombkami, piernikami, jabłkami, orzechami i cukierkami, które mama kupowała w sklepie.

Panią dziedziczkę nazywaliśmy Jaśnie Pani. Gdy miała imieniny, dzieci z „ochronki” w towarzystwie siostry zakonnej pojechały wozem do pałacu. Tam śpiewaliśmy dla Pani piosenki i recytowaliśmy wierszyki. Jaśnie Pani bardzo ucieszyła się z naszego przyjazdu. Poczęstowała wszystkie dzieci cukierkami.

Słaboludź była majątkiem dziedzica. Pan dziedzic miał piękny pałac. Wokół pałacu był las. Dookoła budynku znajdowały się klomby pełne pięknych, kolorowych kwiatów. Państwo mieli dziewięcioro dzieci. Pani zatrudniała mamki do karmienia. Jeżeli któraś z pracownic w majątku miała dziecko, była młoda i zdrowa, pani zabierała ją do zamku. Mamka karmiła dziecko swoje i dziedziczki. W pałacu pracowa-

ło wiele osób. Były pokojówki, kucharze, ogrodnicy i stangret, który woził państwa karetą. Wokół majątku były cztery długie budynki, które nazywały się czworaki. W każdym mieszkało osiem rodzin. Mieszkaliśmy w jednym pokoiku, w którym podłoga była z gliny. W mieszkaniu był też korytarz i komórka na przechowywanie żywności. Nie było światła, w domu używaliśmy lampy naftowej. Jedna studnia musiała wystarczyć dla wszystkich mieszkańców.

Kiedy rodzice pracowali, zajmowali się mną dziadek, Andrzej Pomorski, tata mojej mamy i jego druga żona, babcia Bronisława. Dziadek był cenionym pracownikiem w majątku. Był brygadzystą, chociaż nie umiał czytać i pisać. Gdy przeszedł na emeryturę, dziadec kazał zrobić u dziadków podłogę z drewna. Chciał pomóc, gdyż dziadek chorował na reumatyzm. U dziadków było mi dobrze, bardzo dbali o mnie.

Podczas wakacji jeździłam do Konina, do mamy siostry. Ciocia była moją chrzestną. Miała trzech synów: Zenka, Bogdana i Stefana. Miała też córeczkę, która zmarła, gdy miała cztery latka. Bardzo lubiłam ciocię i kuzynów. Miło wspominałam tamte wakacje. Kąpaliśmy się w Warcie, łowiliśmy ryby. Musieliśmy też paść kozy na łące. (...)

Dziadek Andrzej często opowiadał mi historie ze swojego dzieciństwa. Gdy był małym chłopcem, żyło się bardzo skromnie. Dzieci miały jedną parę butów, o które trzeba było bardzo dbać. Kiedy buty się zdzierały, podbijano je drewnianą podeszwą. Najgorzej było zimą. Dzieci chciały się ślizgać na lodowisku. Mój dziadek też chciał, ale jego tata, a mój pradziadek, zabronił mu chodzić na ślizgawkę. Nie chciał, żeby syn zniszczył buty. Ale dziecko zawsze znajdzie sposób, żeby postawić na swoim. Powiedział do rodziców: „Nie pozwalacie mi założyć butów, to pójdę boso”. Pobiegł na górkę. Próbował zjechać po lodzie, ale nogi przymarzły mu do podłoża. Zrezygnował i wrócił do domu.

Dzieci same znajdowały pomysły na zabawę. W drodze powrotnej ze szkoły zjeżdżały z górki na tornistrach, które wykonane były z tektury.

Dziadek był analfabetą. Żył w czasach zaboru rosyjskiego. Nie było polskich szkół. Jako dorosły człowiek pojechał do Poznania. Zapytał przechodzącego młodego człowieka: „Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest toaleta?” A on mu odpowiedział: „Tam jest napisane”. I poszedł. Dziadkowi zrobiło się strasznie przykro. Pomyślał wtedy: „Muszę pomóc wykształcić się moim dzieciom. Powinny umieć pisać i czytać”. W wiosce, w której mieszkał dziadek, był mężczyzna, który potrafił czytać i pisać. Wszystkie dzieci przychodziły do niego, żeby się uczyć. Za naukę trzeba było płacić. Ale dziadek nie żałował pieniędzy na naukę.

U Pana Boga za piecem

Ze względu na ciężkie warunki, przeprowadziliśmy się z krakowskiego do Wielkopolski. Było to w roku 1937. Zamieszkaliśmy w małej miejscowości, w Zalesiu, w województwie poznańskim. Tu urodził się mój brat Marian.

Mieliśmy piękny domek, który wyglądał jak pałacyk. Miał ładną, dużą werandę z filarami, która wyłożona była terakotą. Przy domu był mały ogródek. Domek był jednak bardzo zniszczony, a moi rodzice nie mieli pieniędzy na remont.

Ten pałacyk znajdował się pośrodku miejscowości. Przez Zalesie płynęła struga, był też piękny park. Miejscowość nie była duża, ale jakby połączona z inną, która nazywała się Doruchów. Tam były: kościół, salka katechetyczna dla dzieci i szkoła. Rozpoczęłam naukę w szkole w 1945 roku. Uczylam się dobrze, udało mi się zrobić dwie klasy w ciągu roku. Tam też przystąpiłam do Pierwszej Komunii Świętej. Kilka kilometrów za wsią były pola. Rodzice uprawiali kilka hektarów ziemi. Przy polach były pastwiska, na których paśliśmy krowy. (...)

Moi rodzice zajmowali się gospodarstwem. Mamusia prowadziła dom, była wspaniałą gospodynią. Była konkretna i stanowcza. W zasadniczych sprawach miała zawsze ostatnie słowo. Tatusz nas rozpieszczał, nigdy nie krzyczał, był bardzo opiekuńczy. Raz zdarzyło się, że mnie uderzył. Byłam wtedy kilkuletnim szkrabem. Siedziałam na ławie przy oknie. Obok mnie klęczał brat Maryś. Nie chcący zepchnęłam go z ławki i zaczął płakać. Tatusz przybiegł do nas i zapytał: „Dlaczego Maryś płacze?” Brat powiedział, że ja go popchnęłam. Tatusz się zdenrowował i dał mi klapsa. Bardzo wtedy płakałam, bo miałam żal do brata, że na mnie naskarżył.

Bardzo kochałam swojego tatusia. Pewnego razu do naszego domu przyszli milicjanci. Znaleźli na strychu pistolet i naboje. Zabrali wtedy mojego tatusia na przesłuchanie. Poszłam na posterunek. Strasznie płakałam i prosiłam milicjantów, żeby go wypuścili. Nie wyobrażałam sobie, żeby mogli zamknąć go w więzieniu. Po przesłuchaniu tatusz na szczęście wrócił do domu.

Przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy mama z siostrami przygotowywały potrawy, tatusz z młodszymi dziećmi ubierał choinkę. Ile wtedy było w domu radości i śmiechu! Z tamtego okresu zapamiętałam też zapach mojego domu rodzinnego: zapach, domowego ciasta i pieczonego mięsa.

Pamiętam też Święta Wielkanocne. Dużo radości sprawiało nam szukanie prezentów, które pochowane były w krzaczkach. Najczęściej znajdowaliśmy drobne smakołyki.

Zofia Markowska

Bolesia

Nazywam się Janina Bolesława Szatkowska, z domu Łoziak. Moi rodzice postanowili dać mi na imię Bolesława, ale ksiądz przy chrzcie powiedział, że to pogańskie imię. Zaproponował, żeby rodzice nadali mi imię chrześcijańskie. Rodzice i chrzestni nie wiedzieli, jakie imię wybrać. Ksiądz odparł, że ojciec nazywa się Jan, to córka niech będzie Janina. Ale w domu zawsze wołano na mnie Bolesia, nawet w szkole średniej koleżanki mnie tak nazywały. Dopiero gdy poszłam do pracy, zaczęto mówić do mnie Janina.

Urodziłam się w Ksawerowie, małej wiosce koło Wrześni, w województwie poznańskim. Na świat przyszłam 27 listopada 1935 roku, ale mój tata mnie odmłodził i wpisał w metryce datę 1 stycznia 1936. Moja mama, Franciszka Łoziak, z domu Filipczak, urodziła się w 1914 roku. Tata, Jan Łoziak, urodził się w 1910. Pobrali się w 1934 roku. Mój tata, który był z zawodu budowlańcem, zbudował po ślubie dom. W nowym domu przyszłam na świat. Byłam najstarszym dzieckiem w rodzinie. W 1939 roku urodziła się siostra Halinka, w 1942 Kazia, a w 1947 roku Regina. Miałyśmy też braciszka, ale urodził się przedwcześnie i zmarł.

Pamiętam mojego dziadka, Jana Filipczaka, tatę mojej mamy, gdy siedział pod drzewem w ogrodzie. Potem, gdy zmarł, jechałam na bryczce obok jego trumny. Babcia nazywała się Apolonia Filipczak, z domu Ławnicka. Dziadek urodził się w 1872 roku i zmarł w 1939. Babcia urodziła się w 1873, a zmarła w Wigilię 1954 roku. Dokładnie pamiętam ten dzień. Babcia czekała wtedy na córkę, siostrę mamy. Kiedy ciocia przyjechała, babcia odeszła. Rodzice mojego taty nazywali się Antoni Łoziak i Elżbieta Łoziak, z domu Dziubek. Nie pamiętam, kiedy się urodzili. Babcia zmarła w czasie okupacji, a dziadek na początku lat pięćdziesiątych, gdy byłam w szkole średniej. Rodzice mamy i taty mieszkali również w Ksawerowie. W obu rodzinach było ośmioro dzieci, w każdej czterech chłopców i cztery dziewczynki.

W naszej rodzinnej miejscowości mieszkało około 30 rodzin. Ludzie we wsi zajmowali się głównie rolnictwem. Nasz nowy dom wyróżniał się, był muryrowany, pokryty dachówką. Były tam dwa pokoje, kuchnia, korytarz. Większość domów na wsi to glinianki pod strzechą. Rodzice uprawiali półtora hektara ziemi, hodując ziemniaki i warzywa. Mieliśmy też zwierzęta: świnie, krowę, kaczki i kury. (...)

Tata był dla mnie bardzo dobry, wszędzie mnie z sobą zabierał. Nauczył mnie tańczyć. Odziedzyczyłam po nim nawyki kulinarne. Jeżeli tato czegoś nie jadł, ja również tego nie jadłam. Po mamie odziedzyczyłam zdolności artystycz-

ne. Mama lubiła śpiewać i recytować wiersze. Jako dzieci bawiłyśmy się lalkami uszytymi przez nią. Ja również lubiłam szyc. Szyłam ubranka dla lalek, potem ubrania dla siostr. To stało się moim hobby.

W czasach mojego dzieciństwa bardzo skromnie obchodziło się święta. Była choinka i prezenty dla wszystkich, które mama sama przygotowywała. Robiła nam sweterki, czapeczki, skarpety. Największym przeżyciem dla dzieci były wizyty „gwiazdorów”. Chodzili po domach poprzebierani, w maskach na twarzy. Święta kojarzą mi się właśnie z tymi odwiedzinami.

Pamiętam, że obchodziliśmy Zielone Świątki. Wieczorem, w przeddzień uroczystości, tato przynosił do domu gałązki brzozy i ustawiał koło naszych łóżek. Budziliśmy się rano otoczeni zielenią i pięknym zapachem. Wszystkie domy we wsi ustrojone były brzozą i tatarakiem.

Janina Szatkowska



Z siostrami

Kąpiel w przeręblu

W 1938 roku wyjechaliśmy do Dukszt. To było nieduże miasteczko na granicy litewsko-łotewskiej. Mieszkaliśmy na wzgórzu. Niżej były szkoła, kościół i stacja kolejowa. Pośrodku Dukszt znajdowało się jezioro. Latem chodziliśmy naokoło jeziora, ale to było dość daleko. Gdy przychodziła zima i woda zamarzała, chodziliśmy przez lód.

Pamiętam, gdy pewnego razu tatuś powiedział do mnie: „Posłuchaj, Lilo! Dzisiaj nie pójdziesz przez jezioro. Pojawiają się na nim czarne plamy. Lód zaczyna się topić. Może być nieszczęście”. Naturalnie, posłuchałam tatusia i poszłam górą. Ale gdy wracałam ze szkoły z całą gromadą dzieci, poszłam już przez jezioro. Mówiłam innym o przestroгах tatusia. Ale dzieci mówiły, że znajdziemy takie miejsce, gdzie lód jest jeszcze mocny. I poszliśmy. Gdy już mieliśmy schodzić z jeziora, dzieci postanowiły sprawdzić wytrzymałość lodu. Znalazłam się w samym środku rozbawionej grupy. Wszyscy zaczęli skakać i lód zarwał się pode mną. Dzieci uciekły. Została tylko jedna koleżanka – Kasia. Lód łamał się, przerębel, w którym się znajdowałam, był coraz większy, a ja stawałam się z każdą sekundą cięższa, bo moje ubranie nasiąkało wodą. Byłam bardzo ciepło ubrana. Miałam na sobie kalosze, grube rajtuzy i płaszczyk z „baranka”. Kasia położyła się na lodzie i podała mi ręce. Wyciągnęła mnie z wody, czołgając się do tyłu. To był cud. Miałymy wtedy zaledwie po osiem lat.

Po całym zdarzeniu bałam się iść do domu. Poszłam do Kasi. Jej mama dała mi coś gorącego do picia, położyła do łóżka pod pierzynę. Wszystkie moje rzeczy porozkładała na piecach i trochę podsuszyła.

Gdy przyszłam do domu, od razu siadłam do lekcji. Zawsze byłam sumienna, ale nie aż tak, żeby odrabiać lekcje od razu po powrocie ze szkoły. Mamusia powiedziała wtedy: „Oj! Moja Lila dzisiaj jest bardzo pilna”. Nagle wpadł mój brat i zawołał: „Mamusiu! Lila się utopiła!”. Mamusia uśmiechnęła się i odparła: „Co ty mówisz? Lila siedzi i odrabia lekcje”. Ale mój brat był nieugięty: „Mamusiu! Małgosia Czerwińska przybiegła z wielkim płaczem. Powiedziała, że Lila się utopiła. Wszystkie dzieci uciekły, a ona poszła pod lód”. Mamusia podeszła wtedy do mnie i sprawdziła moje ubrania. A ja wszystko miałam wilgotne. Ściągnęła ze mnie mokre rzeczy, dała herbaty z malinami i położyła do łóżka. A gdy trochę się rozgrzałam, wyciągnęła mnie z łóżka i dała kilka klapsów. Mamusia nigdy by nas nie skrzywdziła, ale jeśli zastrzyżym, dostawałam klapsy. Powiedziała: „Tatuś mówił, że nie masz prawa iść przez jezioro, a ty nie posłuchałaś”. I za to, że nie posłuchałam rodziców, zostałam ukarana.

Podobna historia zdarzyła się po paru latach. W Duksztach zimą jeź-



Fotografia rodzinna; moja babcia Antonina siedzi z przodu (w białej chustce)

dziliśmy na sankach. Była tam wysoka góra i skocznia narciarska, która miała chyba z sześć metrów. Z innymi dziewczynkami zjeżdżałyśmy na sankach z górki, na skocznię nie wjeżdżałyśmy. Pewnego razu jednak moja przyjaciółka Kasia przysłała z wielkimi saniami na dziesięć dziewczynek. Zjeżdżałyśmy na nich ze skoczni. Długo leciałyśmy w powietrzu, a potem jechałyśmy jeszcze daleko aż za przejazd kolejowy. Było bardzo przyjemnie. W końcu jednak siostra zabrała sanki Kasi, bo starsze dziewczynki też chciały pojeździć. Wtedy wymyśliłam, że będziemy jeździć na moich małych saneczkach o zaokrąglonych płozach. Chciałam kierować, więc usiadłam z przodu. Gdybym się nie ruszała, pewnie zjechałybyśmy bez problemów. Ale ja w ostatniej chwili przestraszyłam się, postanowiłam skierować sanki na górę, nie na skocznię. Sanki zakreśliły młynka i wyrzuciły nas ze skoczni. Upadłyśmy, a sanki na nas. Wybiłam sobie wtedy kolano, cała się potłukłam.

Miałam naprawdę szczęśliwe, bez troskie i wesołe dzieciństwo, choć czasem było trochę niebezpieczne.

Wspaniałe było Boże Narodzenie. Nigdy nie zapomnę tych domowych świąt pachnących choinką i wypiekami. Mieliśmy dużą rodzinę. Podczas świąt odwiedzali nas też znajomi. Mama przygotowywała potrawy dla wszystkich. Piekała ciasta, cielęcinę, całą szynkę z kością w cieście chlebowym. Najpierw peklowała mięso, a potem piekła. To było bardzo smaczne.

Na każde święta mamusia szyła nam nowe stroje. Pamiętam, że niedługo po Wigilii stawiała mnie na krześle ubraną w niegotową jeszcze



Fotografia rodzinna; jestem w dolnym rzędzie po lewej stronie

sukienkę. Wykańczała, podszywała, bo nie zdążyła tego wcześniej zrobić. Zawsze na Boże Narodzenie sukieneczka była gotowa.

Pod choinką znajdowaliśmy prezenty. Dostawaliśmy dużo słodczy. Zawsze rodzice robili jednak tak, że słodczy, które otrzymaliśmy, musieliśmy powiesić na choince. To były czekoladki w „złotku” w kształcie grzybków, rybek, szczyrzyków. Wieszaliśmy je wszystkie na choince, a po świętach zjadaliśmy. Inne

ozdoby na choinkę robiliśmy sami. Przede wszystkim robiła je moja starsza siostra, ale ja też trochę pomagałam. Siostra robiła baletnice i koguciki z marszczonej bibuły, skręcała lalki ze słomki. Robiliśmy też łańcuchy z błyszczącego papieru i z ciętej bibuły. Wycinaliśmy z papieru kółeczka – małe ogniwka, które zaczepialiśmy jedno o drugie. Wieszaliśmy też na choince orzechy owinięte w „złotko” i „sreberko”, pierniczki upieczone przez mamusię. Do gałązek choinki przypinaliśmy świeczki w lichtarzykach.

Wielkanoc była równie uroczysta. Stół wielkanocny zawsze stał w specjalnym pokoiku. Lodówek wtedy nie było. Część jedzenia była w piwnicy, a wszystkie upieczone i ugotowane potrawy stały na stole zasłanym pięknym obrusem. Mamusia ustawiała na nim pisanki, babki, mazurki i mięsa.

Pamiętam, że pewnego razu, już podczas okupacji niemieckiej w Grodnie, mamusia na Wielkanoc uszyła mi i mojej młodszej siostrze piękne jasne płaszczki. Udało się jej gdzieś zdobyć białe płótno żaglowe. Uszyła nam też sukieneczki z czerwonego aksamitu z białymi mankietkami i kołnierzykami z koronki. Ja miałam sukieneczkę rozkloszowaną, a moja siostrzyczka prostszą, bo była młodsza.

Gdy byłam dzieckiem, dziewczynki nie nosiły spodni. Gdy było chłodno wkładałyśmy wełniane rajtuzy. Wczesną wiosną podczas roztopów nosiłyśmy gumowe kalosze. Mamusia ubierała nas bardzo ładnie. Dbała o nas. Zawsze zawijała mi włosy po kąpeli. Chociaż moje włosy same się układały, kręciła je na papiloty z papieru. Potem miałam piękne loczki.

Lilia Kononowicz

Nastoletnia gospoia

W dzieciństwie zajmowałam się przede wszystkim rodzeństwem. Mój brat urodził się, gdy miałam cztery lata. Mama szła do pracy, a ja zostawałam z bratem. Czteroletnie dziecko! Gdy wybuchła wojna, urodził się drugi brat, później siostra. Po narodzinach siostry mama miała tylko dwa tygodnie wolnego. Musiała iść do pracy, a ja do trzynastego roku życia wychowywałam rodzeństwo. Byłam prawdziwą gospodynią. Siostra mamy też miała malutkie dzieci i zawsze prosiła, żebym jej pomogła. Przychodziła i mówiła do mamy: „Daj mi Jadzię na parę dni do pomocy, żebym mogła gdzieś wyjść”. I mnie zabierała. Mama za parę dni po mnie biegła. Ciocia nie chciała mnie oddać, mama nie mogła sobie beze mnie poradzić. Obydwie płakały. W rodzinie mówili, że byłam dobrym i kochanym dzieckiem.

Gdy byłam małą, nie miałam zabawek. Sama szylam sobie lalki. Od dzieciństwa miałam pociąg do krawiectwa. Cerowałam pończochy, tak zwane

„nicianski”. Naszywałam jedną łąkę na drugą. Gdy urodziła się siostra, miałam już jedenaście lat i sama szylałam jej ubrania. W pobliżu mieszkała znajoma krawcowa. Chodziłam do niej od czasu do czasu. Byłam pojętna i prędko nauczyłam się szyć. Później szylałam już dla całej rodziny. Wszystko, rzecz jasna, ręcznie. Nie miałam przecież maszyny. Buty robił nam tato. Nazywaliśmy je „trepy”. Tato strugał spody z drewna. Miał do tego specjalne narzędzia. Wierzch butów natomiast wykonywał ze starego obuwia, ze skórki lub jakichś pasków. W takich butach chodziliśmy cały rok. Nawet zimą na lód biegliśmy w trepach. Mieliśmy też inne buty, ale musieliśmy je oszczędzać. Były tylko do kościoła, na święta.

Pamiętam, że w dzieciństwie każdej zimy nie mogłam doczekać się Bożego Narodzenia. Przez siedem tygodni przed świętami trwał post. Nie jedliśmy mięsa w ciągu tygodnia, co najwyżej w niedzielę. Szykowaliśmy się do Bożego Narodzenia. Była bieda, ale rodzice robili, co mogli, żeby święta były wyjątkowe. Na stole stało to, co mama mogła uszykować, na co było nas stać. Były śledzie, ziemniaki, zupa owocowa z makaronem. Mama piekła też ciasto. Na choince wieszaliśmy ozdoby z papieru. Sami robiliśmy łańcuchy i aniołki z papieru. Mama nam pokazywała, jak je wykonać, a my robiliśmy ozdoby i wieszaliśmy je na małej choince. Nie dostawaliśmy prezentów. Czasami odwiedzali nas podczas świąt goście. Przychodzili bracia i siostry mamy oraz dziadkowie.

Nie pamiętam zbyt dokładnie świąt wielkanocnych sprzed wojny, ale wiem, że nawet podczas okupacji zawsze na stole były malowane jajka. Gotowaliśmy je w cebuli, świeżej trawie albo w życie, żeby nabrały pięknych kolorów, a później malowaliśmy je czymś. Nie pamiętam jednak dokładnie, jak to było, bo przecież nie mieliśmy kredek.

Jadwiga Ciesielska

Wspomnienie

Bębnow – miejscowość, w której mieszkali moi rodzice – to nieduża wioska. Natomiast Szykielów to wieś znacznie większa, położona 60 kilometrów od Łodzi. Obydwie miejscowości leżą obok siebie. Tam każdy ma wybudowany na polu dom. Nie ma sąsiada przy sąsiedzie. Nikt sobie nie zagląda w okna. Dom rodziców znajdował się w Bębnowie. Ja jednak urodziłam się jeszcze w Szykielowie, ponieważ zaraz po ślubie moi rodzice mieszkali u dziadków.

Oczywiście, nie pamiętam swojego pierwszego domu, ponieważ byłam małym dzieckiem, gdy rodzice go opuścili. Często jednak o nim opowiadali. To był gliniany dom kryty strzechą. Gdy pojechałam w tamte strony pierwszy raz, po dawnym domu nie było żadnego śladu. Na jego miejscu stał dom murowany i kryty dachówką. Do tej pory odwiedzam go czasem. Mieszkał tam

brat mamusi, który już nie żyje. Teraz dom należy do jego żony. Ciocia ciągle z nostalgią wspomina stary dom z klepiskiem zamiast podłogi. Mówi, że w tamtym domu była dusza. Może ludzie byli wtedy po prostu bardziej zżyci, a może na starość wszystkie wspomnienia o młodości pięknieją. Gdy przyjechałam w ubiegłym roku, ciocia wciąż wspominała dawne czasy. Wtedy wszystko tkano na krosnach. Takie utkane pasiaki, jeszcze gdy byłam mała, służyły u nas za chodniczki i dywany. Nie pamiętam natomiast, żeby mamusia szyla z tego jakieś ubrania. Moja ciocia ma natomiast tkaną samodzielnie tzw. zapaskę, coś w rodzaju fartucha i narzutkę na ramiona. Mój kuzyn – syn cioci – mówi, że ona nie raz jeszcze w tym stroju wybierze się do kościoła. Tam ludzie żyją zupełnie inaczej. Powietrze jest znacznie czystsze i lepsze. Ja przynajmniej dużo lepiej się czuję w tamtych stronach. Mam problemy z ciśnieniem. Tam nigdy nie odczuwam z tego powodu żadnego dyskomfortu. Nawet w Słubicach nie jest mi tak dobrze.

Irena Czernuszewicz

Z dobrego domu

Moja babcia była wspaniałą kobietą. Urodziła się w 1863 roku jako ósme dziecko w bardzo zamożnej rodzinie, posiadającej spory majątek. Babcia była bardzo kulturalną i wykształconą osobą ze szlacheckim tytułem. Była bardzo dostojna i zawsze uczyła nas, jak należy się zachowywać. Znała język francuski, niemiecki, potrafiła grać na fortepianie. Dwie jej córki pracowały przed wojną jako nauczycielki. Mój dziadek pochodził z Litwy i przywędrował do Polski po I wojnie światowej. Pracował na kolei.

Pamiętam babcię siedzącą przy ogromnym, pięknym stole, na którym stał samowar. Obok leżały karty. To była jej ulubiona rozrywka, z której ja i moja siostra równie chętnie korzystamy. Babcia namiętnie pijała herbatę z mlekiem, przynoszoną do domu przez Żydów. Kawa nie była tak modna jak dziś. W naszym domu stała też zawsze ozdobna karafka z nalewką sporządzoną z różnych owoców zalewanych spirytusem.

Od nazwiska moich przodków nazywano wsie i miejscowości. Obecnie na Litwie jest miejscowość Gruździe.

Moja druga babcia, ze strony mamy, Bronisława Kubisztel, pochodziła z bardzo biednej rodziny. Wyszła za mąż, ale szybko została wdową i musiała samotnie wychowywać ośmioro dzieci. Nie wiem, z czego utrzymywała dom i dzieci. Gdy moja mama założyła swoją rodzinę, często jej pomagała. Zapraszała swoich braci na obiady, siostrom szykowała posag. Pamiętam babcię jako bardzo sympatyczną i miłą osobę. Dziadek nazywał się Jan Kubisztel, ale ja nie miałam szansy go poznać, ponieważ, jak już wspomniałam, dość szybko zmarł.



Mój chrzest, 1936

Wtedy ludzie w ogóle byli sobie bliżsi. Pilnowali siebie nawzajem. Nieraz, gdy mama siedziała w domu, sąsiadka zaglądała, czy u nas z komina leci dym. Gdy tylko dymu nie było, zaraz przybiegała sprawdzić, co się dzieje. Dziś ludzie nic o sobie nie wiedzą. Pozamykają się w domach i nikogo nie wpuszczają. Kiedyś byli zupełnie inni, chociaż też się kłócili. Czasem nawet o miedzę. Krowy nie można było miedzę sąsiada prowadzić. Trzeba było pilnować bydła, bo takie sprawy często kończyły się w sądzie. My na szczęście z nikim się nie kłóciliśmy. Choć sąsiedzi nam pomagali, mamie ciężko było żyć bez męża. Wszystko trzeba było ludziom dawać. Za darmo nikt nie chciał pracować.

jali nalewki przy dźwiękach patefonu. Czasami rodzice jeździli do posiadłości znajomego pułkownika, gdzie przyjemnie spędzali czas na tańcach. Mama za każdym razem zakładała nową kreację, którą szykowała jej babcia. Na kilka dni przed każdym wyjazdem prawie przestawała jeść, aby jej brzuch był płaski i by wyglądała doskonale.

Nasza sytuacja materialna przed wojną była bardzo dobra. Mieliliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy do życia, a nawet trochę więcej. Miałyśmy nianię, która nam sprzątała. Do prania mama zatrudniała inną kobietę. Obiady gotowały mama z babcią. Obie lubowały się w przyrządzaniu dla nas przysmaków. Pamiętam ciasteczka babci – kruche, półfrancuskie, z grubym cukrem i orzechami, chowane w blaszanych pudełkach, aby nie straciły świeżości. Tęsknię za tymi czasami i naprawdę mile je wspominam.

Chorował prawdopodobnie na wrzody żołądka. Jego śmierć nastąpiła w dość przykrych okolicznościach. Pracował wówczas za granicą, chciał zarobić na dom. Wyszedł z pracy do toalety i tam zasnął. Okazało się, że nastąpiła perforacja wrzodów. Wówczas nie było na to ratunku. Babcia przeżyła jeszcze wiele lat. Umarła 1 listopada w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Mam bardzo przyjemne wspomnienia związane z moim rodzinnym domem. Mieszkaliśmy w ogromnym, czteropokojowym domu. Moi rodzice i babcia zajmowali połowę budynku, a w drugiej części mieszkali lokatorzy, którzy wynajmowali od nas dwa mieszkania. Obok domu znajdował się piękny sad, w którym rosły przeróżne drzewa owocowe. Rósł w nim także piękny, stary orzech, pod którym często urządzano majówki. Wokół drzewa ustawiane były stoły i krzesła. Często zbierali się tam znajomi rodziców: bawili się, jedli i pili

Mieczysława Drożdżyńska

W domu pod strzechą

Domu, w którym się urodziłam, dziś już nie ma. Spalili go w czasie wojny. To był bardzo ładny dom. Jeden budynek pokryty strzechą. W środku były: duży pokój, kuchnia, sień, komora i stajnia. Na podwórzu stała duża stodoła. Każdej soboty malowaliśmy na niedzielę piec. Zamiataliśmy podwórze. Szorowaliśmy ługiem ławę i podłogę. Kuchnię malowaliśmy na biało. Stawialiśmy kwiaty w oknach. Wszystko aż pachniało. I bardzo zdrowo było. W domu nie mieliśmy dywanów. Były tylko chodniki, które sami robiliśmy z konopi lnu. Obrazy były wymajone, całe w kwiatkach. Zwyczaj ozdabiania obrazów kwiatami przyszedł do nas z Ukrainy. Mama wbijała też w sufit asparagus albo paproć, które wisiały aż do podłogi. W oknach wisiały firanki z bibuły. Dziewczyny tak pięknie je wycinały, że patrząc z podwórka, trudno było poznać, czy są one z bibuły, czy z płótna. W pomieszczeniach stały łóżka. Na każdym leżała słoma i po kilka poduszek. Mama sama wyrabiała płótno z lnu. Potem, gdy mieszkaliśmy w Olszewie, zawoziła do Węgorzewa nici. Tam robiono z nich prześcieradła i kapy na łóżka. Czasem kapy były też robione z owczej wełny. Wszystko było bardzo zdrowe.

Mieliśmy trzy hektary samego ogrodu, pola – osiem hektarów. Tyle tylko, że mama była sama i musiała część pola oddawać sąsiadowi. Sąsiad siał pszenicę i żyto, sadził kartofle. Sobie i mamie. Tak żyliśmy. Innym sąsiadom za pomoc odpłacaliśmy tym, że mogli na naszym polu paść krowy. Mieliśmy sad i łąkę. Obydwa ogrody były ogrodzone.

Do ustępu musieliśmy chodzić za stodołę. Dziś wszyscy mają łazienki. Kiedyś mama grzała wodę, nalewała do cebra – drewnianej wanny i tak się kąpaliśmy. A stamtąd... Buch na piec! Nawet pierzyny nie było, tylko koc. Wygrzewaliśmy się na piecu całymi nocami. Mnóstwo dzieci przychodziło z wioski. Mama krzyczała, żebyśmy byli ciszej. „Rozwalicie mi piec! Co ja potem zrobię!” – wołała, a nam było bardzo wesoło. Mama przędła, odwiedzały nas sąsiadki. Całą zimę spaliśmy na piecu. Mama nasypała nam na piec zboża. Wygrzaliśmy nogi i nikt nie chorował. Żyto sypało się na podłogę, więc mama przynosiła ze stajni kurę. Kura zjadała zboże, które się rozsypało i mama wypuszczała ją na dwór. Kura zagadkała, my się śmialiśmy.

Jako dzieci bawiliśmy się przede wszystkim na podwórku. Rysowaliśmy na ziemi kreski, rzucaliśmy kamieniami. Graliśmy też na piachu w szachy, bawiliśmy się w łapanki. Śpiewaliśmy, przędliśmy i wybieraliśmy groch.

Mieliśmy duże gospodarstwo, a w nim konie, krowy i świnie. Po podwórku chodziły kaczki, kury i indyki. Był też sad. To był prawdziwy majątek.

Tylko ojcu nie chciało się pracować. Mama sama musiała nas wychowywać i wszystko robić w gospodarstwie. Niestety, tacy są mężczyźni. Nikt nam niczego nie podarował. Musieliśmy ciężko pracować. Już jako małe dzieci kosiliśmy, rżnęliśmy sierpami, przedliśmy. Wszystko robiliśmy, jak to kiedyś na wiosce.

Nosiliśmy z lasu drzewo, gaciliśmy, młóciliśmy cepem żyto i pszenicę. Sami robiliśmy kiczki do pokrycia dachu. Kiczki w pewnym sensie przypominały dachówki, tyle że były ze słomy. Słomę młóciło się cepem, potem kładli ją do wody, żeby zwilgotniała. Później kręcili bardzo ciasno i przyciskali kolaniem. Robiło się to podobnie, jak robi się snopy. Poprawiali dach, żeby się woda do domu nie lała. Mama co wiosnę musiała poprawiać dach. Sąsiedzi bardzo nam pomagali.

Latem paśliśmy krowy, biegaliśmy po lesie, zbieraliśmy trawę dla bydła, hakaliśmy, plewiliśmy i wybieraliśmy osty z żyta. Jak się nie pozbiera ostów, żyto jest zanieczyszczone. Zbieraliśmy zatem osty kijem, do którego końca był przybity gwóźdź. Tym kijem nakłuwaliśmy oset. Kopaliśmy grządki w ogrodzie i sadziliśmy kwiaty. Wiosną i jesienią czyściliśmy sad. Piłką obcinaliśmy suche gałęzie. Szczepiliśmy też drzewa owocowe. Trzeba było obciąć kawał gałęzi i przyczepić do drzewa gliną. Potem na jednym drzewie rosły rozmaite gatunki jabłek. Przedliśmy wrzecionem, łuskaliśmy groch i fasolę, tłukliśmy len i obrządzaliśmy krowy.

Obchodziliśmy różne święta. Wszystkie kościelne. Do kościoła mieliśmy daleko, bo aż do Sieniawy. To były jakieś dwa, może nawet trzy kilometry, a ja nie miałam w czym chodzić. Nie mieliśmy butów. Kobiety chodziły do kościoła, a my siedzieliśmy w domu na piecu.

Święta Bożego Narodzenia obchodzone były u nas bardzo uroczyście. W kącie zawsze stała choinka. Każdy obraz był wymajony. Wszystkie potrawy musiały być postne. Dopiero następnego dnia po Wigilii można było jeść wszystko. Ale na Wigilię trzeba było nanieść słomy, ułożyć pod obrusem, nastawiać jedzenia i zaprosić gości. Pacierz zmówić, a wieczorem śpiewać. Na Wigilię mama nigdy nie liczyła łyżek, które kładła na stole. Brała łyżki z kuchni i kładła na stół. Wtedy dopiero się je liczyło. W zależności od tego, ile łyżek leżało, oznaczało to, że w rodzinie albo kogoś zabraknie albo ktoś przybędzie. Taka była wróżba. Teraz wszyscy dokładnie liczą. Ilu jest gości, tyle łyżek dają. Nikt już nie wierzy we wróżby. A wtedy każdy wszystkich zwyczajów przestrzegał. Mama w Boże Narodzenie zawsze mówiła do mnie: „Hanka! Idź pod chlew i przynieś drzewa. Nie licz go czasem, tylko przynieś”. A gdy przynosiłam, mama mi pokazywała, jakiego będę miała chłopca, w zależności od tego, jakie przyniosłam drzewo – grube, chude, małe czy duże. W czasie Wigilii mama kazała nam wychodzić na dwór i słuchać, z której strony psy szczekają. „Tam będziesz mieszkała” – mówiła.

Prezentów pod choinkę nie dostawaliśmy. Czasem tylko sąsiedzi coś przynieśli – pieroga, kołacza albo kawałek tortu. Ten tort nazywał się „kurwaj”. Na torcie kobiety zawsze kręciły figury i zapalały świece. Takie były prezenty. Mamie przyniesiono czasem dwa metry płótna dla dziecka. Najczęściej jednak dawano jedzenie – często chleb, bułki. Sąsiadki przychodziły i mówiły: „Zobacz Maryśka, co upiekłam! Udało się! Daj dzieciom”. Każdy kto przychodził, czymś nas częstował. Polacy i Ukraińcy. Ludzie kołędowali, rozmawiali o swoich sprawach. Kiedyś, gdy nie było gazet, o wszystkim sobie opowiadano.

Na Wielkanoc ludzie piekli całe kosze różnych przysmaków. W nich niesiono jedzenie do kościoła. To były wielkie kosze – takie, w jakich teraz trzyma się bieliznę. Ksiądz przyjeżdżał na wioskę i święcił koszyki. Z całej wsi ludzie się schodzili. Przyjeżdżał też pop i święcił koszyki prawosławnych w cerkwi. W każdym była kielbasa, masło, ser, rozmaite wędliny. Kosz był umajony mirtem, zaścielony obrusem. Później było co jeść przez całe święta, ale kości nie można było wyrzucić. Trzeba było je zakopać na polu. Mama zbierała wszystkie skorupy i kości. Świętej ziemi trzeba było też zanieść jajko. Mama chodziła z jajkami na cmentarz.

W sieni stała jedna para butów. Zimą wychodziliśmy na dwór boso. Biegaliśmy bez butów po śniegu w ogrodzie. Gdy wracaliśmy, nogi mieliśmy sztywne. Mama mówiła wtedy: „Zapchajcie nogi do wody”. Grzaliśmy je trochę w wodzie i wskakiwaliśmy na piec. Gdy coś zbroiliśmy, kazano nam stać w kącie albo klęczeć na rozsypanej kaszy z chreczki. To była kasza gryczana. Zawsze trzeba było karę odsłużyć. Gdy zaczynały boleć kolana, mijała chęć na psoty. W szkole ksiądz też kazał nam klęczeć w kącie. W domu i w szkole była dyscyplina. I dzieci było grzeczne. Nie tak jak teraz.

Mama suszyła śliwki i jabłka. Na strychu były ich całe worki. W komorze stało mnóstwo garnków pełnych kuwenturów i powideł. Mieliśmy świeże mleko. To stanowiło kiedyś prawdziwe bogactwo. Tylko pieniędzy nie było. I nie było się w co ubrać. Jedna sukienka, jedne buty – w tym się chodziło. Co mieliśmy zrobić? Brak pieniędzy był wielkim problemem, ale mieliśmy do życia wszystko, co potrzebne.

Anna Stepanek

Biały, parterowy domek

Mój rodzinny dom był wiejskim, białym, parterowym domem, podobnym do większości budynków we wsi. Nie był kryty strzechą, tylko gontem. Gont to była drewniana dachówka. Na podwórku stały budynki gospodarcze – obora, stodoła – oraz ubikacja. Wspominam ten dom z ogromnym sentymentem. W tamtym czasie nie wyobrażałam sobie lepszego życia. Gorzej było z codziennym bytem. Żyliśmy bardzo skromnie. Trudno było oczekiwać, że na trzech hektarach przy słabym gospodarowaniu dorobimy się bogactwa. Musieliśmy oddawać też obowiązkowe dostawy dla państwa w postaci zboża lub mięsa. Rodzice mieli problem, żeby wyżywić sześciuosobową rodzinę i jeszcze oddać część dla państwa. Nie tylko dla nas był to duży kłopot. Często słyszeliśmy, że jakiegoś gospodarza ze wsi zamknęli do więzienia za to, że nie wywiązał się z obowiązkowych dostaw. Rano nieraz na naszym płocie było napisane „kułak”. Ludzie myśleli chyba, że na trzech hektarach są takie zasoby, że ojciec tylko z przekory nie chce części oddać państwu.

Mimo ubóstwa, nasz dom był ciepły, ponieważ wszyscy bardzo kochaliśmy się i uzupełnialiśmy wzajemnie. Gdy wyjechałam już do szkoły i mieszkałam w internacie, często wracałam myślami do rodzinnego domu. Potem, gdy przyjechałam w te strony, wydawało mi się, że wszystkie ulice i domy w Seceminie skurczyły się. Zauważyłam wtedy, że uliczki były wąskie i krótkie, domy niskie, a rynek malutki. Kościół, choć niezwykle piękny, okazał się niewielki.

Secemin jednak, wbrew temu jak postrzegałam go będąc panienką, wcale nie był taką maleńką wioską. Mieszkało w nim około tysiąca mieszkańców. Wszystkie ulice centralnie schodziły się na rynku. Tam znajdował się park i przystanek autobusowy. We wsi była też apteka, poczta, porodówka, szkoła i posterunek policji. Po wojnie, gdy państwo się zaczęło odradzać, w Seceminie powstał Państwowy Ośrodek Maszynowy. Tam stworzono miejsca pracy, dla tych, którzy nie mieli hektarów. Z kościołem w Seceminie wiąże się bardzo ciekawa i zagadkowa historia. Gdy wyszłam za mąż, przyjechałam z mężem w rodzinne strony. Wybraliśmy się razem do kościoła. Mój mąż poznał, że są w nim dzwony, który zostały skradzione nocą z ich świątyni w Lubowie. W naszej parafii był bardzo obrotny ksiądz, który znał wielu ludzi na stanowiskach. Widocznie dzięki temu dostał pozwolenie na wywiezienie dzwonów do naszego kościoła. Nigdzie jednak tego nie zgłaszaliśmy. Na pewno ta informacja wywołałaby wielką aferę.

Przed wojną we wsi znajdował się majątek Lohmanów. Lohmanowie byli właścicielami dworku i stawów. Przed wojną kobiety ze wsi chodziły do nich na służbę. Mama nieraz wspominała, że tam można było zobaczyć, jak mieszkali

wielcy panowie. Powtarzała: „Gdybym miała tyle pieniędzy, co on, też bym was tak pięknie ubierała”. Jej marzenia nigdy się jednak nie spełniły.

O moich rodzinnych stronach myślę z wielkim sentymentem, choć od-
kład zmarli rodzice, jeżdżę tam dużo rzadziej. Czasem odwiedzam siostrę, która
tam mieszka. Regularnie chodzę na cmentarz, na mogiły rodziców.

Adela Widzewicz

Ciepło domowego ogniska

W moim domu była bardzo ciepła atmosfera. Mój tato zawsze pilnował, żeby ogień w piecu nie zgasł. Moja mama wypiekała wspaniałe ciasta. W domu często pachniało świeżutkim makowcem, struclą lub piernikiem. W pokoju na piętrze był kredens, w którym mamusia przechowywała upieczone ciasta. Pamiętam także charakterystyczny zapach gotowanego bigosu i pasty do podłogi. Te wszystkie zapachy z mojego dzieciństwa kojarzą mi się z przygotowaniami do świąt, które w naszym domu obchodzone były bardzo uroczyście. Przed świętami w domu panowała krzątanina. Pamiętam, że mamusia sprzątała dokładnie wszystkie pomieszczenia, żeby na święta było czystutko. I rzeczywiście upływały one w błogiej atmosferze i w miłym otoczeniu. Siedzieliśmy wszyscy razem, rodzice pili kawę i było bardzo przyjemnie.

Z dzieciństwa pamiętam jeszcze jedno wydarzenie. Kiedy byłam malutka, na naszym osiedlu nie było jeszcze telewizorów. Tak się złożyło, że pierwszy telewizor w okolicy był właśnie w naszym domu. Dlatego też często przychodzili do nas sąsiedzi i ich dzieci. Wspólnie oglądaliśmy różne programy i audycje. Kiedy wchodziło się do naszego domu, to pierwsze, co rzucało się w oczy, to kilkadziesiąt par butów stojących w przedpokoju. Dorośli siedzieli na krzesłach i kanapach a dzieciaki na dywanie. Fajne to były czasy.

Podobnie stało się z pierwszą w okolicy pralką do prania, która została kupiona z pieniędzy składkowych. Pralka wędrowała od jednej gospodyni do drugiej. Raz w tygodniu było w domu wielkie pranie. Cieszyliśmy się wtedy wszyscy, że jest chociaż jedna pralka, która ułatwia codzienne obowiązki. Porównując tamte czasy do tego, jak wygląda życie dzisiaj, mam wrażenie, że teraz ludzie nie potrafią się cieszyć z małych rzeczy. Dziwne to jest dla mnie. W czasach mojego dzieciństwa ludzie umieli się cieszyć z drobnostek. Teraz za szybko dostają to, o czym marzą. Nie mówię, że to źle. Każde ułatwienie pomaga przecież w życiu. Jeżeli jednak czekamy na coś długo, to jesteśmy bardziej zadowoleni, kiedy uda nam się to zdobyć i potrafimy bardziej się z tego cieszyć. Tak było w moim życiu.

Gdy byłam kilkuletnią dziewczynką, bardzo kochałam malutkie dzieci.



W wieku pięciu lat – uroczystość Bożego Ciała, na zdjęciu z koleżanką Jadzią

Bardzo chciałam mieć braciszka. Moja mamusia powiedziała do mnie: „Żeby mieć braciszka, musisz wysypać na parapet cukier. Na parapecie usiądzie bocian, zje ten cukier, a potem przyniesie ci braciszka.” Uwierzyłam w jej słowa. Któregoś dnia moja mama wyszła do sklepu. Skorzystałam z okazji i wysypałam cukier na parapet. Gdy wróciła do domu zapytała: „Gdzie jest cukier?”, a ja odpowiedziałam: ”Wysypałam na parapet i czekam na bociana.”

Niestety rodzice nie zdecydowali się na kolejne dziecko. Dlatego też, kiedy urodziło się dziecko w sąsiedztwie, byłam częstym gościem u rodziców noworodka. Moja mama nie wiedziała nic o moich eskapadach. Kiedy wychodziła z domu, ja szybciułtko wyskakiwałam przez okno i biegłam do sąsiadów, którzy mieli małe dzieci. Miałam wtedy pięć albo sześć lat. Bardzo lubiłam obserwować mamy, które opiekowały się swoimi maluszkami. Patrzyłam jak karmią dzieci, przewijają, noszą na rękach. Często dostawałam „lanie” od mamy za moje wędrówki.

Grażyna Wójcicka

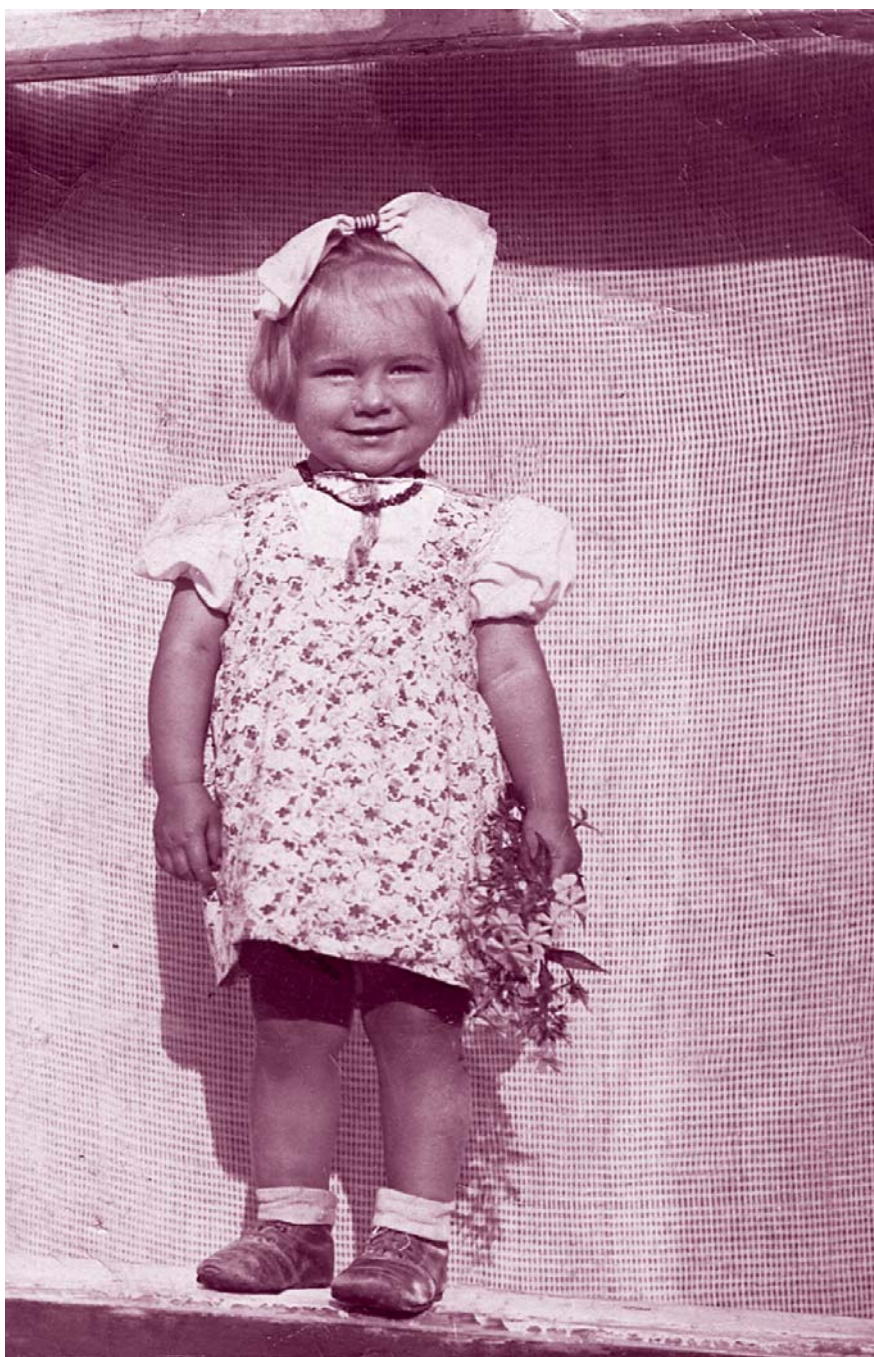
Pożegnanie z ojcem

Nie pamiętam swojego taty. Wiem, że miał na imię Stanisław i urodził się w 1898 roku. Zmarł prawdopodobnie w 1947 roku. W pamięci mam tylko jeden obraz, który towarzyszy mi od dziecka. To było pożegnanie rodziców. W mieszkaniu znajdowało się wtedy kilku mężczyzn, którzy przy zasłoniętych oknach żegnali się z mamą i ze mną. Stałam w kącie i chowałam się za długim asparagusem stojącym na szafie. Wyciągnęły mnie stamtąd jakieś męskie ręce i podniosły wysoko w górę. Potem siedziałam na kolanach u jakiegoś mężczyzny. Dziś wiem, że to był mój tata. To jedyne wspomnienie, które zachowałam o nim.

Po odejściu taty, na mamę spadł cały ciężar wychowania czwórki dzieci. Mama miała na imię Anna, z domu Kozłowska. Urodziła się w 1905 roku, zmarła w 1981. Pochodziła z bardzo bogatej rodziny. Krzyżowscy i Czule mieli ogromne połacie ziemi w Krzyżowej i Korbelowie. Obydwa rody były pochodzenia austrowęgierskiego.

Mama była bardzo mądrą i kulturalną kobietą. Skończyła szkołę krawiecką w Krakowie. Gdy wyszła za mąż, otworzyli z tatą piekarnię w Jelesni. Na początku lat trzydziestych miał jednak miejsce wielki kryzys. Robotnicy, a przede wszystkim piekarze, zaczęli strajkować. Panowało wielkie bezrobocie. Rodzice wozili chleb na Morawy i na Słowację. Interesy jednak nie szły im zbyt dobrze i w 1935 roku musieli zamknąć piekarnię. Potem mama otworzyła zakład krawiecki. Była bardzo zdolna. Jej warsztat był słynny na całą okolicę.

Natalia Piekarska-Poneta



Natalia Piekarska-Poneta jako półtoraroczna dziewczynka

Miasto rzemieślników

Kozłów był miastem gminnym. Położony był w powiecie tarnopolskim, w województwie lwowskim. Teraz Kozłów leży na Ukrainie. Wtedy to była Polska. W Kozłowie były: urząd gminny, szkoła podstawowa, gimnazjum, kino, poczta, policja, kościół katolicki, cerkiew i bożnica, a także gorzelnia, młyn i folwark. Były też rynek i targowisko. Mieszkańcy Kozłowa handlowali zbożem, zwierzętami i innymi towarami. Na rynku można było kupić drobne artykuły spożywcze, natomiast na targowisku sprzedawano krowy i konie. W Kozłowie mieszkało wielu rzemieślników – stolarzy, kołodziejów, bednarzy, szewców i krawców, a także pszczelarzy. Niektórzy mieszkańcy miasta zajmowali się rolnictwem. W naszym mieście obok siebie żyli Polacy i Ukraińcy. Handlem w mieście zajmowali się Żydzi, którzy zasiedlili całe centrum. Prawie wszystkie sklepy należały do Żydów. Żyło ich w Kozłowie bardzo wielu. Byli dla wszystkich bardzo uprzejmi, ponieważ chcieli, żeby właśnie u nich robić zakupy. Przed wojną wszyscy – Polacy, Ukraińcy i Żydzi – żyli w zgodzie. Byliśmy sąsiadami. Wszystko zmieniło się po drugiej wojnie światowej.

Przez miasto przepływała rzeczka, która dzieliła je na dwie części. Większa część nazywała się Łubianka Mała, a mniejsza, w której mieszkaliśmy – Łubianka Duża. W Łubiance Małej było centrum miasta, na którego krańcach znajdowało się przedmieście. W Kozłowie w pobliżu rzeki znajdowała się łąka, na której pasło się gęsi, czasem jesienią krowy, a po żniwach również konie. (...) W Kozłowie mieszkaliśmy z dziadkami, rodzicami taty. Dziadek miał na imię Jan, a babcia – Maria, z domu Remes. Moi dziadkowie w czasach, gdy na wyjazd do Ameryki nie były potrzebne wize, podróżowali dwukrotnie za ocean „za chlebem”. W Ameryce urodził się stryj Jan. Wszyscy mówili na niego „Dzian”, od angielskiego John. Wujek miał siedem lat, gdy wrócili do kraju. Najstarsza siostra taty, ciocia Franciszka, miała wtedy 18 lat. Nie podobało jej się jednak w Polsce i długo nie zagrzała tu miejsca. Tato mówił, że okręciła się na pięcie i zaraz pojechała z powrotem. Była już pełnoletnia, nie potrzebowała opieki rodziców. Pojechała sama do Gdańska, a stamtąd popłynęła do Ameryki. Już do Polski nie wróciła, została w USA i tam założyła rodzinę. Ciocia już nie żyje, ale póki żyła, pisaliśmy do siebie listy i odwiedzaliśmy się.

W naszym domu były tylko dwie izby. Teraz takie domy można oglądać w skansenach. W jednym pomieszczeniu była kuchnia, piec do pieczenia chleba, sypialnia i stołówka. W jednej izbie mieszkali dziadek, babcia i ich najmłodsza córka, gdy była jeszcze panienką. W drugiej izbie mieszkaliśmy my – rodzice, moje siostry i ja.



Moja mama, ja i siostry: Józia i Karolina

Mieliśmy małe gospodarstwo – siedem hektarów ziemi w tym dwa nieurodzajne. Wystarczyło jednak dla nas i na kontyngent, na plan dla państwa.

Babcię – mamę mamy – pamiętam dość dobrze. Mieszkała przy ulicy Przedmieście za rzeką. Często ją odwiedzaliśmy. Miała na imię Karolina. Była niedużą kobietą. Dziadka Wojciecha nie znałam. Nie wrócił z pierwszej wojny światowej. Nie wiem nic na temat jego losów.

Pamiętam, że rodzice w ogrodzie sadzili konopie. Gdy dojrzały, z siewnika tłoczony był olej. Z odpadów robione były makuchy dla cieląt. Cielaki potem bardzo dobrze rosły. Słomę z lnu wiązano w małe snopki i zakopywano w błocie w rzece. Moczyły się przez kilka tygodni. Potem były wyciągane, myte i rozkładane do suszenia. Gdy wyschły, obstukiwano się je deskami. Opadały paździerz i zostawały same łyka. Potem łyka czesało się na żelaznych szczotkach, aż stawały się bardzo delikatne. Kobiety przędły len na kądzielach. Moja mama również przędła nici – grube i cienkie. Z kwachów (odpadów) kręcili sznurki i powrozy. Delikatne nici oddawano do tkaczy, którzy robili z nich płótna. Latem płótna metrowej szerokości moczyliśmy w baliach na łące. Mokre płótna układało się na trawie. Gdy słońce je wysuszyło, ponownie się je moczyło i układało. I tak kilkakrotnie, aż płótno zupełnie się wybieliło. Z grubszych płócien kobiety szyły prześcieradła, z bardzo cienkich – nawet koszule.

Kobiety chodziły też prac nad rzekę. Na rzece były kładki. Wyplukane ubrania tłuło się drewnianymi pralnikami przypominającymi dzisiejsze deski do krojenia. Zimą kobiety prały w przereblach. A gdy któraś nie poszła prac zimą nad rzekę, ludzie zaraz gadali, że jest chora, bo w jej domu siedzi brud. W domu bowiem nigdy nie dało się wyprać pościeli tak dokładnie jak w rzece.

Wieczorami sąsiadki spotykały się podczas darcia pierza. Gęsi podskubywało się kilka razy w roku. Kobiety robiły puchowe pierzyny. Na takich spotkaniach było bardzo wesoło. Gospodynie śpiewały, częstowały się i opowiadały różne historie. Chłopaki w tym czasie robili różne hece. Gdy kobiety darły pierze, mężczyźni nie mieli, co robić. Mama, gdy była już starsza, często mawiała: „Kiedyś wszystko robiło się ręcznie i ludzie znajdowali na wszystko czas, teraz są maszyny i ludzie na nic nie mają czasu”.

Kiedyś rodzice nie rozmawiali z dziećmi tak, jak dziś. Gdy przysłuchiwaliśmy się rozmowom starszych, tata mówił: „Wasze miejsce jest tam” – pokazywał na kąt, w którym były zabawki i książki – „Jak będziecie potrzebni, na pewno was zawołamy. Nie musicie tu siedzieć”. Dzieci były odseparowane, nie wiedziały, co dzieje się na świecie, ani o czym rozmawiają dorośli.

Wraz z początkiem adwentu zaczynałyśmy z siostrami robić ozdoby na choinkę, z papieru i słomek. Przez cały adwent ludzie chodzili do kościoła na roraty. Ja byłam z mamą tylko raz na roratach. Msze były wcześniej rano, a poza tym było bardzo zimno. Nie mogliśmy doczekać się świąt. Czekaliśmy na szynkę i kiełbasę, dobre pieczywo, rogaliki i ciasteczka.

Przy wigilijnym stole siadała cała rodzina. Pod obrusem leżało siano. Na podłodze ścielono słomę. Nazywano ją „dziad”. To dla dzieci była olbrzymia radość. Dziadek przynosił słomę, a my spaliliśmy i bawiliśmy się na niej. „Dziad” zabierał potem różne rzeczy. Nieraz zostawialiśmy w słomie zabawki czy buciki, które potem gdzieś się zawieruszyły. Na Świętego Szczepana zbierano słomę i palono na podwórku. A z popiołu formowano chłopca. Do domu na Wigilię przynoszono też snop owsa (nazywaliśmy go „król”) i stawiano w kącie pokoju. Kto pierwszy zjadł kolację, musiał włożyć łyżkę do tego snopa. Tato mówił wtedy: „Kto łyżkę wkłada w snop, będzie pasł krowy. Będzie pastuchem całe lato”. Dlatego potem wszyscy starali się jeść jak najwolniej, bo nikt nie chciał być pastuchem.

Ojciec po kolacji dawał bydłu kolorowy opłatek. Ten kolorowy opłatek kładliśmy też pod talerz z jadłem w czasie kolacji. Jeśli opłatek przyklejał się do talerza, oznaczało to, że będzie urodzaj. Gdy potrawa była ciepła, opłatek zawsze się przyczepiał. Ale taka była wróżba. Potem szliśmy do kościoła na pasterkę. Po domach chodzili kolędnicy. Kolędownali pod oknami i zbierali ofiarę na kościół. Byli poprzebierani m.in. za króla Heroda i Żyda. Ludzie przyjmowali ich do domu, a dzieci się bały, bo chłopak przebrany za diabła gonił je po mieszkaniu. Chowaliśmy się po kątach. Na Nowy Rok młodzi chłopcy chodzili po domach wieszować. Rzucali zbożem po mieszkaniu. Jeśli kogoś nie odwiedzili, znaczyło to, że nie był lubiany.

Wielkanocy też nie mogliśmy się doczekać ze względu na pisanki. Przez cały post nie jedliśmy mięsa. Ściśle pościliśmy. Jedliśmy suchy chleb, kapustę kiszoną i suchy kwaśny ser. Nie używaliśmy tłuszczów zwierzęcych. Mama wszystkie potrawy przygotowywała z dodatkiem oleju. Dlatego święta były wyczekiwane z taką niecierpliwością.

Gdy byłam dzieckiem, chodziłam do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne przy kościele. To było coś w rodzaju przedszkola. Mama nas codziennie zaprowadzała, ponieważ trzeba było przejść przez całe miasto. Do ochronki chodziliśmy tylko na cztery godziny. Siostry zakonne uczyły nas, ale też bawiliśmy się. Mieliśmy tam różne zabawki. Potem dostawaliśmy posiłek, najczęściej zupę. Każdy z nas miał swoją emaliowaną miseczkę. W nich dostawaliśmy jeść.

Zofia Kliszczak

Rozdział II

Szkolne lata



Nasi rozmówcy bardzo chętnie opowiadają o latach szkolnych. Wielu z nich nie mogło się uczyć lub uczyło się bardzo krótko. Była akurat wojna, kiedy powinni chodzić do szkoły. Była wojna, kiedy byli dziećmi...

Pamiętają pierwszy dzień września 1939 roku. Wtedy usłyszeli, że wszystko się zmieniło. Ucieszyli się, że nie będą musieli chodzić do szkoły. Nie rozumieli zbliżającej się tragedii.

Szkolny dzwonek! Ci, którzy uczyli się przed wojną, opowiadają o małym wiejskim domku, z kilkoma klasami. Opowiadają o radości, jaką sprawiała im codzienna nauka. Wspominają psoty, wygłupy i pierwsze przyjaźnie, zawierane w szkolnej ławce. Niektóre z nich trwają do dziś.

Ktoś kiedyś powiedział:

„Tak jak w szkole nigdy potem ci nie będzie...” I chyba coś w tym jest.

Brać gimnazjalna

Szkoła podstawowa była oddalona o 4 kilometry od Dziewierzewa. Byłam dzieckiem „wątlej postury” i dlatego mój ojciec uważał, że nie powinnam codziennie pokonywać tak długiej drogi. Rodzice zawieźli mnie do przyrodniej siostry ojca, Marii Biegniewskiej, która mieszkała w Zarczynie. Tam była szkoła oddalona 200 metrów od domu. Chodziłam do niej z kuzynką Zosią. Mieszkając u cici, bardzo tęskniłam za domem. Kiedy rok szkolny się skończył, wróciłam do domu.

Drugą klasę skończyłam, dojeżdżając do naszej szkoły w Dziewierzewie. Codziennie podwozili mnie tam chłopcy, którzy pracowali w naszym gospodarstwie. Trzecią i czwartą klasę „przerabiałam” w domu. Ojciec zatrudnił nauczycielkę, panią Jankę Sokołowską, która zamieszkała w naszym domu. Taki system nauczania był dla mnie bardzo męczący. Wszystko musiałam umieć śpiewająco. Nie mogłam też liczyć na to, że nie będę pytana.

Kiedy byłam w trzeciej klasie szkoły podstawowej, przygotowaliśmy się do przyjęcia sakramentu Komunii Św. Na każdą lekcję religii musieliśmy wykuć na pamięć określony fragment katechizmu. Nasz proboszcz był bardzo surowy i karał tych, którzy się nie nauczyli. Pamiętam dzień Pierwszej Komunii Świętej. Byłam pięknie uczesana przez panią Jankę i ubrana w białą szatę i welon. Na uroczystość komunii przyjechał do nas, po kilku latach nieobecności, dziadek Kowalski, mój chrzestny. Podarował mi wtedy piękny zegarek.

Pod koniec roku szkolnego zdawałam egzamin przed komisją powiatową. W taki sposób otrzymałam promocję do czwartej klasy. Wakacje spędziłam u dziadka w Plewnie, na Pomorzu. Tam było piękne jezioro. Wujek Ludwik uczył mnie i brata pływać, używając maty z sitowia. Największą atrakcją był dla mnie wyjazd krytą kareta do kościoła. (...)

Kiedy skończyłam czwartą klasę, mój ojciec został wybrany na wójta.

Bardzo lubiłam swoją nauczycielkę. Pani Sokołowska dbała o mnie jak o własne dziecko. Myła mi głowę a potem zaplatała w ciasne warkoczki, gdyż tak życzyła sobie moja mama. Bardzo mnie to denerwowało. Do dziś nie lubię, gdy ktoś czesze moje włosy.

Piastował także kilka społecznych funkcji: był prezesem straży pożarnej i kółka rolniczego. Brał czynny udział w organizowaniu spółki mleczarskiej. Na początku niemieccy udziałowcy nie chcieli przyjąć do spółki polskich dostawców, potem jednak zostali do tego zmuszeni.

W naszej wiosce była tylko niemiecka szkoła. Polska szkoła była oddalona o cztery kilometry. Podczas kadencji mo-

jego taty, w naszej miejscowości została utworzona sześcioklasowa polska szkoła podstawowa, w miejscu szkoły niemieckiej. Biedniejsi uczniowie otrzymywali codziennie śniadanie. Dostawali chleb i mleko. Gdy byłam uczennicą piątej klasy, powierzono mi funkcję sekretarza samorządu szkolnego.

Po ukończeniu szóstej klasy zdawałam egzamin do prywatnej szkoły gimnazjalnej w Bydgoszczy. Było to gimnazjum żeńskie. Lekcji muzyki i śpiewu udzielał przyrodni brat Paderewskiego. Chciałabym tu wspomnieć również znanego malarza Turwida. Jego obraz umieszczony był na ołtarzu w kaplicy szkolnej. Wiosną dojeżdżałam do Bydgoszczy pociągiem, natomiast zimą mieszkalam w internacie. Byłam w pokoju z koleżanką Zosią Zboińską. Przejazdy pociągiem zawsze obfitowały w ciekawe sytuacje. Miałam oddane grono adoratorów. Pewnego razu jeden z nich, pochodzący z Dziewierzewa, znokautował dwóch, którzy pochodzili z Kcyni. Zrobiła się z tego niezła afera, która zakończyła się dochodzeniem w szkole.

Gdy byłam w drugiej klasie, zmieniłam mieszkanie. Bardzo miło wspominam ten okres. Do szkoły byliśmy odprowadzane przez „brac gimnazjalną”.

Wanda Czarnecka

Epidemia grypy i śmierć Stalina

Ukończyłam technikum sadowniczo-winiarskie w Zielonej Górze. Nie obyło się jednak bez problemów. Kiedyś, podczas epidemii grypy, leżałam w szpitalu razem z kilkunastoma koleżankami. Nagle przez głośniki podano komunikat, że zmarł Stalin. Gdy to usłyszałam, powiedziałam do siebie: „O, mój baćko Stalin umarł!” Któraś z koleżanek natychmiast doniosła o tym przewodniczącemu ZMP. Zwołano zebranie i postanowiono wydalic mnie ze szkoły za drwinę ze Stalina. Wyrzucenie ze szkoły z tzw. „wilczym biletem” oznaczałoby dla mnie niemożność podjęcia dalszej nauki czy nawet pracy. Uratował mnie wicedyrektor, pan Romatowski, który wstał i powiedział, że on mnie doskonale zna, że całą wojnę przebywałam w Związku Radzieckim i na pewno nie powiedziałam tego w złej intencji. W Rosji określenie „baćko” oznaczało po prostu ojca. Na auli rozegrała się wojna, ale udało mi się pozostać w szkole. Pan Romatowski po wszystkim podszedł do mnie, przytulił i powiedział, żebym już nie płakała.

Jadwiga Zaryczna

Czesne w szkole wynosiło 22 złote a utrzymanie 70 złotych. Był to duży wydatek dla przeciętnej rodziny. Nie każdy mógł sobie pozwolić, żeby kształcić dziecko. W tym czasie nauczyciel zarabiał 125 złotych miesięcznie.

Nieskończone technikum



W Cieplicach, lata 50-te

W 1946 roku zaczęłam chodzić do szkoły. Uczyłam się w szkole podstawowej w Podgórzynie, gdyż tam pracowała moja mama. Mama była kucharką w fabryce. Dojeżdżała do pracy, a ja do szkoły.

Potem, gdy skończyłam „podstawówkę”, mama zaczęła pracować w sanatorium w Cieplicach. Poszłam do Technikum Snyckarskiego, gdzie młodzież uczyła się rzemiosła i rękodzieła. Technikum było czteroletnie. Było to wspaniałe doświadczenie i bardzo miło wspominam czas spędzony w tej szkole.

W technikum uczył profesor Barabas, który prowadził szkolny chór. Dzięki temu jeździliśmy na różne występy. Pewnego razu pojechaliśmy do Wrocławia. Tam mieliśmy wystąpić w Hali Ludowej. Wspólnie z profesorem dyrygowałam chórem, gdy śpiewaliśmy „Kukułeczkę”.

Niestety, nie ukończyłam tej szkoły. Przerwałam naukę za namową koleżanki, która chodziła do Technikum Pedagogicznego w Jeleniej Górze. Któregoś dnia powiedziała: „Wiesz co, rzuć szkołę. Szkoda czasu. Pójdziemy do pracy.” Dzisiaj żałuję, że tak postąpiłam, ale wtedy byłam młoda i nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji. Skierowano nas do pracy w WSS-ach. Najpierw musiałyśmy jechać na szkolenie do Krakowa. Byłyśmy tam kilka tygodni. Bardzo miło wspominam ten czas.

Danuta Drozdowska

Ściąga z matematyki

W Iwacewiczach zaczęłam chodzić do pierwszej klasy. Do szkoły poszłam, gdy miałam sześć lat. Byłam dość wysoka i jak na swój wiek bardzo rozwinięta, więc tatuś uznał, że mogę już iść do szkoły.

Do szkoły chodziły dzieci z rodzin bardzo biednych i bardzo bogatych. Biedniejsze dziewczynki przychodziły boso i nie wiem dlaczego, ale bardzo mi się to podobało. Pewnego razu przed wyjściem zdjęłam buty i zostawiłam je w przedpokoju. Szłam boso. Po drodze spotkałam znajomą mamusi i bardzo się zawstydziałam. Nie byłam przyzwyczajona do chodzenia bez butów – kamienie kłuły mnie w stopy, a rozgrzany chodnik parzył. W klasie siedziałam w pierwszej ławce, ponieważ miałam słaby wzrok. Gdy usiadłam bez butów, nauczycielka zaczęła dziwnie na mnie spoglądać. W pewnym momencie zauważyłam, że mnie obserwuje. Staralam się ukryć nogi, ale nie dało rady. Potem mamusia zrobiła mi wymówkę, że poszłam boso do szkoły, jakbym nie miała butów i że zrobiłam im wstyd. (...)

Podczas okupacji rosyjskiej, gdy mieszkaliśmy w Grodnie, również chodziłam do szkoły. To była polska szkoła, ale dziesięcioletnia, jak rosyjska – tak zwana „dziesięciolatka”. Przed wojną skończyłam drugą klasę. We wrześniu 1939 roku powinnam iść do trzeciej. Gdy przyjechaliśmy do Grodna i rodzice zapisali mnie tam do szkoły, powiedzieli, że skończyłam już czwartą klasę. Na świadectwa wtedy nikt nie zwracał uwagi. Gdybyśmy powiedzieli prawdę, wróciłabym do drugiej klasy. Wszystkich cofali o rok. Rodzice zadbali, żebym mogła się uczyć w czwartej klasie. W czasie okupacji rosyjskiej skończyłam ją i zdałam do piątej. (...)

Podczas okupacji niemieckiej szkoły były zamknięte. W tym czasie chodziłam z siostrą na prywatne lekcje do pani Dziuni Holskiej. Mamusia uszyła nam od wewnętrznej strony kieszenie w płaszczykach. Wkładaliśmy tam zeszyt i ołówek, żeby nic nie było widać. Nasza nauczycielka była córką małżeństwa profesorów, którzy byli przed wojną bardzo zamożni. W czasie okupacji musieli

wszystko sprzedać, żeby mieć pieniądze na jedzenie. Gdy z siostrą zaczęłyśmy przychodzić do nich, w całym mieszkaniu były tylko dwa krzesła, prycze i fortepian. W jednym ogromnym pokoju stał tylko instrument. Dwie córki grały na fortepianie – Halszka i Zosia. Do Halszki też chodziłyśmy na lekcje. Ona bardzo się bała, ponieważ jej sąsiad był konfidentem niemieckim. Wchodziłyśmy klatką schodową od podwórka na drugie piętro, gdzie mieściło się jej mieszkanie. Wypuszczała nas już bezpośrednio na ulicę. Nauczycielka nasłuchiwała i



Z siostrą Różą w Grodnie

wypuszczała nas z domu, gdy sąsiada nie było w pobliżu. Czasami zabierała nas do lasu. Tam uczyłyśmy się przyrody. A w domu uczyłyśmy się języka polskiego, matematyki i geografii. Cały materiał jednak przerabiałymy bardzo pobieżnie. Byłyśmy przerażone. Każda lekcja napawała nas lękiem i strachem. (...)

Po wojnie, we wrześniu, poszłam do gimnazjum. Skończyłam tylko cztery klasy przed wojną, a podczas okupacji nie chodziłam do szkoły, w związku z tym musiałam zdać egzamin. Brat i bratowa przygotowali mnie z matematyki i z języka polskiego. Brat nawet dał mi ściągaczkę z matematyki, ale ja nie wiedziałam, w jaki sposób z niej korzystać. Za to koleżanka, która siedziała obok mnie skorzystała z niej i rozwiązała wszystkie zadania. Na egzaminie z języka polskiego musiałam opisać podróż na zachód. Napisałam więc o pięknej Wiśle, zniszczonej Warszawie i niewolnikach na dworcu. I dostałam się do szkoły. Do gimnazjum chodzili chłopcy i dziewczęta, ale klasy były podzielone zawsze tak, że do jednej chodziły albo tylko same dziewczęta, albo sami chłopcy. Bardzo lubiłam chodzić do szkoły. Miałam wspaniałą wychowawczynię – panią Jacynową. Prowadziła język polski i historię. Była bardzo dobrym człowiekiem.

Pewnego razu z koleżankami z klasy wybrałyśmy się na wagar. Był maj, czas matur. Postanowiłyśmy uciec z dwóch ostatnich lekcji. Cała klasa uciekła. Tym dziewczynkom, które nie chciały iść, wyrzuciłyśmy teczki na korytarz. Ale gdy my poszłyśmy, one pozbierały teczki, poszły do woźnego po klucz i usiadły w klasie. Było ich pięć. Zdradziły nas i dostałyśmy karę. Profesor Budzanowski kazał nam rozwiązywać zadania maturalne. Były bardzo trudne i nie mogłyśmy ich rozwiązać żadnym sposobem. Wszyscy mieli wolne, a my siedziałyśmy w klasie i głowiłyśmy się nad zadaniami. Tak skończyła się nasza ucieczka.

Lilia Kononowicz

Naloty podczas lekcji

Zaczęłam chodzić do szkoły w czasie wojny, w 1943 roku. Właściwie ta szkoła niewiele się różniła od szkół w czasie pokoju. Ale już w 1945 roku, może 1944, pamiętam, że gdy byliśmy w szkole, zdarzały się naloty. Syreny wyły i trzeba było szybko iść do domu. Ja miałam do swojego domu dosyć daleko, dlatego szłam do ciotki, która pracowała blisko szkoły. Mówiono nam, że mamy się schować, bo może być niebezpiecznie, ale nigdy nic się nie zdarzyło. Co jakiś czas też zmienialiśmy budynek szkoły. W jednej szkole zrobili szpital dla wojska, to musieliśmy się przenieść. Potem znowu coś się stało i chodziliśmy do innego budynku. W czasie wojny kilka razy zmieniałam szkołę. Ale uczyłam się bez przerw.

Bardzo lubiłam malować i rysować. Nawet chciałam się czymś takim zajmować w przyszłości, ale moja mama mówiła, że malarze umierają z głodu. Gdy byłam dzieckiem, odwiedzałam nawet pewnego malarza. Chodziliśmy razem w plener. Ale później już mi się nie chciało. Potem zastanawiałam się nad projektowaniem mody, ale z tego też nic nie wyszło. Najbardziej lubiłam chemię,



Jako kilkuletnia dziewczynka

a najmniej historię. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że trzeba było pamiętać te wszystkie daty.

Z nauczycieli pamiętam jedną panią – panią Himmel. Wtedy wydawała mi się bardzo stara. Wcześniej uczyła też moją mamę. W naszej szkole pracował też starszy nauczyciel, pan Linke – oni po wojnie wzięli ślub. Wiem o tym, bo po wojnie nadal chodziłam do tej szkoły. Zналиśmy tych nauczycieli, śmiesznych trochę, starszych jak to przedwojenni nauczyciele. Gdy oni się pobrali, my bardzo się z tego śmialiśmy, zamiast się cieszyć.

Po wojnie do szkoły przyszedł nauczyciel, który podobał się wszystkim dziewczynom. Później przenieśli go do innej placówki, a my – dziewczyny – poszłyśmy do niego do domu prosić, żeby wrócił do nas. Teraz to jest bardzo śmieszne, ale wtedy było dla nas bardzo ważne, bo to był naprawdę fajny nauczyciel.

Dzieci ubierano wtedy inaczej niż dziś. Po wojnie dziewczynki nosiły sukienki i spódniczki. Spodni w ogóle się nie nosiło. Karl-Heinz nosił już

spodnie, ale on był ode mnie trochę młodszy. Mój mąż opowiadał, że u nich na Śląsku nawet chłopcy nie nosili wtedy długich spodni. Nosili krótkie spodniki i pończochy. Dopiero gdy byli starsi, zaczęli nosić długie spodnie. Dziewczynki nie nosiły nawet krótkich spodenek. Zimą nosiłyśmy spódnice i sukienki. Nakładałyśmy wtedy grube pończochy, które później były całe oblepione śniegiem.

Od kilku lat spotykam się co dwa lata ze swoją klasą z podstawówki. Pierwsze spotkanie było bardzo dziwne. Siedzieliśmy w naszej dawnej klasie. Ja wielu rzeczy nie pamiętałam. Nie wiedziałam, gdzie siedziałam. Kolegów z klasy też musiałam pytać, kto jest kim.

Helga Bryś

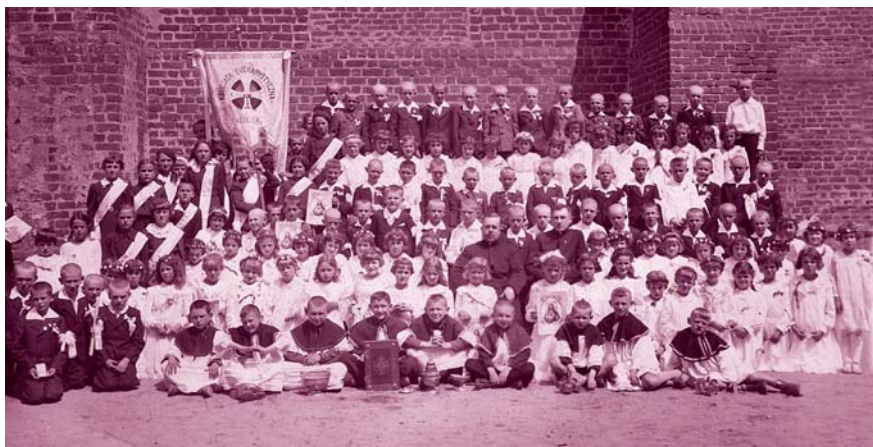
Gdy byłem dzieckiem, bawiliśmy się przede wszystkim na podwórku. Miałam koleżankę, która mieszkała blisko mnie i miała duże podwórko. U niej zawsze się bawiliśmy. Do dziś utrzymuje z nią kontakt. Grałyśmy w „kostkę”. Rysowałyśmy na ziemi kratkę, rzucałyśmy kostką i skakałyśmy. Albo skakałyśmy na skakance. Pamiętam, że wszyscy oglądaliśmy taki rosyjski film, w którym dziewczynki skakały na skakance. Potem każdy się w to bawił. Lalki nie miałam, bo nie zabrałam jej ze sobą ze starego domu.

Długa droga do szkoły

Do szkoły poszłam w 1935 roku. Uczyłam się w Kleczewie. Szkoła mieściła się w pięknym, nowym budynku. Były klasy i sala gimnastyczna. W budynku nosiliśmy kaptcie. Codziennie rano musiałam przejść pieszo pięć kilometrów, po południu wracałam tą samą drogą. I tak bez względu na pogodę. Nieraz wracałam do domu w mokrych butach. Odrabiałam lekcje przy lampce naftowej. Do szkoły w Kleczewie chodziłam trzy lata.

Dzieci w wieku szkolnym chodziły do kościoła do Kleczewa. Nasza msza święta rozpoczynała się o godzinie dziewiątej. Ksiądz bardzo pilnował, żeby wszystkie dzieci uczęszczały na mszę. Pewnej niedzieli strasznie padał deszcz. Dziadek powiedział do mnie: „Nie wychodź teraz, bo zmokniesz. Pójdziemy do kościoła razem na godzinę dwunastą”. Tak też zrobiliśmy. Na drugi dzień w szkole dyżurny powiedział księdzu, że nie byłam rano na mszy. Ksiądz bardzo się zdenerwował i linijką uderzył mnie w rękę. Było mi wtedy bardzo przykro.

W 1938 roku poszłam do Pierwszej Komunii Świętej. Msza odbyła się w kościele w Kleczewie. Ksiądz postanowił, że uroczystość odbędzie się w dzień



Moja Pierwsza Komunia Święta, rok 1938

powszedni, żeby nie było tłoku w kościele. Do komunii przystąpili wszyscy trzecioklasiści z pobliskich miejscowości. Większość dzieci przyszła do kościoła bez rodziców i chrzestnych. Moja mama odprowadziła mnie do świątyni. Pamiętam, że rano przed uroczystością nie wolno nam było jeść i pić.

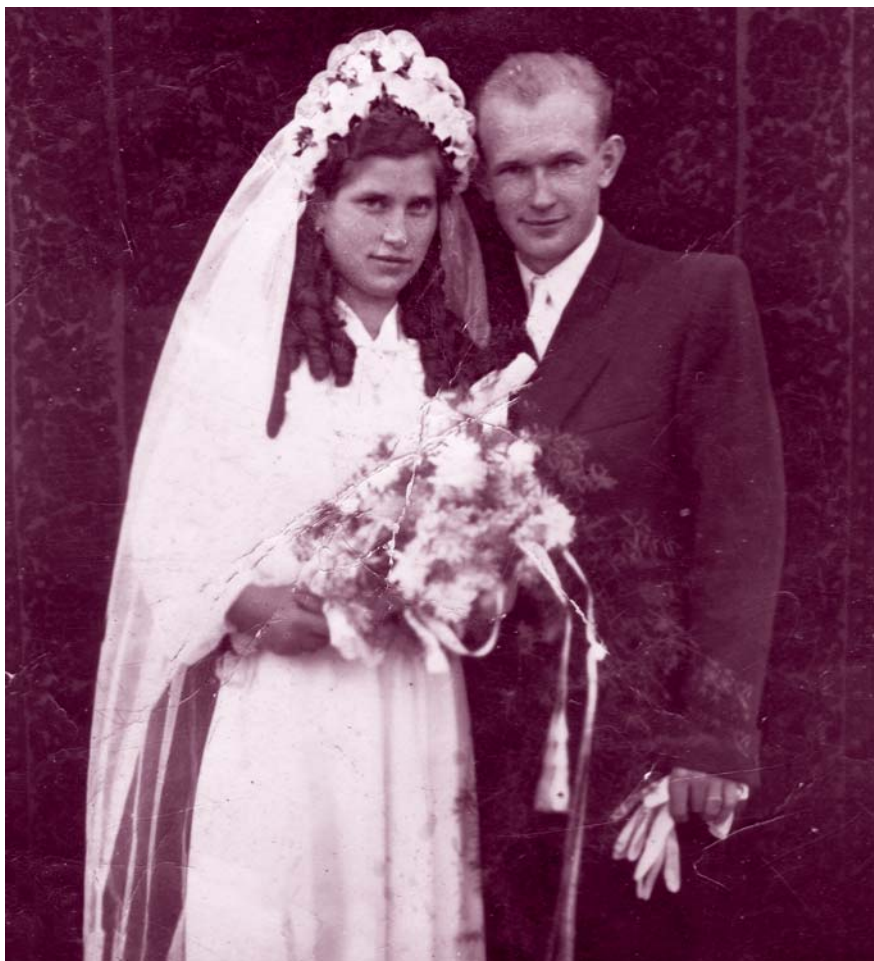
Zenobia Juraszek

Nauka przed wojną i podczas okupacji

Rozpoczęłam naukę w 1935 roku. Nasza szkoła znajdowała się w miejscowości Boleszczyń. Codziennie musieliśmy chodzić pieszo 3 kilometry. Uczyłam się tam cztery lata. Do szkoły uczęszczały dzieci z kilkunastu okolicznych wiosek. Szkoła mieściła się w dużym, wiejskim domu. Za budynkiem znajdowało się boisko. Pamiętam, że klasy były bardzo przepełnione. Na lekcjach słuchaliśmy komunikatów radiowych. Zanim wybuchła wojna, wiedzieliśmy, że coś złego się dzieje. Przygotowywano ludzi na to, co może się zdarzyć.

Z tamtego okresu pamiętam wiersze, których uczyliśmy się na lekcjach. Jeden z nich mówiłam na uroczystości szkolnej z okazji święta 3-go Maja w 1938 roku. (...)

Podczas okupacji również chodziliśmy do szkoły. W Cudzynowicach ukończyłam piątą, szóstą i siódmą klasę. Tam było inaczej niż w szkole, do której uczęszczałam przed wojną. Nie uczyliśmy się geografii, historii. Język polski był bardzo rzadko używany. Nie było książek, otrzymywaliśmy tzw. „stery”. Były to



Moja koleżanka Otylia z mężem

zeszyty wielkości gazety. Zmieniały się co miesiąc, gdyż były dostosowywane do zmieniającej się rzeczywistości. Uczyliśmy się też śpiewu i religii.

W szkole wykładał niemiecki nauczyciel, który sprawował nad wszystkim kontrolę. Uczył nas języka niemieckiego. Dojeżdżał do Cudzynowic z Kazimierzy Wielkiej.

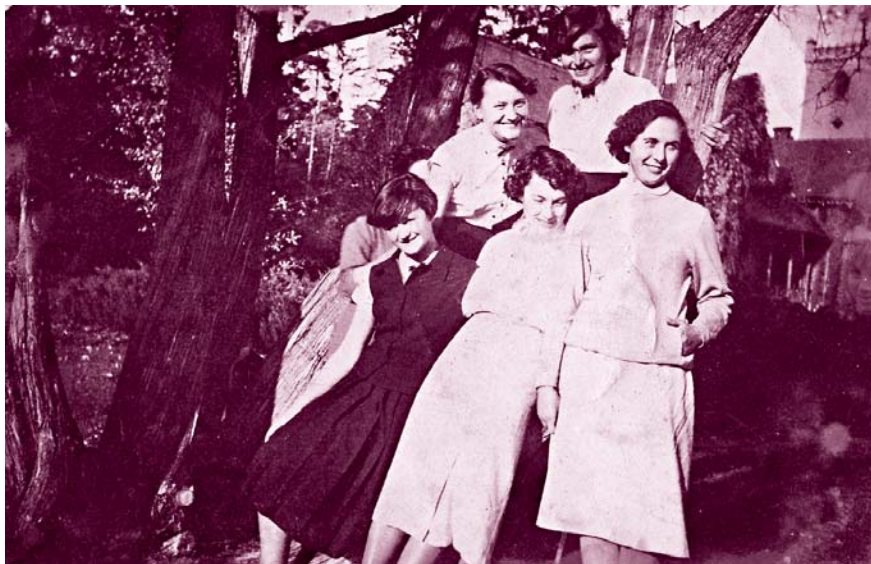
Podczas pobytu w Cudzynowicach zaprzyjaźniłam się z koleżanką ze szkoły. Nazywa się Otylia Grabowska, z domu Czubówna. Połączyło nas pięć lat wspólnych przeżyć. Utrzymujemy kontakt do dziś. Piszemy do siebie listy. Otylia nadal mieszka w Cudzynowicach.

Po skończeniu klasy siódmej zdałam do szkoły handlowej, która miała status szkoły średniej. Znajdowała się w Kazimierzy Wielkiej. Chodziłam tam od września 1943 roku do 8 maja 1944 roku. 8 maja przyjechali do szkoły niemieccy żołnierze samochodami wojskowymi. Zabrali nas, całą młodzież szkolną. Jednak czworo wypuścili – dwie dziewczyny i dwóch chłopców. Byłam wśród ocalałych. Okazało się później, że byliśmy za młodzi i za mali. Pozostałych żołnierze wywieźli do Niemiec. Dokładnie zapamiętałam datę tego wydarzenia, gdyż mój tato miał tego dnia imieniny.

Justyna Majchrzak

Sekretarka księdza i leśnik

Po wojnie zaczęłam chodzić do szkoły. Wcześniej, w czasie okupacji, uczyli nas rodzice. Gdy poszłam do szkoły, umiałam czytać i pisać. Edukację rozpoczęłam od drugiej klasy i w tym samym roku zaliczyłam jeszcze klasę trzecią, żeby nadrobić stracony czas. Nie mieliśmy książek, korzystaliśmy z zeszytów, które zostały po dzieciach niemieckich. Szkoła mieściła się w prywatnym domu. Było nam ciasno, bo klasy były przepełnione. Dyrektorem była pani Wróblewska, która wcześniej uczyła moją mamę. Wszyscy nauczyciele byli wspaniali, a do szkoły chodziliśmy bardzo chętnie. Czasami zdarzało się, że zastępowałam nauczyciela na lekcji. Na zakończeniu roku szkolnego żegnaliśmy się z płacem.



Koleżanki z technikum leśnego

Będąc w szóstej i siódmej klasie przygotowywałam młodszych kolegów do Pierwszej Komunii Świętej. Nazywano mnie sekretarką księdza. W nagrodę za pracę pojechałam na pielgrzymkę do Częstochowy.

Pod koniec lat 40-tych zaczęto budować szkołę w sąsiedniej wsi. Wszyscy uczniowie pomagali w pracach budowlanych. We wrześniu 1951 roku młodzież zaczęła uczyć się w nowej szkole. Mnie ten zaszczyt nie spotkał, bo skończyłam już edukację podstawową.

Będąc jeszcze uczennicą szkoły podstawowej, rozwinęłam swoje zdolności plastyczne. Niektórzy nauczyciele proponowali mi, żebym została nauczycielką plastyki, inni namawiali na naukę w Liceum Sztuk Pięknych. Tak też zrobiłam. Zdawałam egzamin do liceum w Poznaniu, ale nie dostałam się. Potem dowiedziałam się, że gdyby mój tato był w partii, to miałabym wystarczająco dużo punktów. Takie wtedy były czasy. Zbuntowałam się wtedy i nigdy więcej nie sięgnęłam po pędzel. Kiedy w komendzie hufca dowiedzieli się, że nie zostałam przyjęta, przyjechali do nas do domu i powiedzieli, żebym wybrała inną szkołę. Dali mi delegację na wyjazd do Poznania. Myślałam, że ktoś ze mną pojedzie, bo tak kojarzyła mi się delegacja. Pojechałam do Poznania sama. Tam zostałam poinformowana, w których szkołach jest nabór po wakacjach. Z wykazu szkół wybrałam nowo otwarte technikum leśne dla dziewcząt. Znajdowało się w Mojej Woli koło Ostrowa Wlkp. Szkoła mieściła się w przepięknym zamku myśliwskim. W budynku był też internat. Mama odwiozła mnie do szkoły. Było mi strasznie przykro, bo po raz pierwszy miałam przebywać poza domem.

Spotkałam tam wspaniałą koleżankę, która się mną zaopiekowała. Ta przyjaźń trwa do dziś. Wtedy nazywała się Otylia Łachowska, teraz Karmonik. W szkole uczyły się same dziewczęta. Były dwie pierwsze klasy, w każdej około 40 osób. Z prawie 80 uczennic rozpoczynających edukację, maturę zdało 36. W technikum uczyli wspaniali profesorowie. To był cudowny okres w moim życiu. Wszystkim to dzisiaj powtarzam. Należałam do najlepszych uczennic w klasie. Profesor od rysunku technicznego bardzo mnie chwalił. Mówił, że on wykonuje rysunki dobrze, a ja bardzo dobrze. W maju 1955 roku zdałam maturę. Po maturze pojechaliśmy na ostatnią szkolną wycieczkę do Karpacza.

Janina Szatkowska

Blisko do szkoły

Siedmioklasowa szkoła podstawowa, do której chodziłam, znajdowała się blisko mojego domu. Będąc w domu, słyszałam dzwonek szkolny. Bardzo lubiłam chodzić do szkoły, chociaż byłam w niej niezbyt dobrze traktowana. Kierowniczką naszej szkoły była zagorzałą komunistką. Nie lubiła rolników i ich dzieci. Nazywała ich „kułacy”. Jej mąż pracował w komitecie powiatowym. Kierowniczką miała do nas wielkie uprzedzenia i mieliśmy z jej powodu ciężki żywot w szkole. Niezwykle miło natomiast wspominam mojego wychowawcę – pana Kiszkurno. Bardzo go lubiłam. To był wyjątkowo życzliwy człowiek. Zawsze gdy kierowniczką nas gnębiła, on nas pocieszał.



W harcerstwie; stoję druga od prawej

Z przedmiotów szkolnych najbardziej lubiłam matematykę. Lubiałam też geografę i biologię. Najmniej interesował mnie język polski. Nawet nie wiem, dlaczego.

W naszej szkole nie panował szczególny rygor, przynajmniej ja tego ośobiście nie odczuwałam. Wszyscy uczniowie chodzili w fartuszkach. Zarówno ze szkoły podstawowej, jak i średniej. Po godzinie ósmej wieczorem nie można było wychodzić z domu, a jeśli już – to tylko z rodzicami. Wyłącznie w święta

dawano nam fory i mogliśmy dłużej przebywać poza domem. Za przewinienia staliśmy w kącie bądź sadzano nas w osłej ławce. Gdy ktoś nie przygotował się do lekcji, był karany przez nauczyciela. W zależności od przewinienia, w osłej ławce siedziało się cały dzień albo tylko jedną lekcję.

Kiedyś nie wyjeżdżało się na wakacje. Ze szkoły były organizowane wyjazdy, ale my – dzieci rolników – nie mogliśmy nigdy jechać. Nasza kierowniczka uważała, że jesteśmy stworzeni tylko do roboty. Gdy poszłam do szkoły średniej, zaczęłam jeździć na rozmaite wycieczki. Nasza dyrektorka była prawdziwą „turystką”. Każdego roku jesienią i późną wiosną mieliśmy organizowane wycieczki. Żeby te wyjazdy zbyt dużo nie kosztowały, kupowaliśmy słoninę, wytapialiśmy smalec, nalewaliśmy do słoików i braliśmy ze sobą. Gdy kilka razy słoje potłuły się w plecach, zaczęliśmy zabierać smalec w wiadrach. Chleb kupowaliśmy bezpośrednio w piekarni, żeby było taniej. Braliśmy ze sobą ogórki kiszzone i mieliśmy prowiant na wyjazd. Mama i tata zawsze zachęcali nas do wyjazdów. Rodzice mówili, że gdziekolwiek będzie jakaś wycieczka, powinniśmy jechać. „Musicie jeździć, zwiedzić świat” – mówili.

W szkole grałam w siatkówkę i w szczypiorniaka. Wtedy jednak nie przykładano takiej wagi do sportu jak dziś. Należałam też do harcerstwa.

Irena Czernuszewicz

W szkole w Cieszynie

Gdy chodziłam do szkoły, siostra szyła mi fartuszki. Nosiałam je i w szkole podstawowej, i w średniej. Fartuszki były szyte z podszewki. Miały białe kołnierzyki. Nie wszystkie jednak były takie same. Niektóre były bardzo modne uszyte, inne mniej. Dzięki nim nawet dziewczęta z bardzo biednych domów prezentowały się bardzo schludnie. Fartuszek stanowił taką „okryj biedę”, którą nakładałyśmy na siebie i zawsze ładnie wyglądałyśmy. Dziewczynki nie chodziły wtedy w spodniach. Nosiliśmy spódniczki i pończochy. W szkole obowiązkowy strój stanowiła granatowa układana spódnica. Na galowe okazje nakładałyśmy do niej białe bluzeczki. Gdy byłam już uczennicą Technikum Ochrony Roślin, musiałam nosić zieloną czapkę z czerwonym otokiem. Nie mogłyśmy wyjść do miasta bez tej czapki. Chowałyśmy je do kieszeni, a gdy tylko widziałyśmy gdzieś z daleka nauczyciela, szybko nakładałyśmy je na głowę.

Do szkoły średniej w Cieszynie poszłam w 1953 roku. Każdy z nas chciał wtedy wyrwać się z domu. Na którejś lekcji w szkole podstawowej dostaliśmy wykaz placówek, do których mogliśmy składać podania. Nam właściwie było wtedy wszystko jedno. Ja wybrałam technikum przemysłu tłuszczowego. Śmia-

łam się potem, że mój wybór wynikał z tego, że w naszym domu rzadko było coś dobrego do jedzenia. Sądziłam widocznie, że jeśli będzie tłusto, to będzie i syto. Wybrana przeze mnie szkoła mieściła się w Szopienicach na Śląsku. Pojechałam na egzamin. Zdałam go, ale w internacie była ograniczona liczba miejsc. Tylko sieroty i półsieroty miały na niego szansę. Ojciec powiedział, że o stacji nie mogę nawet marzyć, ponieważ nie mamy pieniędzy. Musiałam zrezygnować z tej szkoły. Moje koleżanki powiedziały wtedy, że w Cieszynie jest Zespół Techników Rolniczych. Było tam między innymi Technikum Ochrony Roślin. Mój ojciec skojarzył, że jeżeli jest to ochrona roślin, to na pewno będziemy tam tylko łapać stonkę. Wtedy ludziom ochrona roślin kojarzyła się tylko z tym. Za każdą sztukę można było otrzymać nagrodę. Trzeba było zanieść owady do gminy i odebrać za nie pieniądze.

Pojechałam do Cieszyna już we wrześniu. Ojciec odwiózł mnie wozem na stację. Stacja była oddalona od naszego domu o kilka kilometrów, a autobus nie kursował na tej trasie. Byłam przekonana, że zdam ten egzamin i dostanę się do szkoły. I rzeczywiście zdałam, i to nawet bardzo dobrze. Siostra któregoś wieczoru opowiedziała mi w łóżku książkę Igora Newerlego „Chłopiec z saskich stepów”. Przepięknie opowiadała. Na egzaminie wstępnym napisałam streszczenie tej książki. Zapamiętałam nawet cytaty z tej książki: „Ja naukę kradłem jak złodziej jabłka w sąsiednim ogrodzie, a co ukradłem, zaraz ludziom rozdałem”. Napisałam go w swoim wypracowaniu. Nikt nie miał już wątpliwości, że przeczytałam tę książkę. Styl miałam nie najgorszy. Po egzaminie zawołała mnie na-



Przedstawienie szkolne, stoję trzecia od lewej

wet nauczycielka i zapytała, czy miałam przygotowane to wypracowanie, bo tak ładnie napisałam.

Zostałam w szkole w Cieszynie, bo pojawiła się taka możliwość. Szkołę wybierało się wtedy nie według upodobania, a wedle możliwości. W trakcie nauki okazało się, że ochrona roślin to nie tylko zbieranie stonki. Uczyliśmy się o roślinach, zwierzętach, owadach, uczęszczaliśmy na lekcje entomologii i fitopatologii. Wżyłam się w to i polubiłam zajęcia. Było mi bardzo dobrze.

W szkole mieliśmy również dużo imprez. Wystawialiśmy przedstawienia – inscenizacje różnych dzieł. Lubiliśmy chodzić po południu na próby. Nauczycielki bardzo angażowały się w zajęcia pozalekcyjne. Przed występami byłyśmy stremowane jak prawdziwe aktorki. Wystawialiśmy między innymi „Krakowiaków i górali”. Ta inscenizacja była świetnie przygotowana przez nauczycielkę języka polskiego – panią Kielbus, która była wybitnie zdolna. To przedstawienie nie było ładne, ono było po prostu cudowne. Należałam też do zespołu regionalnego Ziemi Cieszyńskiej. Mieliśmy stroje cieszyńskie. To był zespół na bardzo wysokim poziomie. Prowadził go stary profesor z naszego miasta.

Na eliminacjach wojewódzkich w Katowicach wygraliśmy pieniądze, za które kupiliśmy własne stroje. Wcześniej wypożyczaliśmy je. Potem każdy miał już swój strój. Gdy to wspominam, myślę, że czasy szkolne były niezwykle przyjemne. Myślę o nich z wielkim sentymentem.

Adela Widziewicz



Rozdział III

Wojna i wysiedlenia

Huk bomb, wysiedlenia, obozy koncentracyjne...

Taka była rzeczywistość po 1939 roku. Wiele osób przeżyło straszne tragedie, tak ciężko im dzisiaj o tym mówić. Tym bardziej zasługują na uznanie. Trzeba docenić to, że się otworzyli, że opowiedzieli nam historię swojego życia. Łącznie z tymi najbardziej dramatycznymi momentami...

Słuchając ich opowieści mamy wrażenie, że dopiero teraz jesteśmy w stanie zrozumieć, co tak naprawdę oznacza słowo „wojna”... I jak ważny jest pokój na świecie.

Nie wszyscy jednak przeżyli piekło. Wielu ominęły działania wojenne. Liczni spotkali na swej drodze dobrych Niemców. Historie ich życia świadczą o tym, że ludzie nie dzielili się i nie dzielą na Niemców, Rosjan, Polaków...

Ludzie dzielą się na dobrych i złych.

Praca u Wanigmanów i sen proroczy

Wujostwo, u których mieszkałam, straciło swój majątek. Z gospodarzy stali się włodarzami. Wysiedlono ich do pomieszczeń, w których mieszkali pracownicy. Ja zostałam w domu, gdyż znałam trochę język niemiecki. Prowadziłam księgi rachunkowe. W tym czasie Niemcy zaczęli też odbierać mniejsze gospodarstwa właścicielom. Dom wujostwa zajął Karol Wanigman z żoną. Potem zatrudnił Polaków, którzy pracowali jako personel biurowy. Ja przejęłam rolę gospodyni. Dostałam książkę kucharską. Po wydaniu dyspozycji, zajmowałam się gotowaniem. Do dzisiaj dziwię się, w jaki sposób dałam sobie radę. Na początku było mi bardzo ciężko, ale po pewnym czasie doszłam do perfekcji. Pokojówką była córka „małego” gospodarza, niebieskooka Teresa Graczyk. Jej tato pracował natomiast jako stróż nocny. Tam pracowałam do zakończenia wojny.

Karol Wanigman sprawował urząd zarządcy okręgu. Do niego należała też Zamość. Podczas naszej pierwszej rozmowy zapytał mnie, skąd pochodzę i gdzie byłam poprzednio. Musiałam przyznać, że nasza rodzina została wysiedlona i zamieszkaliśmy tutaj u krewnych. Nie miałam kartek żywnościowych i żadnego dowodu. Miałam tylko legitymację szkolną.

Zajmowałam bardzo ładny pokój. Nad łóżkami zawieszony był obraz olejny „Odnalezienie Mojżesza przez córkę faraona”. Otrzymałam też kartki żywnościowe.

Napisałam do znajomych Niemców, u których schowaliśmy nasze rzeczy i poprosiłam o przysłanie mi mundurka szkolnego, firan i narzuty na łóżko. Po jakimś czasie nadeszła oczekiwana paczka. Gdy pani Wanigman zobaczyła piękne firany, zapytała, skąd je mam. Powiedziałam jej prawdę.

Pracę rozpoczynałam o szóstej rano. Szefowa wymagała, żeby zupy mleczne gotowane były na „odciągającym mleku”. Przy dojeniu krów zatrudniona była pracownica wujka. Posyłałam Tereskę z garnkiem po pełne mleko. Jakoś nam się to udawało. Czasem przynosiła też śmietankę, która ubijałyśmy w nocy. Pewnej nocy, podczas ubijania śmietany, Teresa zobaczyła w oknie Wanigmiana, który spacerował z psem. Bardzo się wystraszyłyśmy, gdyż nie wolno nam było używać pełnego mleka. Pełne mleko potrzebne było do wyżywienia żołnierzy Wehrmachtu. Powiedziała mi to na początku pani Wanigman. Schowałyśmy garnki ze śmietaną pod łóżkiem. Usiadłam na łóżku i czytałam książkę. Do pokoju wszedł Wanigman, trzymając psa na smyczy. Pomyślałam: „Koniec z nami.” Wanigman zapytał: „Was liest du?” Odpowiedziałam: „Ich lese ein schönes Buch, Herr Wanigman.” Popatrzył na mnie i powiedział, że nie wolno nam czytać żadnych przepowiedni. Nie wiem dlaczego tak powiedział. Widocznie Niemcy

bardzo bali się przepowiedni. A wracając do bitej śmietany. Wydaje mi się, że Wanigman wiedział, co robiłyśmy. Nic nam jednak nie zrobił. A mnie i Teresce odechciało się przysmaków.

Pamiętam pewne wydarzenie, które utkwiło mi w pamięci. Maria Wanigmanowa zaprosiła pana i panią Pede, właścicieli dużego sąsiedniego majątku, którzy dobrze znali wujka i naszą sytuację. Moja pani była bardzo uprzejma dla gości i kazała mi ściągnąć z nóg pani Pede kalosze. Spojrzałam na panią Pede, której twarz oblała się rumieńcem i usłyszałam: „Przepraszam.” Zrobiłam, co mi kazano, a przeprosiny przyjąłam z uśmiechem.

Państwu Wanigman urodził się syn Hanz. Dziecko nie zaznało miłości rodzicielskiej. Opiekowałam się nim, gdy zaczynał chodzić. Hanz bardzo się do mnie przywiązał. Pewnego dnia, gdy był rozbierany przez matkę i szykowany do kąpeli, przybiegł do mnie i zarzucił mi rączki na szyję. Wanigmanowa odsunęła mnie od dziecka. Stosowała bezuczuciowy sposób wychowywania dziecka. Zależało jej na tym, żeby wychować małego na przyszłego władcę. (...)

Pewnego razu, bez uprzedzenia, zamieniłam się z Teresą na wolną niedzielę. W majątku Wanigmanów raz w roku miało miejsce świniobicie. Ta niedziela była akurat dniem pracującym dla Teresy. W następną niedzielę miała przyjść do mnie z Pyzdr moja mama. Pyzdry oddalone były o piętnaście kilometrów od mojego miejsca pracy. Zamieniłyśmy się, gdyż bardzo zależało mi na spotkaniu z mamą. Kiedy zamiast Teresy pracowałam przy obróbce mięsa usłyszałam: „Gdzie jest Teresa?” Opowiedziałam zgodnie z prawdą, że zamieniłyśmy się. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku.

Gdy za tydzień przyszła moja mama, bez pytania poszłam na spotkanie z nią. Po chwili przybiegła do nas Teresa. Była blada jak ściana. Krzyknęła do mnie: „Wracaj natychmiast! Maria jest na ciebie wściekła. Złości się i buntuje Karola przeciwko tobie.” Przestraszyłam się. Pobiegłam natychmiast do domu. Otworzyłam drzwi do kuchni. Wanigman stanął w drzwiach prowadzących z korytarza. Walił pięścią w futrynę i wrzeszczał na całe gardło. Stałam jak wryta. Pomyślałam, że skopie mnie tak jak wcześniej sekretarkę. Bardzo się bałam. Szef wrzeszczał dziesięć minut, ale ręki na mnie nie podniósł. Kazał mi iść przed oblicze „jaśnie oświeconej”, która rozłożyła się na kanapie i z drwiącym uśmiechem wpatrywała we mnie. Powiedziała, że jeżeli jeszcze raz zrobię coś podobnego, zostaną skierowana do obozu koncentracyjnego. Wanigman podszedł do mnie i podał mi jakieś papiery. Powiedział, że mam je natychmiast zawieźć do sekreta-

Mężczyźni zawsze zwracali na mnie uwagę. Miałam cerę jak pączki róż. Niemcy, którzy odwiedzali naszego gospodarza, często, wskazując na mnie, mówili: „Karol, du hast ein schönes Fräulein.”



W wieku 19-stu lat

rza Bałzy, który mieszkał trzy kilometry dalej. Wsiadłam na rower i pojechałam. Kiedy sekretarz mnie zobaczył, pomyślał, że cała krew ze mnie „uszła”. Zaprosił mnie na herbatę. Opowiedziałam mu całą historię. Zapytałam, co mam zrobić z tymi papierami. On się uśmiechnął i powiedział, że zostałam wysłana po to, żebym nie musiała słuchać tej wściekłej baby. Już nigdy więcej nie próbowałam być panią swojej woli.

Nadszedł listopad. Pewnego dnia, idąc z obiadem, przechodziłam przez biuro Wanigmana. Kiedy wracałam, wręczył mi małą paczuszkę, na której było napisane: „Wanda masz dzisiaj urodziny.” Podziękowałam i poszłam. Byłam zdumiona ludzkim odruchem Karola. Przecież w czasie wojny nikt nie pamiętał o urodzinach, czy imieninach.

Pewnego razu poprosiłam o wypożyczenie konia i powozu. Chciałam odwiedzić dziadka Wojdyńskiego. Wanigman zgodził się. Dał mi „kuczera” i ruszyłam w świat. Był już śnieg. Miałam pokonać 30 kilometrów. Byłam u dziadka dwa dni. Gdy wróciłam, koń zachorował. Na szczęście nie poniosłam z tego powodu żadnych konsekwencji.

Sekretarka, o której wspomniałam wcześniej, nie wróciła już do pracy. Na jej miejsce zatrudniono pana Nowaka. Po dwóch tygodniach został jednak aresztowany i osadzony w obozie. Przeszukałyśmy jego rzeczy, znalazłyśmy adres i napisałyśmy do jego rodziny. Od nich dowiedziałyśmy się, w jakim jest obozie. Nie pamiętam nazwy tej miejscowości. Przy pomocy bratanka mojej cioci, udało nam się wysłać paczkę do pana Nowaka. (...)

Obok naszego pokoju było duże pomieszczenie, w którym znajdowały się warzywa. Ogrodnik przygotowywał jarzyny na targ i potem sprzedawał mieszkańcom. Gdy obiad nam nie smakował, zajadałyśmy się marchewką.

Pewnego pięknego, letniego dnia, zostałam wydelegowana do zbierania malin. Pojechałam z panem Wanigmanem. Przez całą drogę wypytywał mnie o moją rodzinę i o to, skąd pochodzę. Nie powiedziałam mu o zamordowaniu dziadka Kowalskiego ani o tym, że mój tatuś został zgładzony przez hitlerowców. Dojechaliśmy do majątku państwa Pede. Okazało się, że maliny były już pozrywane. Gospodyni podała mi w altanie podwieczorek. Patrzyła na mnie z uśmiechem. Zaczęła ze mną bardzo miło rozmawiać w języku polskim.

Do naszej wsi doszła wiadomość o tym, że niemiecka żandarmeria przygotowuje oblławę w lasach znajdującymi się pomiędzy Pyzdrami a Łomnicami. Była to odpowiedź na to, że zginął jeden z żandarmów. Prawdopodobnie został zabity przez polskich i rosyjskich partyzantów. Zamieszkałam z powrotem w swoim dawnym pokoju. Musiałam czuwać wieczorami przy telefonie. Pani Wanigmanowa wyjechała z dzieckiem. W tym czasie przestały przychodzić listy z frontu rosyjskiego, więc nie wiedzieliśmy gdzie przebywa.

Pewnego razu, późnym wieczorem, zostałam wezwana do pokoju pana Wanigmana. Miałam mu przynieść herbatę i ciastka. Byłam przerażona, ale rozkaz był rozkazem. Gdy weszłam, zaproponował, żebyśmy usiadła przy stole. Oniemiałam. Podziękowałam i powiedziałam, że nie jestem głodna. Spytał: „Dlaczego jesteś taka uparta? Przecież nie zrobię ci krzywdy.” Po chwili zapytał mnie: „Czy w innych okolicznościach mogłabyś mnie pokochać?” Odpowiedziałam: „To niemożliwe. Jestem tylko polską świnią. Pan jest Niemcem, Panem.” Zamurowały go moje słowa. Usiadłam, wypitałam herbatę i zjadłam jedno ciastko. Po godzinie pozwolił mi wyjść. W pokoju czekała na mnie zdenerwowana Teresa. Nie mogłyśmy spać tej nocy. Gdy rano przechodziłam przez biuro, podszedł do mnie Wanigman. Pocałował mnie w policzek i poprosił, żebym nikomu nic nie mówiła. W ten sposób zakończyły się jego zaloty. Gdyby Maria Wanigman o tym wiedziała...

Dzisiaj wiem co to jest obóz w Oświęcimiu. Wtedy jednak nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wanigmanowa często nam mówiła, co czeka Polkę, która uległaby „wyższej rasie”. Przytoczę tutaj pewne zdarzenie. Kiedyś w biurze pracował niemiecki rewident, który koniecznie chciał iść z nami wykąpać się. Odmówiliśmy, śmiejąc się. Usłyszała to Wanigmanowa. Nie omieszkała nam przypomnieć, co mogłoby nam za to grozić. (...)

Był początek stycznia. Wieczorem zobaczyliśmy łuny na niebie. Usłyszałyśmy huk. Ziemia drżała. Zastanawialiśmy się, co to może być. Nie miałyśmy pojęcia o tym, co dzieje się na froncie. A potem ten sen... Śniło mi się, że całą noc ściągamy firany, pakuję porcelanę, zdejmuję obrazy. Do domu przychodzi listonosz i przynosi jakieś wezwanie. Wanigman, ubrany w mundur, wyjeżdża, a jestem w świetnym nastroju.

Rano budzę się jak nowo narodzona. Opowiedziałam Teresie swój sen. Po chwili do pokoju weszła Wanigmanowa. Spytała o czym mówię, więc powtórzyłam jej, co mi się śniło.

Godzina dziesiąta. Do naszego pokoju wchodzi Wanigman i pyta: „Wanda, czy ty jesteś czarownicą?” Spytałam: „A dlaczego?” A on na to: „Co ci się dzisiaj śniło?” Opowiadałam swój sen kolejny już

raz. Po chwili Wanigman ubiera mundur. Okazało się, że dostał wezwanie. Zaczynamy pakowanie. Ściągamy pościel, firany, pakujemy rzeczy, ubieramy dziecko. Po południu wszystko jest gotowe do drogi. Wanigman krzyczy i każe mi jechać z nimi. Stoję i płaczę. Wanigmanowa ratuje sytuację. Mówi do męża, że nie ma miejsca w powozie, gdyż jedzie z nią praktykant i dziecko. Odetchnęłam z ulgą. Kazali mi na wszystko uważać i pilnować dobytku. Powiedzieli, że wrócą. Mój

sen okazał się proroczy. Po południu przyjechał konno Niemiec w mundurze. Zapytał: „Gdzie jest Wanigman?” Odpowiedziałam, że wyjechał. Zdenerwowany opuścił podwórze.

Nie wiedziałyśmy co się dzieje, i co mamy ze sobą zrobić. Ojciec Teresy zdecydował, że musimy tu zostać. Wieczorem przyjechało około 40 niemieckich żołnierzy. Kazali nam przygotować nocleg. Doszło do niemiłego incydentu. Jeden z oficerów zażądał ręczników. Powiedziałam, że wszystko zabrali ze sobą gospodarze. Krzyknął: „Daj mi swoje ręczniki!” Odmówiłam. Oficer wyciągnął broń i skierował lufę w moją stronę. Stojący obok żołnierz chwycił go za rękę. Wykorzystałam ten moment i uciekłam do pokoju. Za mną pobiegł młody żołnierz i zawołał: „Panienko, proszę zaczekać!” Stałam, a on zaczął rozpinać mundur. Pokazał mi łańcuszek i medalik Sodalicji Maryjańskiej. Poprosił nas o jakiś wolny pokój. Ulokowałyśmy go w sypialni sekretarza, która była wolna. Wczesnym rankiem dom opustoszał. Nie słyszałyśmy, kiedy wyjechali.

Około godziny dziesiątej nadjechały rosyjskie czołgi. Mróz siarczysty, wszędzie pełno śniegu. Wyszłyśmy przed dom. Gdy żołnierze zobaczyli przestraszoną młódkę, zaczęli krzyczeć: „Germanka!” Opuściliśmy dom. Tylko dzięki mieszkańcom wioski, mogliśmy przejść spokojnie. Gdy przejechała cała kolumna żołnierzy, wróciliśmy po swoje rzeczy. Ja poszłam do kuzynki i u niej zamieszkałam. Po tygodniu przyjechała mama i zabrała mnie do Pyzdr. Tam kuzyn mamy wynajął wóz. Zapakowałyśmy nasz skromny dobytek i wyruszyliśmy do domu, oddalonego o 110 kilometrów. Po drodze mijaliśmy ludzi, którzy tak jak my wracali do domu. Dzięki temu, że jechali z nami brat i kuzyn, nie byliśmy narażeni na zaczepki żołnierzy rosyjskich.

Kiedy byliśmy już za Gnieznem, usłyszeliśmy, wydobywający się z rowu, głos przepełniony bólem. Zobaczyliśmy wyciągnięte ręce, które prosiły o pomoc. Okazało się, że to był włoski pilot. Zabraliśmy go ze sobą do domu. Kiedy wjeżdżaliśmy na teren Dziewierzewa, zatrzymaliśmy się u znajomych, państwa Dymałów, którzy przyjęli nas bardzo serdecznie. Zaczęliśmy opowiadać...

Wanda Czarnecka

Mała łączniczka

Gdy Niemcy weszli na teren naszej wioski, zamieszkali w domach gospodarzy. Niemieccy żołnierze zamieszkali też u mojej babci. Zorganizowali w naszej wiosce kuchnię. Codziennie gotowali zupę dla biednych rodzin. Chodziliśmy tam i zawsze dostawaliśmy coś do jedzenia. Z tego, co pamiętam, Niemcy, którzy stacjonowali w naszej wiosce, byli naprawdę dobrymi ludźmi.

Moja mama opowiadała, że Niemcy wydali specjalne zarządzenie. Jeżeli w wiosce mieszkała samotna kobieta, która wychowywała dzieci, nie musiały pracować w okopach.

Pewnego razu do naszego domu przyszła sąsiadka. Niespodziewanie przyszedł też ukraiński żołnierz, który pracował u Niemców. Powiedział, że mama musi pójść pracować do okopów. Moja mama odpowiedziała: „Nigdzie nie pójde. Niemieccy żołnierze wydali rozporządzenie, że kobiety samotnie wychowujące dzieci nie muszą iść do pracy.” On nie chciał słuchać i nadal twierdził, że mama powinna iść do pracy w okopach. Bardzo się zdenerwował. Wyjął pistolet, przystawił mamie do czoła i powiedział: „Jeżeli nie pójdziesz kopać, to cię zabiję.” Moja mama była bardzo odważna. Odparła: „Tylko spróbuj podnieść na mnie rękę. Dzisiaj ty zabijesz mnie, a jutro zabiją ciebie!” Nie wiem, czy się przestraszył, czy posłuchał, ale puścił mamę. Ona nie mogła jednak podarować tej zniewagi. Poszła do niemieckiego dowódcy i opowiedziała mu wszystko. Dowiedziała się później, że Ukraińiec został srogo ukarany.

Wraz z nadejściem Niemców, w fabryce narzędzi zakończyła się produkcja. Niemcy przetrzymywali tam jeńców, których przywożono pociągami. Pamiętam, że jeńcy pochodzili z różnych krajów.

Moja mama pracowała w kuchni byłej fabryki narzędzi. Nawiązała kontakt z wujkami, którzy byli w partyzantce. Wszyscy razem doszli do wniosku, że będą namawiać jeńców, żeby włączyli się w działania partyzantów. Moja mama była łącznikiem między partyzantami a jeńcami. Mnie również wciągnięto w te działania. I chociaż byłam bardzo mała, starałam dobrze wywiązywać się z powierzonych zadań.

Partyzanci ukrywali się w lesie. Często jednak wyjeżdżali z okolicy. Pewnego razu z lasu przyszedł jeden z moich wujków. Byłam wtedy u babci i bardzo dobrze pamiętam tę sytuację. Powiedział, że jedzie do Kazimierza Wielkiego. Gdy wychodził, wziął ze sobą jabłko. Widzieliśmy jak idzie polną drogą i macha nam na pożegnanie. Więcej go nie zobaczyliśmy. Słuch po nim zaginął. Nie udało się go odnaleźć. Miał tylko osiemnaście lat.

Odprowadzałam więźniów do lasu. Szłam pierwsza, a za mną jeńcy. Moim zadaniem było zaprowadzić ich do lasu. Na skraju lasu czekał wujek.

Kilka razy widziałem też, jak mój dziadzius wynosił w spodniach broń dla partyzantów. Broń zdobywała mama. Nawiązała kontakty z jeńcami. Zdobywała ją i przynosiła do domu. Dziadzius wkładał w nogawkę spodni karabin i tak zaopatrzony szedł do partyzantów.

Pewnego razu miałam zaprowadzić jednego z jeńców do partyzantów. Szłam pierwsza a za mną szedł jeden z więźniów i niósł kosę. W pewnej chwili zauważyłam, że naprzeciwko nas jedzie



Mąż z bratem i rodzicami podczas pobytu na robotach w Niemczech w latach 1941 – 1945

dwóch Niemców. Stanęli i zaczęli nas obserwować. Po chwili dojechali do nas. Zapytali: „Dokąd idziecie?” Odpowiedziałam: „Idziemy na łąkę kosić trawę.” Spojrzeli, porozmawiali, machnęli ręką i kazali nam iść. Doszliśmy do umówionego miejsca, w którym czekał na nas wujek.

Pamiętam również pewną inną sytuację. Mama poszła do pracy, a ja zostałam sama z maleńką siostrą. Nagle do naszego domku wpadło dwóch Niemców. Krzyknęli do mnie: „Gdzie są partyzanci?” Odpowiedziałam: „Nie wiem.” Wtedy żołnierze wyjęli czekolady i dali każdej z nas. Chcieli w ten sposób wyciągnąć informacje dotyczące partyzantów. Nie dałam się sprowokować. Powiedziałam, że nic nie wiem. Porozmawiali ze sobą chwilkę i poszli.

Pamiętam też, gdy na teren naszej wioski wkroczyli Rosjanie. To byli okropni ludzie. Niemcy zaczęli w pośpiechu uciekać. Wszystko wywróciło się do góry nogami. To było w 1944 roku.

Danuta Drozdowska

W obozie i w majątku

Był kwiecień 1944 r. Kazali nam wsiąść na furmankę i zawieźli nas do zbiorowego punktu do Wólki. Ze stacji Wólka pojechaliśmy do Poznania. Nocowaliśmy w barakach, ogrodzonych siatką. W tym czasie mój brat pracował w Poznaniu u Niemca. Gdy się dowiedział, przyszedł, żeby się z nami pożegnać. Widzieliśmy się tylko przez siatkę. Siostra też się dowiedziała, że nas wywożą. Pracowała wtedy u niemieckiego gospodarza, w polu przy trasie z Wólki do Poznania. Widzieliśmy przez okno pociągu, jak strasznie płakała i lamentowała.

Niemcy podstawili pociąg, załadowali nas i wieźli nie wiadomo gdzie. Jechaliśmy w bydłowych wagonach. Staliśmy jeden obok drugiego, jak bydłota. Pamiętam, gdy mama mówiła: „Boże, gdzie oni nas wiozą, chyba na stracenie.” Jechaliśmy chyba dwa dni i dwie noce. Dojechaliśmy do Dachau. Baliśmy się, że nas wykończą.

W Dachau był obóz przejściowy. Wysiedliśmy z pociągów. Deszcz padał niesamowicie. Na peronie stał tłum ludzi z bagażami. Szliśmy w tym deszczu kilometr albo dwa, bo obóz znajdował się za Dachau. Pamiętam, jak rodzice rozpaczali. Myśleli, że z nami koniec. Wszyscy mówili, że żywi stamtąd nie wyjdziemy.

W Dachau były zbiorowe kąpiele. Tam byli też nasi sąsiedzi z tej samej wioski. To było bardzo przykre, że całe rodziny musiały razem się kąpać. Ojciec zakrywał sobie przyrodzenie ręką, ze wstydu przed swymi dziećmi.

Pamiętam, że podczas jednej kąpeli, puścili w łaźni wodę z góry. Wy-

skoczyłam, bo się wystraszyłam. Niemka mnie popchnęła. Całe szczęście, że mama mnie przytrzymała, bo upadłabym na beton. Miałam wtedy dwanaście lat. Rodziny, które były w Dachau, często wyprowadzano na plac. Przyjeżdżali gospodarze, właściciele majątków i wybierali więźniów do pracy w Niemczech. Wszystkich naszych sąsiadów zabrali. My zostaliśmy. Chyba dlatego, że ojciec nie miał prawej ręki, a ja i rodzeństwo byliśmy jeszcze mali.

Przykre dla nas było również to, że musieliśmy stać w kolejce za posiłkiem – za miską jedzenia. Na śniadanie była czarna kawa i kromka chleba. Stałam kiedyś w kolejce. W pewnym momencie ktoś mnie kopnął. Była to ponoć Ukrainka. Zrobiła to, żeby szybciej dostać swoją porcję jedzenia. Miałam ranę aż do kości, która długo, długo mi się goiła. Do tej pory mam jeszcze ślad.

W Dachau nie wolno było próżnować. Ojciec, ponieważ znał język niemiecki, roznosił korespondencję. Mama była zatrudniona w kuchni. Ja z siostrą sprzątałyśmy plac i baraki. Siostra sprzątała też baraki po zamordowanych Żydach. Opowiadała, że pełno tam było resztek włosów i krwi. Żydzi byli oddzieleni od nas kratami. Pod koniec wojny były naloty i wtedy nie mogliśmy wychodzić z baraków. Na szczęście żadna bomba w nas nie uderzyła.

Ojciec nawiązał kontakt ze strażnikiem, który przynosił nam nieraz trochę chleba. Gdy nikt nie widział, rzucał na prycze cztery grubsze kromki, żeby jakoś pomóc nam przetrwać. Więcej chyba też nie mógł. Dzięki jego pomocy rodzice wysyłali listy do brata mamy, który był wcześniej wywieziony na roboty przymusowe w Saksonii, do majątku w Wolkenburgu. Rodzice pytali w tych listach, czy właścicielka, u której pracował brat mamy, nie przyjęłaby nas do pracy. Ona wyraziła zgodę i po czterech miesiącach pobytu w Dachau pojechalśmy pociągiem do Wolkenburgu. To było miasteczko bardzo ładnie położone nad rzeką Muldą w Saksonii, osiemdziesiąt kilometrów od Lipska. Lubiłam patrzeć na góry, niżej widoczne były tory kolejowe, a poniżej torów płynęła rzeka. Dalej stały domki. Ten piękny krajobraz pozostał mi na zawsze w pamięci. Na wzgórzu stał zameczek, gdzie mieszkała właścicielka majątku. Około dwustu metrów od domu stał budynek szeregowy. Część mieszkalna była pośrodku. Mieszkaliśmy na parterze. Z boku był chlew ze świniami, które oprzątałyśmy z mamą. Na

Pewnego razu, kiedy na miasto Dachau były zrzucone bomby, mój ojciec dostał jakiegoś szoku nerwowego. Wziął jakieś rzeczy na ramię, biegał, ukląkł, zaczął się modlić. Za chwilę znów wstał, znów biegał, znów ukląkł, upadł na ziemię, jakby się modlił i tak wiele razy. Mama posadziła nas obok siebie i powiedziała: „Usiądźcie dzieci koło mnie. Będziemy się modlić, może jakoś przeżyjemy.” I przeżyliśmy wszyscy.

parterze, na przeciwko naszego mieszkania, mieszkało dwudziestu jeńców z Francji, którzy pracowali u innych gospodarzy we wsi. Mieli swojego strażnika. Rano zabierał ich do pracy, a wieczorem przyprowadzał i zamykał na klucz. W swoim pomieszczeniu mieli też zakratowane okna. Nad nami mieszkała rodzina niemiecka: ojciec, matka i córka z synem. Mąż córki był na wojnie, a jej rodzice pracowali razem z moim ojcem i siostrą na roli. Byli zawsze w stosunku do nas bardzo serdeczni. Gdy przyszła niedziela, piekli jakieś ciasto i podrzucali nam na talerzyku. Z tymi Niemcami żyliśmy w przyjaźni. Na piętrze mieszkała samotna Niemka z dziećmi. Nie wiem dokładnie, z czego żyła, bo nie pracowała. Było też kilku Polaków. Byliśmy my, jeszcze jedna rodzina i wujek, który mieszkał kilometr dalej oraz kuzynka mamy. Pewnej niedzieli odwiedziliśmy ją, chociaż mieszkała jakieś sześć kilometrów od nas. Siostra i ojciec pracowali w gospodarstwie rolnym, oddalonym o kilometr drogi od naszego mieszkania. Ja z mamą – przy hodowli świń. Było ich tam aż sześćdziesiąt cztery. Pomagałam przy obrządku, karmieniu, gotowaniu karmy, wyrzucaniu i wywożeniu obornika. Z drugiej strony budynku był piękny sad. Tam przez furteczkę trzeba było świnki wypuszczać na wybieg. Musiałam ich pilnować, żeby któraś gdzieś nie uciekła. Mama mi o tym wciąż przypominała. Właścicielka przychodziła i co jakiś czas je liczyła. Najbardziej obawiałam się takiego wielkiego knura. Gdy mama wypuszczała go z zagrody, wskakiwałam na murek, albo na drzewo w sadzie. Tak bardzo się go bałam.

Pracowaliśmy tam do końca wojny. Właścicielka często do nas przychodziła. Była bardzo serdeczna. Sprawdzała, czy wszystko jest zrobione, ale nigdy nie miała żadnych uwag. Pamiętam, gdy chodziłam z mamą z wiadrami do pałacu po odpadki z obiadu. Można tam było znaleźć i marchewki, i całe jabłuszka. Mama zużywała te resztki do karmy dla świń, ale wybierała marchewkę, czy jabłuszko. Sami sobie gotowaliśmy i mieliśmy kartki na żywność. Ja najczęściej chodziłam po zakupy do sklepu.

W Wolkenburgu często były naloty i bombardowania. Niemal każdej nocy trzeba było uciekać do schronów, które znajdowały się w pobliżu zamku. Pewnego razu nie zdążyliśmy dobiec do schronu. Rodzice wciągnęli nas do jakiejś piwnicy, gdzie leżał węgiel. Jakoś przetrwaliśmy to bombardowanie. Było to przerażające, ale tylko raz nie zdążyliśmy. Przeważnie udawało nam się dobiec do schronu.

Czesława Tylek

Na Syberii

10 lutego 1940 roku dostałyśmy z mamą nakaz wyjazdu na Sybir. Pamiętam, jak siedziałyśmy w wagonie, a ciocia podała nam przez malutkie okienko koszyk z jedzeniem. Mama musiała wciągać go na sznurku i przeciskać jedzenie przez okno. Było wówczas mnóstwo śniegu, cały świat wydawał mi się biały. Zima w 1940 roku była szczególnie mroźna. Z pryczy w wagonie obserwowałam żegnającą nas na peronie ciocię. Nasz transport przebiegał w naprawdę ciężkich warunkach. W wagonie mieliśmy wyciętą dziurę, do której załatwialiśmy nasze potrzeby. Robiliśmy to prosto na tory. Jechaliśmy ponad miesiąc. Mama nie wiedziała nawet, że w wagonie obok jedzie jej siostra z mężem. Niestety, mężczyzna zmarł w czasie transportu, a jego ciało zabrali Rosjanie i najprawdopodobniej wyrzucili. Siostry spotkały się dopiero na miejscu, dzięki rozmowie z Rosjanami, którzy często opowiadali o jakiejś Jadwidze, która pięknie haftuje. Okazało się, że ciocia mieszka 40 kilometrów od nas, w Kananierce. My mieszkaliśmy w Dałoni. W czasie rosyjskich Świąt Wielkanocnych mama poszła do niej piechotą i wróciły już razem. Ciocia była starsza od matki o 21 lat. We dwie było im znacznie łatwiej, ponieważ gdy jedna szła do pracy, druga mogła zaopiekować się dziećmi i ugotować tzw. „bałuszkę”, czyli zagotowaną wodę z odrobiną soli i przemielonym prosem jak śrut na żarnach, który zastępował nam mąkę.

Nasze dni na Syberii wyglądały niemal tak samo. Początkowo mama pracowała przy wyrębie lasu, a ja, gdy skończyłam sześć lat, musiałam zacząć szkołę. Mrozy dochodziły czasami do minus 50 stopni. Latem upał był tak wielki, że nie można było dotknąć bosą stopą ziemi. Mieszkaliśmy nad samym Irtyszem, więc z dostępem do wody nie miałyśmy problemu. Praliśmy w rzece nasze ciuchy uszyte z jutowych worków, ponieważ z domu wzięliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy, trochę ubrań i pościel, którą radził nam zabrać rosyjski żołnierz. Powiedział, żebyśmy zabrali, co tylko nam się uda, ponieważ na Syberii nic nie będziemy mieli.

Mieszkaliśmy w ziemiance. Była to jama wykopana w ziemi, przykryta gałęziami i obłożona krowim łajnem wymieszanym z wapnem i gliną. To wszystko pomalowane było wapnem. Podłogi nie było. Nieraz dziwiłam się, jak moja mama radzi sobie z tym wszystkim. Do dziś nie mam pojęcia, w jaki sposób udało się jej nas żywić. Jej kuzynka pochowała dwoje dzieci, które umarły z głodu.

Nie chciałam chodzić do rosyjskiej szkoły i często z niej uciekałam. Mama musiała płacić za mnie karę w wysokości dwunastu rubli, co było połową jej miesięcznego zarobku. Na szczęście pewna Rosjanka często się nad nami litowała i przymykała oko na moje ucieczki.

Miejscowa ludność traktowała nas naprawdę źle. Dobrze wspominam tylko jedną starszą kobietę, tzw. babuszkę, Lidie. Często pomagała nam, nieraz dostaliśmy od niej świeże mleko, czy jajka. Większość ludzi odnosiła się do nas jednak z niechęcią. Pamiętam, jak pewna Czeczenka wysypała na ziemię oberki z ziemniaków. Gdy to zobaczyłam, szybko podbiegłam i zaczęłam zbierać je do kieszonki w sukience. Kobieta podeszła do mnie, najpierw uderzyła po rękach, a potem biła tak długo po plecach, aż zrobiły się całkiem fiołkowe. Krzyczała: „Nie rusz, to nie twoje!” Nie odpuściłam jednak, wyplakałam się, przypilnowałam aż weszła do domu, wybierałam oberki razem z piachem i popiołem, i uciekłam. W domu dokładnie je optukałam, ugotowałam we wspólnym dla trzech rodzin garnku, pogniotłam drewnianym tłuczkiem, zrobionym przez mamę, wsypałam mąkę z prosa, sól i usmażyłam na blaszce placki.

Z czasem zaproponowano mamie rosyjskie obywatelstwo, jednak nigdy go nie przyjęła, mimo iż wiązało się to z szansą na lepszą pracę i mieszkanie. Dzięki jej uporowi i wytrwałości pierwszym transportem udało nam się wrócić do kraju.

Jak już wspomniałam, mama najpierw pracowała przy wyrębie lasu. Potem rozpoczęła pracę w kolchozie, przy żniwach. Nosiła na plecach worki ważące 75 kilogramów. Mężczyźni nosili 100 kilo. Pani nauczycielka z hrabiowskiej rodziny musiała znaleźć w sobie siłę, aby podołać takiemu ciężarowi. Często wsypywała garstkę prosa lub pszenicy w buty lub specjalny woreczek wszyty w majtki. Rosjanie zawsze ją kontrolowali, ale nigdy nie mogli nic znaleźć, ponieważ mama uparcie twierdziła, że cierpi na kobiecą przypadłość i nikt nie miał prawa jej tknąć. A garstkę zboża, którą przynosiła, skrupulatnie mieliliśmy i gotowaliśmy naszą bałtuszkę. Kiedyś jednak Rosjanie rozścielili plandekę i zatrudnili do kontroli kobiety. Mama musiała się rozebrać do naga. Znaleziono u niej 500 gram pszenicy. Sprawę zgłoszono do prokuratora. Chyba dzięki opatrności boskiej nic nam nie zrobili.

Mama poszła do prokuratora, Kozaka, kupiła wódkę i uprosiła go, aby nie zabierali jej do więzienia, a nas do sierocińca. Prokurator ulitował się nad nami. Niektórym się nie udawało, na przykład znajomej Niemce, która również przemyciała zboże. Została aresztowana.

Mama pracowała od rana do wieczora. My z bratem po szkole również chodziliśmy do kolchozu. Brat świetnie sobie radził, zaprzyjaźnił się z Rosjanami, między innymi z rybakami, z którymi pływał po Irtyżu i z głodu podkraadał jajka ptakom. Miał wówczas pięć lat. Nigdy nie chorował, w przeciwieństwie do mnie. Ja przesłam tyfus, potem malarię. Leczone mnie chininą i groziła mi nieplodność.

Popołudniami chodziliśmy na świeżo skoszone pole i zbieraliśmy kłosa do worka, z których potem wydmuchiwaaliśmy zboże. Musieliśmy coś jeść, a mama dostawała tylko 400 gram chleba na tydzień. Przymusowo zbieraliśmy też ziemniaki. Nie dostawaliśmy za to pieniędzy, czasami tylko kilka ziemniaków. Gdy miałam możliwość, zawsze jeszcze kilka schowałam do fartuszka, żeby w domu było więcej jedzenia.

Zima była dla nas tragicznym okresem. Mieliśmy zawsze trochę zapasów, które pomagały nam przetrwać. Posiadaliśmy też mały piec wymurowany z kamieni i przykryty blachą. Mogliśmy sobie gotować, jednocześnie się przy nim ogrzewając. Niejednokrotnie miałam odmrożone ręce i stopy. Gdy zasypywał nas śnieg, pierwsza rodzina, która się z niego wygrzebała, pomagała innym ludziom odkopać wejścia do ich ziemianek, żeby mogli w ogóle z nich wyjść. Oprócz ziemianek były też „izbuszki”, czyli małe domki – prawdziwy rarytas, przeznaczony tylko dla nielicznych. Pamiętam, jak moja mama zimą przepędzała po ciemku bydło i przez ogromną zaspę wpadła przez komin do takiego domku.

Pewnego dnia poszłam też kraść arbuzy. Na Syberii rosły naprawdę piękne arbuzy. Chciałam ukraść tak wielki owoc, że uciekając przed stróżem, przewróciłam się, pokaleczyłam, ale udało mi się uciec. Gdy stróż poszedł, wróciłam na pole i ukradłam pierwszy lepszy owoc.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, wojna nie docierała. Nie było nalotów, walk, ani żołnierzy. Panował spokój. Nasz dom był oddalony o 30 kilometrów od lasu, w którym pracowała mama. Gdy szła do pracy, nie było jej kilka dni. Nocowała w szałasie. Rąbała i piłowała ogromne drzewa. W drodze powrotnej niosła jeszcze na plecach worek z szyszkami, aby było czym palić w piecu. Często chodziłam również z mamą na wysepkę usytuowaną na małej rzeczce, odnodze Irtyszu. Gdy panowała susza i rzeczka wysychała, można było dostać się piechotą na wyspę. Zbierałyśmy tam gałęzie i szyszki.

Podczas pobytu na Syberii nie mieliśmy nawet najmniejszej możliwości, aby stamtąd uciec. Nikt nas nie pilnował, ale przejście przez granicę było niemożliwe. Gdyby mama przyjęła obywatelstwo rosyjskie, prawdopodobnie zostałybyśmy tam na zawsze. Wróciliśmy transportem w 1946 roku. Gdy dowiedzieliśmy się o możliwości powrotu, ogarnęła nas wielka radość. Mama płakała ze szczęścia. Zapakowałyśmy na statek nasz mały dobytek. W prezencie dostałyśmy suchary, ufundowane dla Polaków przez Wandę Wasilewską. Pamiętam pewną scenę rozgrywającą się tuż przed odpłynięciem statku: matka miała dwie córki. Jedna z nich uratowała mnie nawet przed utonięciem. Uczyłam się pływać na wznak. Wciągnął mnie wir i tylko dzięki moim długim warkoczom udało się mnie wyciągnąć. W każdym razie, gdy już prawie odpływaliśmy, starsza córka tej kobiety podeszła do niej, szybko się pozęgnęła i powiedziała, że się zakochała i

zostaje na miejscu. Zbiegła po schodkach i pomachała. Matka tak strasznie cierpiała, że musi wyjechać bez córki, że rwała sobie włosy z głowy i traciła przytomność. Sam kapitan przyniósł nawet krople, aby ją ocucić. Po latach dowiedziałam się, że jest książka „Pożegnanie z matką” napisana na podstawie właśnie tych wydarzeń. Ze statku przeładowano nas do wagonów bydłowych. W jednym wagonie znajdowało się kilkadziesiąt rodzin, spaliśmy na pryzkach. Dojechaliśmy do Łobezu. Tam znaleźliśmy duże ilości materiałów, pochodzących ze zbombardowanej hurtowni. Sprzedawaliśmy je w skupie, a za zarobione w ten sposób pieniądze kupowaliśmy jedzenie. Spaliśmy w PUR-ze na betonowej podłodze, w jednym pokoju razem z dwiema rodzinami.

Jadwiga Zaryczna

W Brzezince

Do dziś dobrze pamiętam wybuch wojny. Ludzie biegali przerażeni, krzyczeli: „Wojna! Wojna!” Kupowali sól i naftę. Moja mama stwierdziła, że i tak nie zrobią zapasów na całą wojnę. Kupiła tylko kilogram soli i trochę nafty. A gdy potem jej brakowało, chodziliśmy do lasu. Zbieraliśmy szczypcy. Rąbaliśmy je drobniotko i nimi paliliśmy, żeby było cokolwiek widać. Wtedy tak żyliśmy.

Gdy wybuchła wojna, musieliśmy opuścić dom i uciekać w pole. W naszym domu zamieszkało wojsko. To było chyba rosyjskie wojsko, ale nie jestem pewna. Byli wśród nich lekarze i nasz dom stał się czymś w rodzaju ośrodka zdrowia. Nam kazali opuścić gospodarstwo.

Uciekliśmy, wypuściliśmy krowy i siedzieliśmy w lesie. Na szczęście, było lato. Mama niewiele ze sobą mogła zabrać, zaledwie kawałek chleba do worka. Musieliśmy się bardzo spieszyć. W lesie zjedliśmy po tym kawałku, napiliśmy się mleka i biegaliśmy. Spaliśmy pod drzewem. Od czasu do czasu chodziliśmy też do wioski i zaglądaliśmy, co tam się dzieje. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co nam grozi. Biegaliśmy beztrosko po lesie i niczym się nie przejmowaliśmy. Latały samoloty, spadały bomby. Po zabitych ludziach zostawały tylko buty. Gdy tylko zestrzelony został jakiś samolot i spadał gdzieś w pobliżu, zaraz tam biegliśmy. Mama krzyczała na nas. Bała się, że coś nam się stanie. Nie uważaliśmy na siebie. Ale mieliśmy dużo szczęścia.

Mama była w ciąży i urodziła moją siostrę – Marysię. Przynieśliśmy z domu kołyskę, w której spała moja mała siostrzyczka. Pamiętam, że na jej posłaniu było mnóstwo robaków. Siano w kołysce trzeba było często wymieniać, a w lesie, z dala od domu, nie zawsze było to możliwe. Mama byle czym nakrywała siostrę. Doiliśmy krowę i wlewaliśmy małej do gardła trochę mleka.

W pobliżu był sad i pole, na którym rosły kartofle. Zawsze było się czym najeść. Teraz gdyby wybuchła wojna, ludzie jedliby chyba kamienie i bruk. A wtedy krów i koni pełno było w lesie. Ludzie zawsze mieli co do ust włożyć.

W lesie było mnóstwo ludzi rozmaitych narodowości. Pewnego razu podeszła do mnie Ukrainka i pokazując na swoje dzieci powiedziała, że chcą pić. Po ukraińsku tylko ja rozumiałam. Powiedziałam im, że jeśli chcą pić, to zaraz im przyprowadzę krowę. „Pokażę wam, gdzie jest nasza krowa, to ją sobie wydoicie. Musicie sobie tylko jakąś czarupę znaleźć” – dodałam. Czarupami nazywaliśmy blaszane pudełka po konserwach, które zostawiali w lesie żołnierze. Mleka miałam im żałować? A poza tym krowy trzeba było wydoić, bo nie dojone mogłyby dostać jakiegoś zapalenia. Ci Ukraińcy dziękowali mi bardzo gorąco. Wydoili krowę, dzieci napiły się mleka i znów rozproszyliśmy się po lesie.

W lesie byliśmy przez cały okres pobytu Rosjan w Gajdach. Potem wojsko poszło dalej, a my wróciliśmy do domu. Nie pamiętam, jak długo to trwało. Byliśmy w domu, ale nadal było bardzo niebezpiecznie. To spadała bomba, to wybuchł jakiś pożar. Nie mieliśmy spokoju.

Do Gajd weszli Niemcy. Szczególnie utkwił mi w pamięci moment, gdy Niemcy zabierali Żydów do Oświęcimia. Prowadzili ich bosych i zziębniętych przez wioskę. Przerażeni Żydzi wołali do mojej mamy. „Aj waj! Aj waj! Maryśka! Zasłużyliśmy na to. Nasz naród musi zginąć. Już teraz zawsze będziemy tak cierpieć”.

Pamiętam też inną historię z czasów wojny. Nasi sąsiedzi nie mieli co jeść. Złapali więc błakającą się po okolicy krowę i zaprowadzili ją schodami na strych. Sąsiedzi doili ją i mieli mleko dla dzieci. Z czegoś trzeba było żyć. Pewnego razu na ich podwórze przyszli Niemcy i zapytali dzieci, gdzie są ich rodzice. „Nie ma” – odpowiedziały dzieciaki. Niemcy pytali też, czy mają krowy. Dzieci zgodnie z prawdą odpowiedziały, że krowa jest na strychu. Niemcy poszli na strych, znaleźli krowę i zabili całą rodzinę – rodziców i dzieci. Za jedną krowę... Od tej pory wiem, że o niczym ważnym nie wolno rozmawiać przy dzieciach.

W czasie wojny wywożono ludzi do Niemiec na roboty. Mnie nie wzięli. Chyba dlatego, że byłam za niska i zbyt drobna. Sołtys podał moje nazwisko komisji, ale komisja zdecydowała, że nie pojedę. Może pomyśleli też o tym, że mama jest sama, że ja jestem najstarsza, że w domu są małe dzieci. Nie wiem.

Moja radość nie trwała jednak zbyt długo. Niebawem zostałam schwytana w łapance. Nie pamiętam, który to było rok. Działo się to zanim spalił się nasz dom. Uciekaliśmy boso po rowach, w których było mnóstwo robali. Chciałam się napić, zaczerpnęłam wody, a tam był jeden robak na drugim. Ale musiałam się napić, bo już nie mogłam wytrzymać. Byłam taka spragniona. Niemcy łapali wszystkich, na nic nie zważali. Los padł na mnie i zostałam wywieziona do Brzezinki. Zabrali mnie boso i bez majtek. Jadąc do obozu, nie miałam ze sobą

nic. Z całej mojej rodziny złapali tylko mnie. Później, już po moim powrocie, mama opowiadała, że bardzo płakała, bo nie wiedziała, co się ze mną stało.

Do Brzezinki jechaliśmy furmanką. Nasza podróż trwała może jeden dzień, nie dłużej. Złapali wtedy bardzo dużo ludzi. Zabierali po parę osób z każdej mijanej wioski. Ale ja nikogo nie pamiętam.

Z Oświęcimia do Brzezinki prowadziły tory, po których jeździła kolejka. W Brzezince – tam, gdzie trafiłam, na polu stała stodoła. Tam spaliliśmy. Pracowaliśmy na polu, na którym rosło żyto i ziemniaki. Musieliśmy to wszystko zniszczyć, bo kopaliśmy tam jamy. Do wykopanych dołów wrzucane były trupy, które później zakopywaliśmy.

Jak już wspominałam, spaliliśmy w stodole. Tak naprawdę to jednak niewiele wspólnego miało ze spaniem. Wciąż tylko zagłądaliśmy i nasłuchiwaliśmy. Baliśmy się, że Niemcy wpadną i nas „pozarzynają”.

Pierwszego dnia przywieźli nas na miejsce, dali szpadle i kazali kopać. Nie powiedzieli nam, gdzie jesteście. Tam było mnóstwo ludzi. Dorośli, dzieci, kobiety, mężczyźni. Wszyscy. Kogo tylko złapali... Ludzie rozmawiali ze sobą, ale do mnie nikt się nie odzywał. Wtedy dorośli nie rozmawiali z dziećmi. Nic nie wiedziałam, nic nie słyszałam.

Gdy widziałam niedawno Brzezinkę w telewizji, to niczego nie poznałam. Tam, gdzie mnie przywieźli, było tylko pole, stodoła i kolejka. Hitlerowcy przyjeżdżali od czasu do czasu i dowozili ludzi do „niszczenia”. Niemcy od razu zabijali tych, których przywozili. Nas nie ruszali. Niektórzy z mordowanych byli w ubraniach, inni nago. Hitlerowcy strzelali do nich od tyłu i wpychali do jam. Wiele osób jeszcze żyło i ruszało się między trupami. My musieliśmy stać bez ruchu i patrzeć na to wszystko. Ci Niemcy, którzy przyjeżdżali na nic nie patrzyli. Wystarczyło, że ktoś się ruszył, od razu spuszczały psy. Nie można było nawet drgnąć, nawet pisnąć. Pewnego razu jeden z esesmanów uderzył grubym drągami mężczyznę z naszej grupy w głowę. Ten człowiek padł, czaszka mu pękła. Jeszcze chwilę poruszał się i zmarł.

Z nami mieszkał tylko jeden Niemiec, który nas pilnował. Bardzo dobry człowiek. Był niezwykle czujny i zawsze wyczuwał na podstawie wiatru, czy ktoś się zbliża. Gdy słyszał, że hitlerowcy nadjeżdżają, że szczekają psy, zaraz był w pogotowiu. Bardzo się bał. Patrzył na to, co wyrabiają jego rodacy. Biedny! Też nie mógł nic zrobić. My wszyscy staliśmy wokół niego. A jemu lzy ciekły po twarzy, gdy widział to bestialstwo.

Hitlerowcy postrzelali, pozabijali ludzi i jechali dalej. Wtedy nasz „opiekun” kazał nam rzucić szpadle i usiąść. Siedział z nami, rozmawiał, głaskał nas. Ja umiałam trochę mówić po niemiecku. Potem jednak nie miałam styczności z Niemcami i wszystko zapomniałam. Dzięki Niemcowi, który nas pilnował, na-



Fotografia z czasów pobytu w Brzezince

prawdę nie było mi źle w obozie. Byłam najmniejsza i on zawsze brał mnie na kolana. Gdy przywożono z kuchni jedzenie, pierwszy próbował. Jeśli zupa była dobra, kazał nam jeść. Jeśli nie, całą wylewał. Do jedzenia w obozie dostawaliśmy najczęściej zupę z wyki. Była niedobra, tak gorzka, że aż trudno było ją przetykać. Wyką na wsi karmiono konie i krowy, a w obozie jedli ją ludzie. To była postna zupa – sama wyka i woda. Ten Niemiec wyrzucał mi całą wykę z zupy. Na śniadanie dostawaliśmy chleb. Na szczęście, chleb był smaczny. Od czasu do czasu dawano każdemu po trzy papierosy. „Nasz” Niemiec zawsze kazał je wywalać. Tylko jeść nam kazał. I wodę przynosił.

Pracowaliśmy bardzo ciężko. Często nie mogłam nawet szuflki do góry podnieść, taka byłam słaba z głodu. Wszystko mi leciało z rąk. Do niczego się nie nadawałam. Byłam zupełnie wycieńczona. Niemcy przywozili trupy. Kto był silniejszy, szybko je zakopywał. A tam jeszcze ludzie się ruszali...

Dziś, gdy o tym pomyślę, to sądzę, że byłam wtedy naprawdę głupia. Nic nie myślałam. Nie bałam się. Kazali mi wziąć łopatę i kopać, to wzięłam i kopałam. O komorach gazowych słyszałam już w Gajdach. I o tym, że Niemcy niszczą tam Żydów i Cyganów. Ale nie zastanawiałam się nad tym. W ogóle o tym nie myślałam. Ciemna byłam. Żyłam, bo żyłam. Nawet pięcioletnie dziecko wie więcej niż ja wtedy wiedziałam.

Potem, już w domu, rozmawiałam z mamą na ten temat. Pytałam, dlaczego inni więźniowie nie chcieli ze mną rozmawiać. A ona odpowiadała „A co ci mieli mówić? Widzieli, że to już koniec. O czym mieli opowiadać?” Nawet nie wiem, czy tam byli tylko Polacy.

Zbliżał się koniec wojny. Nie potrafię dokładnie sobie przypomnieć, jak to się stało, że nagle zostałam zupełnie sama. Nikogo nie widziałam. Chyba wszyscy uciekli, gdzie się rozbiegli – Niemcy i inni więźniowie. A ja zostałam sama jedna. Usiadłam i czekałam nie wiadomo na co, skulona i marniutka, koło jednej z jam. Nie wiedziałam, dokąd mam iść. Było pusto, cichutko, bezwietrznie.

Nagle zobaczyłam, że idą żołnierze i jadą czołgi. Nadjechali Rosjanie i wyswobodzili mnie z obozu. Samochody zatrzymały się. Żołnierze zobaczyli, że jeszcze naokoło leżą szpadle, wykopane są jamy i dziury. Zapytali mnie po rosyjsku, skąd jestem. Odpowiedziałam: „Z Sieniawy”. „To dobrze! Siadajcie, dziewczuszkó” – odparli. Wsiadłam na jeden z rosyjskich samochodów i pojechaliśmy. Tam było mnóstwo żołnierzy. Grali, śpiewali po polsku i po rosyjsku, przytulali mnie. Mieli ogromne bryły cukru, które tłukli na kawałki i dawali mi do ssania. Przywieźli mnie aż do Sieniawy. Mama nieraz potem mówiła, że miałam wiele szczęścia.

Anna Stepanek

Żydówka

Niebawem ewakuowano nas z domu. Niemcy kazali nam się wyprowadzić. Nasz dom znajdował się w dzielnicy Grodna, którą można było z łatwością odgrodzić od reszty miasta. Tam utworzono żydowskie getto. Wszystkich ludzi stamtąd przeniesiono, a teren ogrodzono kolczastym drutem. Nigdy tam nie chodziliśmy, bo rodzice nam nie pozwalali. To było bardzo niebezpieczne. W getcie Niemcy zgromadzili wszystkich Żydów z Grodna i okolic. My zamieszkaliśmy w mieszkaniach żydowskich.

Nam, dzieciom, oszczędzano drastycznych opowieści o prześladowaniach Żydów. Tatuś był w tym czasie maszynistą. Niejednokrotnie wioził transporty ludzi. Na początku on i jego koledzy nie wiedzieli, co wiozą. Dopiero, gdy dojeżdżali na miejsce, Niemcy otwierali wagony. Kazali wysiadać Żydom, którzy



Nasz dom w Grodnie

zaczynali uciekać. Niemcy do nich strzelali. Tatuś wracał do domu chory, bardzo to przeżywał. Nie mógł przestać myśleć o niewinnych ludziach padających od strzałów, o krwi na białym śniegu.

O tym, co działo się w getcie, niewiele słyszałam. Pamiętam, że do tatusia przychodził żydowski krawiec. To był bardzo dobry fachowiec. Niemcy wypuszczali go z getta, bo szył dla nich. Żydzi często byli świetnymi fachowcami. Oprawcy pozwalali im od czasu do czasu opuszczać getto. Wówczas zlecali im wszystkie prace. Żydzi pracowali za darmo, ale choć przez jakiś czas mogli przebywać na wolności. Tatuś pomagał temu krawcowi. Zawsze dawał mu coś do jedzenia. Ten Żyd bardzo chciał, żebyśmy go u siebie przechowali. Mieszkaliśmy wtedy w małym mieszkaniu. Gdy tylko powstało getto, zostaliśmy skierowani do dwupokojowego mieszkania. A było nas wtedy sześcioro – babcia, rodzice, dwie siostry i brat. Nie było ubikacji, tylko mały pokoik – komórka, w której stało wiadro. Żydowski krawiec mówił, że on mógłby siedzieć nawet w tej komórcie. Rodzice jednak bardzo się bali. Mieli przecież dzieci, a Niemcy codziennie przychodzili i sprawdzali mieszkanie.

Bank, naprzeciwko którego mieszkaliśmy, prawdopodobnie przed wojną należał do Żydów. Pewnego razu wyszłam na ulicę. To była zima, mróz, mnóstwo śniegu. Przed bankiem stała Żydówka. Musiała chyba wyjść z piwnic budynku. Była w nim masa różnych zakamarków. Ona musiała się gdzieś ukryć i chyba była tam bardzo długo. Gdy wyszła z ukrycia, miała na sobie futro. To futro było aż białe od wszy, całe się ruszało. Przybiegłam do domu i zawołałam: „Mamusiu! Boże! Tam stoi kobieta i płacze”. Mamusia odpowiedziała: „Dziecko, nie podchodź do tej pani. Nie możemy jej pomóc, bo Niemcy nas zabijają”. Nie wiem, kto ją zabrał. Pewnie Niemcy ją zabili. To była staruszka. Musiała się ukrywać, ale już chyba dłużej nie mogła wytrzymać i wyszła na środek ulicy. Widocznie na niczym już jej nie zależało.

Lilia Kononowicz

Trzy czołgi ze wschodu

Choć wojna rozpoczęła się w 1939 roku, tak naprawdę długo nie odczuwaliśmy jej skutków. Życie toczyło się zwyczajnie – dorośli pracowali, dzieci chodziły do szkoły. Potem rozpoczęły się wywózki młodzieży do pracy do Niemiec. To był 1942, może 1943 rok. Ogłaszano, że wyświetlają w kinie jakiś film. Gdy kino było pełne młodych ludzi, zamykano drzwi. Pod budynek podjeżdżały ciężarówki, do których zaganiano młodzież. Wszystkich wywożono na zachód. Z niektórymi spotkałam się po latach w Rzepinie.

Przed rozpoczęciem działań wojennych w Kozłowie, Niemcy zaczęli robić w domach rewizje. Byłam wtedy jeszcze mała. Pamiętam, że pewnego razu podczas rewizji rozplakałam się ze strachu. Niemiec zaczął krzyczeć, że mam być cicho. Przewrócili wszystko w mieszkaniu, zajrzeli w każdy kąt. Co chcieli, zabierali – złoto, skóry. Codziennie musieliśmy też oddawać Niemcom mleko. Mieliśmy wtedy cielną krowę i nie było mleka. Mama musiała więc je kupować i oddawać Niemcom.

Z Kozłowa zaczęto wypędzać Żydów. Niemcy pędzili ich naszą ulicą – starych, młodych, małe dzieci. Spędzano ich na miejsce, gdzie kopali duże, kwadratowe groby, a później byli tam rozstrzeliwani. Po zlikwidowaniu Żydów, ludzie zaczęli mówić: „Żydów wymordowali, teraz będą mordować Polaków”. Ktoś puścił plotkę, że w centrum Niemcy już biją Polaków. Ludzie w popłochu zaczęli uciekać. Mama zabrała najpotrzebniejsze rzeczy. Dała nam chleb, który zawiązałyśmy w tobołku na plecach. Uciekłyśmy dziewięć kilometrów od Kozłowa. Ukryłyśmy się w rowie. Zapadł zmierzch. Ktoś nagle krzyknął, że mamy wracać, że to był fałszywy alarm. Wróciłyśmy do domu.

Podczas wakacji 1944 roku z zachodu na wschód zaczęły się przemieszczać wojska. Żołnierze szli i jechali ulicami Kozłowa. Dokładnie nie pamiętam, które to były wojska, ponieważ byłam dzieckiem. Szła piechota, żołnierze jechali konno, wieźli ze sobą armaty. Wojsko szło trzy doby, a może i dłużej. Dzień i noc. Na końcu jechali żołnierze niemieccy na ciężkich motorach. Widać było na pierwszy rzut oka, że wojsko niemieckie było najbogatsze. Żołnierze mieli piękne mundury i czapki oraz najnowocześniejszy sprzęt. Po przejściu wojsk przez jakiś czas mieliśmy spokój.

Potem jednak ze wschodu przyjechały trzy czołgi, które zatrzymały się przed mostem na łące. Dzieci z okolicy (ja również) pobiegły zobaczyć, czy to wojsko polskie. Nie zdołaliśmy jednak obejrzeć czołgów, ponieważ zaraz nas zawrócono. Ktoś zaczął krzyczeć, że mamy wracać do domu. W nocy rozpoczęła się strzelanina. Chowaliśmy się w domu po kątach – pod ławki, za skrzynie. Gdy strzelanina się wzmagała, mama zasłaniała okna poduszkami. Mówiła, że jeśli wleci jakaś kula lub w pobliżu wybuchnie bomba, poduszki trochę nas osłonią. W dzień wszystko ucichło, a w nocy znów usłyszeliśmy strzały oraz wybuchy bomb i granatów. Na podwórku było słychać na przemian wojsko rosyjskie i niemieckie. [...]

U mojej cioci, która mieszkała w domu przed nami, stacjonowało jeszcze kilku rosyjskich żołnierzy. Były tam też rosyjskie kobiety. Mieli ze sobą wojskowy telefon na korbkę. Dzięki temu zawsze wiedzieli, co dzieje się na froncie. Wszystkie wiadomości przekazywali nam. 8 maja o piątej rano jedna z Rosjanek zaczęła walić do naszych okien i krzyczeć: „Koniec wojny! Niemiec kaputt!”

Rano poszłam do szkoły. W szkole wszyscy już wiedzieli, że wojna się skończyła. Nauczyciele kazali nam wrócić do domu i ładnie się ubrać. Mieliśmy iść na uroczysty marsz. Nauczyciele dali nam chorągiewki. Młodsze dzieci dostały żółte, a starsze – czerwone. Wszyscy uczniowie szkoły podstawowej i gimnazjum maszerowali w szeregach po mieście. Śpiewaliśmy piosenki. Radość była ogromna.

Zofia Kliszczak

Nocne bombardowania

Podobno była wówczas piękna, słoneczna pogoda. Moje pierwsze wspomnienia związane z wojną wiążą się z nocnymi bombardowaniami. Uciekaliśmy wówczas z miasta do wykopanego w lesie schronu. Podczas jednej z ucieczek mama wzięła mnie na ręce. Moja siostra biegła obok i w pewnym momencie się zgubiła. Miałam na sobie kożuszek, a moje sandałki trzymała siostra. Co chwilę musiałyśmy padać na ziemię, aby uchronić się przed spadającą bombą. Dostałam jakąś gałąź czy odłamkiem w głowę, co dość mocno rozcięło mi skórę. Rano miałam całą twarz we krwi. W bosą stopę wbił mi się też ogromny kolec akacji i bardzo mnie to bolało. Po kilku dniach mama okładała mi stopę liśćmi babki i podbiału, ponieważ zbierająca się ropa uniemożliwiała mi normalne chodzenie. Dobiegłyśmy do pobliskiej osady, w której zgromadziło się mnóstwo ludzi. Samoloty strzelały do nas z karabinów maszynowych. Moja siostra zaczęła uciekać, pobiegła przez pola. Zatrzymał ją rosyjski żołnierz. Na szczęście wziął ją za rękę i zaprowadził do schronu położonego obok toru kolejowego prowadzącego do Lwowa. Nad ranem, gdy wszyscy wyszli ze schronu, moja siostra sama wróciła do domu. Mama myślała, że siostra już nie żyje i szukała jej wśród łąków na polu. Bardzo się ucieszyliśmy, gdy zobaczyliśmy jak nadchodzi, kurczowo trzymając w ręce moje białe sandałki. Potem opowiadała nam, że dzięki tacie wiedziała, kiedy padać na ziemię, a kiedy biec dalej. Tata często nam powtarzał, że jak słychać świst lecącej bomby, trzeba się położyć i czekać aż do wybuchu.

Podczas wojny ojciec pracował przy transporcie broni i po nocnych nalotach nigdy nie wiedzieliśmy, czy żyje, ponieważ wagony często wysadzane były w powietrze. Mama klęczała wówczas na polu i modliła się, aby tata przeżył. Pamiętam strach o niego, ale zawsze ktoś z karabinem odprowadzał go do domu. To było jeszcze przed wkroczeniem Rosjan i dotarciem frontu w nasze okolice. Tato opowiadał, że transporty wojskowe podwozi zawsze blisko frontu na zachód. Przepisy na kolei były takie, że podczas wojskowego transportu, nawet w trakcie bombardowania maszynista nie miał prawa opuścić swojego parowozu. Uciec mogli tylko żołnierze jadący tym pociągiem. Tata przeżył więc naprawdę

dużo. Gdy wracał po tygodniowym wyjeździe, był strasznie zmęczony, cały czarny, jakby zwęglony. Zmieniło się to dopiero po wkroczeniu Rosjan.

Wejścia do schronu często przykrywane były trawą, żeby nie były widoczne z zewnątrz. Zostawiano tylko małe otwory, przez które wlatywało powietrze. Pewnego dnia, kiedy wszyscy siedzieliśmy w schronie, kuzynka mamy Tosia, tęga kobieta, stanęła obok takiego otworu. Nagle wszyscy zaczęli się dusić i kłócić, ponieważ zatamowała dopływ tlenu. Musieliśmy wyjść na zewnątrz, mimo trwającego nalotu.

Gdy nadchodziły bombardowania, uciekałyśmy z mamą z naszego rodzinnego domu do babci Kubisztalowej, która mieszkała nieopodal. Nasz dom był bardzo narażony na ataki, ponieważ położony był blisko dworca kolejowego. Razem z siostrami często chowałyśmy głowy pod poduszki albo wchodziłyśmy pod stół, licząc na to, że w ten sposób uchronimy się przed bombami.

Wkrótce na polskich osadników zaczęły napadać ukraińskie bandy, które rabowały wszystko, co wpadło im w ręce i mordowały mieszkańców. Zjawisko to było szczególnie nasilone w małych wioskach lub na obrzeżach miast, dlatego wszyscy uciekali z małych miejscowości. My dla bezpieczeństwa zamykałyśmy na noc okna specjalnymi żelaznymi okiennicami. W moim rodzinnym domu w Zdobunowie uciekinierzy zajmowali każdy wolny kąt, nawet piwnicę i strych. W naszym sadzie stały wozy z furmankami, pełne ludzi, którzy nie mieli się gdzie schować.

Mąż mojej siostry pochodzi ze wsi Tajkury, w której Ukraińcy wymordowali szczególnie dużo Polaków. Pamiętam, że widziałam wielu znajomych naszej rodziny, leżących bez życia na ulicy. Naszej fryzjerce bomba urwała głowę. To był naprawdę okropny widok. Często zdarzało się także, że ludzie dusili się wewnątrz schronu. Spadające bomby zasypywały wyjścia i ludzie nie mieli szansy ucieczki. Bomba zniszczyła również nasz sad i pół kuchni, w tym nasz piękny kredens. Spod gruzów wyciągaliśmy sztućce i szczątki naczyń.

Uciekaliśmy do wielu miejscowości: do Kopytkowa, potem do Glińska – do bogatego Czecha, do którego zawoziła nas mama. Było nam tam bardzo dobrze, gospodarz o nas dbał i porządnie karmił.

Pamiętam, że obawialiśmy się Rosjan. Po ich wkroczeniu wielu Polaków zostało zwolnionych z pracy, między innymi mój tata, który został skierowany do kopalni kredy. Była to kara, coś na kształt więzienia, mającego na celu gnębienie ludzi. Tata przychodził z pracy okropnie zmęczony i brudny. Pracował od rana do wieczora. Na miejsca pozwalnianych Polaków Rosjanie przyjmowali Ukraińców. Momentalnie zabrakło wszystkiego. Na przykład, aby dostać cukier trzeba było stać cały dzień w kolejce. Skończyły się też nasze zapasy żywności. Były to dla nas najtrudniejsze czasy, ale moi rodzice robili wszystko, abyśmy mieli co jeść.

Mieczysława Drożdżyńska

Powrót taty

Gdy rozpoczęły się działania wojenne, byłam dzieckiem, czułam jednak jakiś niepokój. Patrzyłam na sąsiadów, którzy wciąż odwiedzali się nawzajem i nerwowo o czymś dyskutowali. Mówili, że wojna będzie, że idą Niemcy, że nas wszystkich pozabijają. W dniu wybuchu wojny wszyscy byli bardzo zmartwieni, przyciębieni i nerwowi. Tato został powołany do wojska i mama odprowadziła go na stację. Miał stawić się w jednostce w Kutnie. Gdy mama wracała do domu, spadły pierwsze bomby na Kłodawę. Uszkodziły kościół. Potem często były bombardowania, ale my mieszkaliśmy na wiosce, więc nie odczuliśmy tego tak dotkliwie. Wciąż słyszeliśmy jednak o rannych i zabitych.

Z województwa poznańskiego zaczęli uciekać ludzie. Drogami jechały całe tabory, wozy z budami. Ludzie uciekali do Warszawy. Myśleli, że tam będą bezpieczni. Polacy wtedy mówili, że Niemcy dojdą najdalej do Warszawy, że polskie wojsko nie odda stolicy. Krzyczeli, że nie dadzą nawet jednego guzika. Niestety, nasze wojsko było zbyt słabe, a Niemcy mieli samoloty i broń.

Gdy Niemcy zajęli Kłodawę, uciekinierzy z Poznania nie wiedzieli już, co robić – wracać, czy iść dalej. Przez tydzień mieszkała u nas rodzina z okolic Poznania. To była duża rodzina – rodzice, dzieci i wnuki. Mieliśmy ciasno, ale ich przyjęliśmy. Mama pościeliła słomę na podłodze, położyła jakieś prześcieradła i tak spali nasi goście. Później wrócili do Poznania. Mówili, że będą pisać, zapraszali nas do siebie, ale po wojnie był wielki zamęt i nasze kontakty się urwały.

Gdy tato poszedł na wojnę, mama bardzo rozpacziała. Została bez środków do życia. Później tato opowiadał nam o swoich wojennych przeżyciach. Mówił, jak z wojskiem wycofywali się do Warszawy, jak Warszawa została zajęta przez Niemców. Mówił, że gdy bombardowano banki w stolicy, pieniądze fruwały po ulicy. Można było je zbierać. Tato nigdy nie był chciwy. Wziął tylko parę złotych, ale niektórzy brali więcej. Tato myślał: „Ach, może zginę. Może niepotrzebne będą mi pieniądze?” Polskie wojsko wycofywało się aż pod rosyjską granicę. Żołnierze chcieli przedostać się do Rosji. Rosjanie podobno przyjmowali polskich żołnierzy. Tato opowiadał, że byli bardzo zmęczeni. Cały tydzień szli, nie spali, ukrywali się przed Niemcami. Zatrzymali się przed granicą, żeby odpocząć. A gdy ruszyli, Rosjanie otworzyli do nich ogień. Polscy żołnierze znowu wycofali się. Przeżyli, ale byli załamani. Porucznik Mróz powiedział wtedy: „Chłopcy! Już nie mamy siły, musimy się posilić”. Byli wtedy w jakimś lesie. Dostali chyba coś do jedzenia od ludzi po drodze. Porucznik postanowił, że powinni się rozstać. Żołnierze odpoczęli i zakopali broń w lesie, żeby nie oddać nieprzyjacielowi. Dowódca zaczął się z nimi żegnać. Popłakali się wszyscy i poszli – każdy w swoją stronę.



Z siostrą i bratową mamy; stoję w środku (1941)

Tatuś szedł do domu dwa tygodnie. Pytał ludzi o drogę. Szedł tylko nocą, żeby nie trafić na Niemców. Okupanci łapali ludzi i wywozili na roboty do Niemiec.

Podczas nieobecności taty sąsiedzi obsiali nam ziemię. Z mieszkańców wsi tylko nasz tato został powołany do wojska. Tylko on poszedł na wojnę. Sąsiedzi postanowili nam pomóc. Pewnego razu w październiku mama poszła po zakupy do Kłodawy. Mnie kazała pilnować pola, ponieważ kury wybierały ziarno. Wysłałam na dwór i zobaczyłam, że kury chodzą po polu. Zaczęłam je straszyć i odpędzać. Nagle daleko na horyzoncie pojawił się mężczyzna. Był jeszcze daleko, gdy zaczął wołać: „Jadzia! Jadzia!” Przystanęłam zdziwiona i spojrzałam w tamtą stronę. Tato! Zaczęłam płakać. Tato podszedł bliżej i uściskał mnie. Zapytał o mamę. Powiedziałam, że poszła do miasta. Tato postanowił wyjść jej naprzeciw. Mama szła z zakupami. Zapłakana i zamyślona dźwigała ciężkie torby. Tatuś przeszedł koło niej, a ona nawet go nie zauważyła. Dopiero, gdy ją minął, zawrócił i zawołał: „Lodzia!” Padli sobie w objęcia.

Jadwiga Ciesielska

„Jeszcze Polska nie zginęła”

Gdy zbliżał się koniec wojny – to był koniec 1944, a może już 1945 rok – na balkon swego domu wyszli Rysiek i Regina i zagrali „Jeszcze Polska nie zginęła”. Rysiek grał na harmonii, a Regina na skrzypcach. Stanęliśmy na baczność. To była wielka konsternacja. Mama, dziewczyny i starsi bracia zaczęli wtedy dyskutować o zakończeniu wojny. Polski hymn zagrany przez ludzi, którzy uważali się za Niemców, był tego najlepszym świadectwem.

W Jeleśni na polach za cmentarzem rozbił się amerykański samolot. Pamiętam, że bracia zaraz tam pobiegli. Byli pierwsi przy tym samolocie. Pilot amerykański rzucił im zwinięty biały spadochron i buty. Jakie były losy tych pilotów? Nie wiem. Może schowali się u partyzantów i udało im się przeżyć. Nie wiadomo... Potem nadjechali Niemcy i przepędzili stamtąd wszystkich. Ale te buty i spadochron, które bracia przemycili, bardzo nam się przydały. Spadochron był uszyty z pięknego białego materiału. Przez całą wojnę leżał ukryty w piwnicy, zagrzebany w ziemniakach, żeby nie wpadł nikomu w ręce. Moja sukienka komunijna po wojnie była częściowo uszyta z tego spadochronu.

Ludzie mówili, że na zachodzie walczy nasze wojsko. Chodziły słuchy, że nasi wszyscy żołnierze poszli na Bramę Morawską. Patrzyłam wciąż w kierunku gór i szukałam wzrokiem tej sławnej Bramy Morawskiej. W czasie wojny dostaliśmy kilka kartek z zagranicy – z Włoch, z Węgier. Mama głęboko chowała

te listy, ale, gdy my tylko dowiadaliśmy się o tym, bardzo się cieszyliśmy, że przychodzą do nas wiadomości z innych części świata. Mężczyźni, którzy poszli na Bramę Morawską (wśród nich mój ojciec), uciekli ze wschodu. Wymknęli się Rosjanom z pędzącego pociągu. Ojciec miał łopatkę saperską. Żołnierze wybili deski w podłodze wagonu i zsunęli się pod nią. Przez jakiś czas chronili się w okolicznych domach, później musieli uciekać.

W 1944 roku poszłam do szkoły. Szkoła dla polskich dzieci mieściła się w budynku starej gminy żydowskiej. Do pięknej szkoły oddanej tuż przed wojną na rynku w Jelesni uczęszczały dzieci niemieckie. Przechodziliśmy obok niej niejednokrotnie z olbrzymim bólem serca, choć i tak byłam bardzo szczęśliwa, że w ogóle mogę chodzić do szkoły.

Wydaję mi się, że byłam w budynku szkolnym wcześniej, nim jeszcze zostałam uczennicą. Mieszkała tam wtedy rodzina żydowska. Na środku przyszej klasy stał ogromny piec kaflowy. Pamiętam, że pewna Żydówka w szerokiej spódnicy wchodziła na stołek i ściągała z niego duże, kolorowe pudełko, w którym były pierniki. Częstowała nas tymi ciastkami.

Gdy potem trafiłam do szkoły, w klasie znajdowała się wielka tablica stojąca na stojaku. Moja nauczycielka miała niebieskie oczy i włosy upięte w piękną gretkę. Miałam rysik, którym pisałam na tabliczce. Siedziałam w pierwszej ławce z koleżanką Helenką.

Nie zdążyłam nawet skończyć pierwszej klasy, ponieważ nadszedł front. Toczyły się straszne walki. Szczególnie zapamiętam moment, gdy wychodziliśmy z jakiejś piwnicy w ogrodzie. Chowaliśmy się tam przed kulami i granatami. Pierwsza wyszła Helenka z którymś z rodziców. ledwie znalazła się na powierzchni, gdy dostała odłamkiem lub kulą prosto w serce. Dorośli wzięli ją na ręce i pobiegli do domu, ale ona już nie żyła. Tak zginęła Helenka.

Gdy zaczynał się front, niemieccy cywile zaczęli w pośpiechu wyjeżdżać. Ładowali wozy, zabierali cały swój dobytek i uciekali w stronę czeskiej granicy. Część Polaków mogła dzięki temu wrócić do swoich dawnych domów. My też przeprowadziliśmy się do domu, który mama tuż przed wojną nabyła od koleżanki. To był bardzo ładny dom z ogromnym, pięknym sadem. Długo tam jednak nie mieszkaliśmy. Stał on bowiem w złym miejscu. Wciąż w jego stronę strzelano, bito z moździerzy i różnych pocisków. Pewnej nocy w fundament wpadł granat. Akurat spaliśmy i nasze głowy znajdowały się w pobliżu feralnej ściany. Na szczęście fundament nas ochronił. Granat odbił się od niego i poleciał w inną stronę. Wszystko – półki i obrazy – wciąż spadało ze ścian. Było bardzo niebezpiecznie, nie mogliśmy dłużej zostać w tym domu.

Gdy nadszedł front, nie mieliśmy już kontaktu z cicią Wisią. Nie mogliśmy już liczyć na jej pomoc. Ciocia została zabrana do Ravensbruck. Aresz-

towano ją na Śląsku. Starszego brata też z nami już nie było. Mama z Edkiem zakopała kilka dużych czarnych skrzyń po amunicji w drewni i w piwnicy w ogrodzie. W czasie frontu spłonął dom i wszystko naokoło. W skrzyniach zachowało się trochę zdjęć, głowa maszyny do szycia „Singer”, wiele drobiazgów i cennych pamiątek.

Mieszkanie cioci zostało zabrane przez Niemców. Zresztą, wtedy wszyscy mówili, że przez Katowice i przez inne miasta na Śląsku przejdzie straszny front. Wielu ludzi uciekało z miast na wieś, żeby się uchronić przed niebezpieczeństwem. Okazało się jednak, że przez śląskie miasta front przeszedł szybko, mniej było tam zniszczeń, natomiast na dłużej zatrzymał się na Podbeskidziu. Znaleźliśmy się w samym centrum wojennego piekła. Po pewnym czasie wojsko wywoziło nas w stronę Krzeszowic. Ewakuowano tam ogromną liczbę ludzi. Pamiętam, że byłam bardzo zmarznięta. Nas umieszczono u rodziny Kawów. Przydzielono nam duży pokój. Dom znajdował się tuż przed kościołem. Przed Wielkanocą sprzątałyśmy z mamą przed kościołem i za to dostawałyśmy od księdza jajka. Jedzenie otrzymywaliśmy od wojska. To była zupa gotowana w dużych kotłach. Pamiętam, jak szliśmy z menażkami po zupę. Wtedy każdy, jak mógł, starał się pomagać ewakuowanej ludności.

Podczas ewakuacji pierwszej nocy spaliśmy w stodole, w której tuż przed nami spali żołnierze radzieccy. Gdy zbudziliśmy się rano, chodziły po nas ogromne, białe wszy. Mama wyrzuciła zaraz tę słomę, a następnie spaliła ją. Nas rozebrała do naga. Pożyczyła od żołnierzy duży kocioł. W kuchni uprosiła, żeby wpuszczono ją w kolejkę. Wszystkie nasze rzeczy wygotowała i wyprała. Udało jej się zdobyć ług, zlała nam głowy naftą i oczyściła nas trochę z tych wszy.

Front był przerażający. Wciąż przesuwały się wojska niemieckie i polsko-radzieckie. Niemcy usadowili się wysoko w górach. Stamtąd doskonale widzieli przeciwników nadchodzących od strony Żywca. My wciąż chowaliśmy się w jakichś piwnicach, schronach, murowanych domach. Raz zwyciężali Niemcy, raz Rosjanie. Jak przez mgłę widzę scenę, gdy żołnierz radziecki prowadzi mnie za rękę przez aptekę i kijem rozwala wszystkie lekarstwa na półkach. Chowaliśmy się wtedy w piwnicach jeleśniańskiej apteki.

Z tego okresu pamiętam też głód. Dusiliśmy i wyciskaliśmy na placki zamarnięte ziemniaki. Tylko dzięki temu, że moja mama była bardzo pracowita, mądra, zaradna i umiała sobie z wszystkim poradzić, głód prześladował nas stosunkowo rzadko.

Natalia Piekarska – Poneta

Dzieci wojny

Wybuch wojny pamiętam doskonale. Byłem wtedy u babci na wsi w Legionowie, pod Warszawą. Pasłem krowy razem z innymi dziećmi. Była piękna pogoda, gdy nagle usłyszeliśmy samoloty. Bardzo się zdziwiliśmy, ponieważ nigdy wcześniej tego nie widzieliśmy. Pobiegliśmy do babci, która płacząc powiedziała: „Jest wojna!” Myśmy tego nie rozumieli. 2 września poszliśmy do szkoły na apel, ale nie było żadnych nauczycieli. Kierownik nam powiedział, że wybuchła wojna i nie będziemy chodzić do szkoły. Nasza głupota była tak wielka, że wszyscy krzyknęliśmy: „Hura, nie będziemy chodzić do szkoły!” Nie mogę sobie tego do dziś darować. Wiedzieliśmy tak mało, że cieszyliśmy się z zaistniałej sytuacji. Walk o Warszawę nie pamiętam, ponieważ wtedy byliśmy w Legionowie. Poza tym rodzice zawsze nas izolowali od wydarzeń wojennych.

Moje życie potoczyło się bardzo dramatycznie, ponieważ ojciec musiał się ukrywać, a mama nie miała pracy. Różnie bywało. Brałem udział w rozmaitych formach pomocy rodzinie. Wyjeżdżałem na wieś, nosiłem na plecach zaopatrzenie. Potem dostawałem kartki na żywność, które realizowaliśmy poza Warszawą. Pamiętam pewne zdarzenie. Zrobiono mi plecak w kształcie garba. Były tam rowki, w które gospodarz sypał sieczkę i układał jajka. Natomiast bliżej pleców kładł twardsze rzeczy, np. twaróg. Niemcy często krzyczeli: „Puść tego garbusa!”

Pewnego dnia dostałem pałą po plecach i zamiast krzyknąć z bólu, wrzasnąłem tylko: „Meine Eier!” Myślałem tylko o tym, że mi jajka potłukł. Miałem szczęście, zawsze mi się udawało. Dużo oficerów przymykało na dzieci oko. Chodziliśmy parami albo samodzielnie. Niemcy uważali, że dwoje to para, a troje to już tłum i trzeba rozgonić. Pamiętam także plakaty na sklepach: „Achtung, Feind hört mit!” (Uwaga, wróg podsłuchuje).

Ciążar utrzymania rodziny spoczywał na matce. Była odpowiedzialna za nas, ponieważ ojciec ukrywał się w lesie i pokazywał się tylko od czasu do czasu w nocy, aby zdobyć jedzenie, czy zmienić bieliznę. Ja razem z bratem i siostrą dbaliśmy o zaopatrzenie w żywność. Chodziliśmy nawet do wojskowych kuchni polowych i tam dostawaliśmy na przykład kaszanekę. Czuliśmy się w obowiązku, aby pomagać jeden drugiemu. W 1939 roku musieliśmy oddać jedną izbę naszego domu na kwaterę Niemcom. Mieszkali tam we czwórkę. Ten pokój był ostemplowany i policja nie miała tam dostępu. To było dla nas korzystne, gdyż dzięki temu ojciec żył jeszcze kilkanaście lat.

Obraz Niemca był dla mnie taki sam przez dwadzieścia kilka lat mojego życia. Niemcy byli głośni, weseli, uradowani, cieszyli się, my ich nie rozumieli-

śmy. Byli dla nas bardzo interesujący. Żołnierze to postaci z hełmem na głowie i karabinem w rękach. Stali zazwyczaj w rozkroku i wydawali rozkazy: „Raus! Weiter! Halt!” Te słowa były często obecne w naszym życiu.

Blizszy kontakt z Niemcami nawiązałem pod koniec 1944 roku. Wróciło wtedy dwóch oficerów z Zachodu i bardzo rozpaczała, że wojna jest niepotrzebna, że nie warto niszczyć kultury i techniki. Pamiętam, że jeden z nich przywiózł nam przerobiony młynek do kawy. Mieliliśmy w nim kaszę jęczmienną na kawę zbożową. Podarował go naszej rodzinie, ponieważ widział, że mieliśmy problemy z zaopatrzeniem. To był pierwszy gest dobroczynny niemieckiego oficera w naszą stronę. Takich momentów z dzieciństwa się nie zapomina. On nas zaczął traktować jak ludzi, ale tylko wtedy, kiedy był sam. To nas intrygowało, dlaczego jego sposób bycia jest inny, gdy jest sam, i inny, gdy są ludzie. Później pojechał na front wschodni. Wrócił z kulą zamiast nogi i pożegnał się z nami. Zamieszkał koło Konina. To było dla mnie znakiem, że wśród Niemców są także ludzie, którzy inaczej patrzą na sprawę.

Najbardziej dramatycznym momentem wojennym był dla mnie czas, w którym polska opozycja zlikwidowała jakiegoś słynnego oficera. Wówczas Niemcy stosowali karę – za jednego ich człowieka, w zależności od rangi, zabijali odpowiednią ilość Polaków – na przykład dwudziestu, czy pięćdziesięciu. Robili łapanki i zabijali. I właśnie podczas łapanki w 1944 roku mój ojciec, brat i siostra zostali złapani i rozstrzelani. Matka gdzieś zginęła.

Obudziłem się w jakimś mieszkaniu i pomyślałem, że matka też nie żyje. W tym momencie zakończyło się dla mnie życie rodzinne. Miałem 13 lat. Zabrali mnie do sierocińca prowadzonego przez siostry zakonne, w którym byłem parę miesięcy. Gospodarze niemieccy mieli prawo zabierać do pracy starszych wychowanków. Byłem dwa razy u takich gospodarzy. Pierwszy raz u tzw. Volksdeutscher, a drugi u Polaka, tzw. Eingedeutschter, który nazywał się Matuszewski. Bardzo kochał konie. Kiedy podpisał listę, dwóch jego synów Niemcy zabrali na front. Został z córką chorą na gruźlicę. Przeżyłem tam ciężkie chwile, byłem chłopakiem z miasta, nie byłem przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Musiałem wstawać o piątej rano i paść krowy do dziesiątej. Najgorsze jednak było to, że spałem w oborze. Gdy koń się cofał, robił mi na posłanie. Obiady jadłem w kuchni, w rogu, przy drzwiach, na taborecie. Siedziałem na zydlu, stołku na trzech nogach, na którym kobiety doily krowy. Pewnego dnia przyjechała komisja, która badała warunki, w jakich żyły dzieci z sierocińca. Gospodarze posadzili mnie wtedy przy stole, aby udawać, że wszystko jest w porządku. Nie mogę przeboleć, że byłem tak traktowany i to przez Polaka. Kiedy byłem już w wojsku, pojechałem do niego. Powiedziałem, że nie mam już żalu, ponieważ został ukarany i nie mam zamiaru go dobijać. Chociaż miałem ochotę przyłożyć mu karabinem.

Gdy nadchodziło wojsko polskie, uciekłem od nich i wróciłem do Warszawy, ale mojej mamy tam nie zastałem. Jednak brat ojca, Feliks Rączkowski, zawiózł mnie do swojego przyjaciela, do Krakowa, do braci Bonifratrów. Tam miałem szansę na przeżycie. Zacząłem nowicjat w klasztorze i razem z innymi dziećmiakami pomagałem w szpitalu. Przeszedłem pierwsze święcenia. Na drugie święcenia przyjechał prymas i powiedział piękne słowa: „Jesteście dziećmi wojny, które tutaj trafiły nie z własnej woli, nie z przekonania i nie z zamiłowania. Wobec tego, jeśli ktoś ma ochotę lub czuje, że nie będzie dobrym sługą Bożym, to lepiej niech teraz zrezygnuje, aniżeli później po drugich święceniach.” Wtedy ja i jeden kolega zrezygnowaliśmy.

Henryk Rączkowski

Na przymusowych robotach

Gdy przyjechaliśmy do gospodarstwa w Repplinie, przespałam się trochę. Ale już o czwartej rano żona gospodarza zbudziła mnie, dała fartuch i kazała doić krowy. Nie wiedziałam, o co chodzi tej kobiecie. Byłam zaspana i zdeorientowana. Gdy usłyszałam, że mam doić krowy, przestraszyłam się, ponieważ nie potrafiłam tego robić. Byłam przerażona. „Jezu!” – myślałam – „Jak ja mam doić te krowy?” Wzięłam się jednak do pracy. Pobrudziłam się cała i w końcu powiedziałam: „O, nie! Nie będę dalej doić krów. Nie wytrzymam. Chyba pójdę się utopić”. A tam było dużo chłopaków. Pracowali u innych gospodarzy w Repplinie. Nieraz u jednego gospodarza pracowało nawet dwóch, trzech mężczyzn. Byli z Krakowa, Poznania, Warszawy. Zaczęli mnie pocieszać i kazali jeszcze wytrzymać. I w końcu nauczyłam się doić krowy. A z chłopcami spotykałam się codziennie po pracy.

W domu Arndtów był mały strych, tam – na sienniku – spałam. Mój gospodarz wydawał kartki na buty. I wszyscy, którzy je dostali, zostawiali stare buty na tym moim strychu. Ja nie miałam w co się ubrać i zabierałam buty, które na mnie pasowały. Ale nie bili mnie za to.

Zawsze budził mnie gospodarz: „Regina, aufstehen!” Pobudka była o czwartej rano. Gdy tylko Niemiec zapukał do drzwi, prędko zrywałam się z siennika. Bardzo bałam się, że mnie zbije. Nakładałam klapki na nogi i spódnicę, a bluzkę ubierałam już w drodze, schodząc ze strychu. Tak bardzo się bałam. Dowiedziałam się od chłopaków, z którymi się spotykałam, że to był najgorszy człowiek w wiosce. Żaden gospodarz nie stosował takiego rygoru jak on. Nawet Niemcy przed nim drżeli. On bardzo wysoko się cenił – był burmistrzem, a do tego jeszcze w gestapo. Chodził w czarnym mundurze. Robił z ludźmi wszystko,



W Niemczech, z towarzyszami niedoli

co tylko mu przyszło do głowy. W jego gospodarstwie pracował ze mną Stachu, chłop ze Śremu. Był żonaty i miał dwoje dzieci. Do dziś nie wiem, za co ten Niemiec wysłał go do lagru. Długo w zasadzie w tym lagrze nie był. Ale gdy tylko zdążył stamtąd przyjść i chciał mi wszystko opowiedzieć, Niemka krzyknęła od razu: „Regina nie dawaj mu jeść, bo żołądek ma chory” i zaraz go zabrała.

Wszystko musiałam robić w gospodarstwie. Przez całe pięć lat nie miałam ani jednego dnia wolnego. Pracowałam od czwartej rano do dziewiątej wieczorem. Siedem dni w tygodniu. Latem pracowałam w polu. Przerywałam buraki, a oprócz tego, jak zawsze, doiłam krowy. Na polu pracowało dużo Niemek i Niemców, oni pomagali mi przy przerywaniu buraków. Gdy nie mogłam zdążyć, zawsze mnie brali w środek, między siebie i, jak tylko było to możliwe, pomagali mi. I tak jakoś, na wpol z płaczem, posuwałam się w pracy. Na szczęście na polu rosła brukiew i marchew, więc gdy tam poszłam, zawsze mogłam się najeść. I głodna nie chodziłam. Latem w soboty żona gospodarza wysyłała mnie na pole, a po południu kazała myć wszystkie podłogi i okna, choć nie raz były czyste. Moje zajęcia nie miały końca. Nieważne, ile zrobiłam, ona zawsze znajdowała mi coś nowego do roboty. Pewnego wieczoru po całym dniu ciężkiej pracy kazała mi trzepać dywan. Usiadłam i zaczęłam płakać. Zastanawiałam się, skąd wezmę siłę na trzepanie dywanu. Powiedziałam jej, że jestem bardzo zmęczona. Jednak ona stwierdziła, że nic jej to nie obchodzi. Złapała mnie za ręce i wyrzuciła za drzwi. Musiałam w końcu wytrzepać ten dywan. Zimą młóciliśmy zboże. Oprzątałam też krowy i świnie.

Codziennie rano mój towarzysz niedoli – Stachu sięgał po uszykowany i dobrze ukryty półlitrowy garnek. W tym garnuszku dawał mi mleko i obserwował, jak piję. Pilnował, żeby Niemka mnie nie złapała. Gdyby tak się stało, to aż boję się pomyśleć, co mogłaby mi zrobić. Zawsze wypijałam takie dwie lub trzy półlitrowki. On potem ten garnek chował. A ja już nie chodziłam taka słaba. Stachu pomagał mi, jak tylko mógł. Do jedzenia dostawaliśmy na dobrą sprawę to samo, co jedli nasi gospodarze. Na śniadanie gospodyni zawsze dawała mi tyle chleba, że mogłam się najeść.

Gdy wydoiłam krowy, kany z mlekiem musiały wziąć na wózek. Zawoziłam je na stół znajdujący się w pobliżu majątku, w którym pracowali Rosjanie. Wszyscy gospodarze stawiali tam swoje kany. Stamtąd były zabierane, a następnie wywożone, chyba do Stargardu. Jeden Rosjanin, gdy widział, że nadjeżdżam, zawsze pomagał mi nieść kany. Ja mu dawałam chleb, który miałam schowany przy sobie, a on brał ode mnie kany i rzucał je na stół. Gdyby żołnierze niemieccy to zobaczyli, z pewnością zabiliby z miejsca i mnie, i jego. Ale to mleko było bardzo ciężkie, a dzięki pomocy tego Rosjanina nie musiałam sama tak dźwigać.

Rosyjscy żołnierze w Repplinie mieli bardzo ciężko. Nie mieli butów, tylko drewniane chodaki – „krumpy”. W nich było ciężko maszerować. A co dzień musieli to robić. Pilnowali ich niemieccy żołnierze, oni musieli maszerując śpiewać rosyjskie piosenki. Codziennie Niemcy urządzali im taki przemarsz. Tak ich męczyli.

W majątkach pracowali Rosjanie, Francuzi i Włosi. Wojsko francuskie (jeńcy wojenni) pracowało przy kopaniu kartofli. Pewnego razu Francuzi odpoczywali po skończonej pracy, a Niemka dała im jeść. Jeden z nich pozbierał od wszystkich czekolady, ale mój gospodarz od razu powiedział do mnie: „Dziewczyno, z niewolnikami zabronione jest rozmawiać”. Przytaknęłam. Ten Francuz dał mi czekolady, wzięłam je i pochowałam, ale nie odezwałam się ani słowem. Tak mieli dobrze żołnierze francuscy! Ale skąd dostawali wino, czekoladę i papierosy – naprawdę nie wiem. Wtedy nauczyłam się palić. Raz paliłam papierosa w kuchni. Lecił dym. Wpadła Niemka. Wtedy ja szybko rzuciłam papierosa i przycisnęłam butem. Skłamałam, że nie paliłam, ale ona stwierdziła, że śmierdzi. Złapała mnie za ubranie i powiedziała: „Gdybyś była moim dzieckiem, to bym cię zabiła”. Ja wtedy myślałam tylko o tym, że zgmiotła mi papierosa. Ona poszła, a ja powiedziałam sama do siebie: „Głupia Szwabko, zniszczyłaś mi papierosa”. Myślałam wtedy, że przecież nawet nie wiadomo, czy przeżyję wojnę, że może przejdzie tędy front.

Regina Płatek – Kunicka

U niemieckiej babci

Kiedy Niemcy zorientowali się, że mama nie ma stałego zatrudnienia, wyznaczyli jej termin wyjazdu do Niemiec na roboty. Mama poszła do Arbeitsamtu i powiedziała do urzędnika: „Nie mogę jechać, bo mam małe dziecko. Nie mam z kim zostawić córki”. Ale urzędnik nie chciał odpuścić: „Może pani jechać z dzieckiem”. Mama próbowała nadal pertraktować: „Ale córka jest chora”. Poprosiła, żeby wyznaczył jej następny termin. Urzędnik okazał się dobrym człowiekiem i zgodził się. Następnym razem znowu poszła i prosiła: „Proszę mnie teraz nie wysyłać, bo dziecko nie ma butów. Zamówiłam u szewca, ale jeszcze nie zrobił”. Urzędnik po raz drugi dał się uprosić. Mama napisała list do taty, że chcą nas wysłać do Niemiec do pracy. Tata zastanowił się i poprosił gospodarza, u którego pracował, żeby złożył zapotrzebowanie i skierował mamę i mnie do Guben. Przed wyjazdem musiałyśmy przejść kwarantannę w Warszawie. Musiałyśmy się tam umyć, wyparzone wszystkie nasze rzeczy, żeby pozbyć się insektów i zarazków. Głowy polano nam płynem przeciwko wszawicy. Po zabiegach higienicznych pojechaliśmy do Niemiec. Miałam wtedy dwanaście lat.

Przyjechaliśmy do Guben w marcu 1941 roku. Karl Zschiesche, niemiecki gospodarz, czekał na nas na dworcu. Wsiadłyśmy do jego samochodu i pojechaliśmy do majątku. Guben w okresie okupacji było miastem niemieckim. Miejsce, w którym przebywałam, znajduje się teraz w Gubinie. Ze względu na to, że byłam dzieckiem, nie musiałam ciężko pracować. Ojciec był furmanem, a mama zajmowała się pracami gospodarczymi. Majątek Karla był największy w Guben. Był to duży dom z zabudowaniami gospodarczymi, znajdujący się na końcu miasta, na ulicy Kleine Pfiotner Strasse. Oprócz gospodarstwa miał jeszcze przedsiębiorstwo usługowo – transportowe, które zajmowało się wywozem śmieci, popiołu, materiałów budowlanych. Nasz gospodarz zatrudniał wiele osób. Wśród nich byli Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy i Niemcy. Zaprzyjaźniłam się tam z chłopakiem z Białorusi. Nazywał się Grisza Mazuk.

Karl Zschiesche miał żonę Martę i troje dzieci – 22-letnią córkę Gertrudę, piętnastoletniego syna Karla i najmłodszego Kurta, który miał pięć lat. Marta miała matkę, która mieszkała w domku, po drugiej stronie miasta. Przy jej domu był piękny sad i ogród. Gospodyni przydzieliła mnie do pracy u swojej matki. Mieszkałam tam cały tydzień. W niedzielę przychodziłam do domu gospodarzy, odwiedzając rodziców.

W domu babci była kuchnia i jeden pokój. Spałyśmy razem w tym pokoju, każda miała swoje łóżko. Niemiecka babcia traktowała mnie jak swoją wnuczkę. Było mi u niej dobrze. Jedzenia miałam pod dostatkiem. Pracowałam



W wieku 12 lat

w ogrodzie, zrywałałam owoce, doilałam kozę, żeby było mleko do picia. Potem babcia zachorowała, stała się niedołączna, zaczęła tracić pamięć. Córka zabrała ją do swojego domu. Ja też się tam przeniosłam i zaczęłam pomagać w gospodarstwie pana. Musiałam pracować ze wszystkimi w polu. Pamiętam, że miałam nogi pogryzione przez muchy. Porobiły mi się krwawiące rany, które trudno się goiły. Nasi gospodarze byli ewangelikami, ale rozumieli, że wyznajemy inną wiarę. Pozwalali nam chodzić do kościoła. Raz w miesiącu w katolickim kościele odbywała się msza święta dla Polaków. Chodziliśmy do spowiedzi i przyjmowaliśmy komunię świętą.

Niedziela była dniem wolnym od prac polowych. Musieliśmy zrobić obrządek przy inwentarzu. Gospodyni zawsze częstowała pracowników świeżo upieczonym ciastem.

U Karla Zschiesche pracowaliśmy cztery lata. Gdy szedł front, wojsko rosyjskie zaczęło ostrzeliwać Guben. Nasi gospodarze uciekli w głąb Niemiec, do Bremen. Wzięli wóz, konie i pojechali. W domu została babcia, która leżała w łóżku oraz wszyscy pracownicy. Zostawili też zwierzęta. Opiekowałam się babcią. Karmiłam ją, przebierałam, myłam. Gospodarz przed wyjazdem prosił tatę, żeby z nimi pojechał, ale ojciec się nie zgodził. Chciał jak najszybciej wrócić do Ojczyzny.

Zenobia Juraszek

W Cudzynowicach

Zostaliśmy wysiedleni w maju 1940 roku. Babcia pojechała z nami. Niemcy zabrali nas w tym, co mieliśmy na sobie. Przyjechali wojskowymi samochodami ciężarowymi. Kazali wsiadać. Zawieźli nas do obozu w Łodzi, gdzie przebywaliśmy trzy tygodnie. Panowały tam straszne warunki. Gdybyśmy zostali tydzień dłużej, poumieralibyśmy wszyscy z wycieńczenia. Spaliliśmy na rozdrobnionej słomie i śmieciach. Za pożywienie służył suchy chleb i czarna kawa. To był tak zwany obóz przejściowy. Po trzech tygodniach skierowano nas na południe.

Zatrzymaliśmy się w Cudzynowicach, w województwie krakowskim. Była to bardzo duża wioska, znajdująca się koło Kazimierzy Wielkiej. Część kraju, w której zamieszkaliśmy, nazywała się Generalne Gubernatorstwo. Tato zameldował nas po przyjeździe. Tam spędziliśmy pięć lat.

Zajmowaliśmy duże mieszkanie na „organistowce” koło kościoła. W Cudzynowicach był duży majątek ziemski. Tam pracowali moi rodzice. Byli zadowoleni z pracy. Otrzymywali też żywność z tego majątku. Uważam, że dobrze



Cudzynowice – dworzec

trafiłiśmy i żyło nam się, jak na wojenne czasy, całkiem nieźle. W Cudzynowicach spotkaliśmy się z wielką życzliwością mieszkańców. Wszyscy nam bardzo pomagali.

Pamiętam, że zarządzający majątkiem, pan Krzyżanowski, poszedł na wojnę. W Cudzynowicach została jego żona i córka. Biedniejsi mieszkańcy zatrudniani byli w majątku.

Wszystko było kontrolowane przez Niemców. Otrzymywaliśmy co miesiąc kartki na żywność. Dostawaliśmy z przydziału cukier, masło i mięso. Niemcy przyjeżdżali na kontrolę bryczkami. Mieszkańcy byli przez nich nieustannie kontrolowani. Wszystko musieli oddawać do składu do Kazimierzy Wielkiej. Oczywiście, ludzie nie zawsze stosowali się do zaleceń Niemców.

Potem zawiązała się Armia Krajowa i partyzantka. Żołnierze stacjonowali w lesie lub u gospodarzy. Mój ojciec też walczył w partyzantce. Trwało to kilka miesięcy. Wrócił do domu pod koniec 1944 roku. (...)

Wyzwolenie zastało nas w Cudzynowicach. 17 stycznia 1945 roku, w dzień wyzwolenia Warszawy, do wioski wkroczyło polskie i rosyjskie wojsko. Na naszym terenie nie było żadnych walk. Zanim przyszli żołnierze, Niemcy zdążyli uciec. Nie było z ich strony żadnego oporu.

Było ciężko, nie mieliśmy czym pojechać do naszej wsi rodzinnej. Babcia wymagała stałej opieki. Brat Bogumił miał wtedy 7 lat.



Z koleżankami – Anią i Kamilą; stoję z prawej strony

Ojciec pojechał pierwszy, zaraz po wyzwoleniu. Chciał zobaczyć, jak wygląda sytuacja w naszych rodzinnych stronach. Nie wiedzieliśmy przecież, czy stoi jeszcze nasz dom i budynki gospodarcze. Jak się okazało, tam również nie było żadnych walk. Po wyzwoleniu Niemcy po prostu uciekli. Nasze gospodarstwo ocalało. Ale w domu wszystko było zniszczone. Nie było mebli.

Tato wrócił po nas w marcu. Wszyscy razem pojechaliśmy do Smólska. Do rodzinnej miejscowości zawieźli nas żołnierze.

Justyna Majchrzak

Obóz pracy w Zittau

W małym miasteczku takim jak Zittau nie odczuwało się wojny – była daleko. Byłam mała, nie przeżywałam tego, że gdzieś toczą się walki. Poczulałam to dopiero, gdy dotknęła bezpośrednio mojej rodziny, gdy tata musiał iść do wojska w 1941 roku, a potem wyjechać. Pamiętam, jak mama płakała. Najpierw tata przez jakiś czas przebywał w koszarach, potem dopiero wyjechał. Później po kolei wyjeżdżali wujkowie. Tata brał udział w walkach w Grecji, potem trafił do niewoli w Jugosławii. Był tam długo – pięć, może sześć lat.

Moja mama zawsze mówiła, że oni niewiele wiedzieli o prześladowaniu Żydów i o istnieniu obozów koncentracyjnych. Mieszkaliśmy w małej miejscowości i takie wieści rzadko do nas docierały. Mama nawet dziwiła się, że pewnego razu „taki porządny sklep zamknęli.” To był sklep żydowski, a wtedy Żydów wypędzano. Moi rodzice nie wiedzieli, o co chodzi. Dopiero potem ktoś zaczął mówić coś na ten temat. Mama i tata byli przerażeni, mówili, że to straszne. Bardzo bali się, że wszystko się odwróci, że gdy skończy się wojna, zrobią z nami to samo, co Niemcy robili z Żydami, Polakami, czy Rosjanami. To samo mówili wujkowie, którzy byli na wojnie. W Niemczech była taka propaganda, że ludzie naprawdę nie wierzyli, że istnieją obozy koncentracyjne. Często się słyszy: „Niemożliwe, żeby Niemcy nic nie wiedzieli”. Nawet mój mąż kiedyś posprzeczał się z moją mamą, bo nie wierzył, że tak naprawdę było. A władze niemieckie trzymały wszystko w tajemnicy. Potem jednak mąż przyznał, że tam, gdzie oni mieszkali, też było coś w rodzaju obozu, a mimo to oni o niczym nie wiedzieli.

Tam, gdzie ja mieszkalam, również znajdował się obóz. Widzieliśmy raz ludzi, którzy w nim pracowali. To byli Polacy, Rosjanie albo Francuzi. Kiedy ktoś chciał im coś podać, od razu był przeganiany przez Niemców. Mieszkańcom Zittau było żal więźniów. Chcieli im pomóc, dać jedzenie, ale sami musieli uważać. A i tak starali się pomagać, jak tylko mogli. Pamiętam, gdy wujek mówił, że tam, gdzie on pracuje, są kobiety z Rosji. Prosił, żeby mama poszukała jakichś pończoch dla nich, bo nie mają się w co ubrać. Niemiec cywile potrafili poma-



W Zittau, rok 1939

gać bezinteresownie. Wszyscy bardzo bali się, co to będzie po wojnie. Bardzo to przeżywali.

Obóz, który się znajdował w Zittau nazywany był Zit-Werke. To była fabryka broni. Wyglądał jak duże gospodarstwo, bardzo rozległe z niskimi domami. Mówiono w mieście, że tam w bardzo trudnych warunkach pracują ludzie. Ale co my wtedy mogliśmy na to poradzić? Po wojnie moja mama i ciocia były w tym budynku kilkakrotnie. Mieszkało tam wtedy polskie wojsko. Polacy szukali kobiety do pracy, która mogłaby im gotować.

W Zittau jeszcze do niedawna mieszkał mój brat. Teraz mieszka tam jego syn. Do dziś jeżdżę do Zittau. Mam tam również koleżankę. W tym budynku, gdzie kiedyś pracowali więźniowie, dziś mieści się poczta. Pewnego razu, gdy byłam w Zittau, musiałam wysłać paczkę. Weszłam do byłej fabryki i poczułam się strasznie. Wydawało mi się, że niewiele tam się zmieniło od czasów wojny. Budynek nie był wyremontowany. Wyglądał tak, jak dawniej. Wysoki korytarz... „O Boże!” – myślałam – „Przecież tu byli ci ludzie”. To wyglądało tak dziwnie. Bardzo przeżyłam tę wizytę.

Gdy wojna miała się ku końcowi, mieszkaliśmy na osiedlu w Zittau. Powiedziano nam, że będą je bombardować. Kazano schować się w lesie w kierunku Czechosłowacji. Musieliśmy uciekać, bo w bombardowanym mieście mogło być bardzo niebezpiecznie. To było w maju 1945 roku. Dziwne, ale wtedy było bardzo ciepło. Wzięliśmy jakieś rzeczy. Dziadek ciągnął mały wózek. Brata też



Przed domem w Zittau (1939)

wieźliśmy w wózku. Ja na plecach niosłam świeżo upieczone ciasto, które potem całkowicie się pokruszyło. Szliśmy dwa dni. Nocą spaliliśmy w przydrożnej stodole. Ludzie bardzo się bali, że w pobliżu przejdzie front. Szło nas bardzo dużo, całe miasto. Jeden z mieszkańców miał na głowie dwa kapelusze, bo bardzo chciał je ratować. Takie zabawne sytuacje najlepiej się pamięta. Ale wszyscy byliśmy przerażeni. Mój dziadek chciał iść na zachód i przejść przez Łabę, bo uważał, że tam jest bezpieczniej. Propaganda niemiecka głosiła, że gdy tylko przyjdą Rosjanie, od razu nas zabiją. Dziadek bał się, że oni przyjdą ze wschodu.

Nagle stanęliśmy, bo zobaczyliśmy, że z naprzeciwka naprawdę nadchodzi Rosjanie. Czuliśmy ogromny strach. Nie mogliśmy dalej iść. To był 8 maja – koniec wojny. Nic o tym nie wiedzieliśmy, ale Rosjanie szli i krzyczeli: „Hitler kaputt! Krieg aus!” Najpierw bardzo się ucieszyliśmy, że wojna się skończyła, ale potem wystraszyliśmy się, bo zdaliśmy sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Nie mogliśmy ani zawrócić, ani iść dalej. Okazało się jednak, że propaganda niemiecka była bardzo kłamliwa. Rosjanie nic nam nie zrobili. Do dziś ich widzę. Pamiętam dobrze, jak wyglądali. Byli bardzo wymęczeni, brudni, wielu z nich było rannych i bardzo się cieszyli, że wojna się skończyła. Tak samo jak my. Nie myśleli wcale o tym, żeby nas zabić albo zrobić nam krzywdę. Jeden Rosjanin podał mojemu dziadkowi wódkę, bo widział, że my – Niemcy – jesteśmy bardzo wystraszeni. Mój dziadek nie napił się, bo bał się, że ten żołnierz chce go otruć. Wtedy on sam się napił, a dopiero potem podał butelkę dziadkowi. Rosjanie dali nam też cukierki.

Potem musieliśmy wrócić. Wszyscy – Niemcy i Rosjanie – wracali do swych domów. Po drodze spaliliśmy w jakiejś stodole. Przyszedł tam jeden Rosjanin, który szukał miejsca dla siebie, konia i wozu. Mówił po niemiecku. Okazało się jednak, że ten koń był w rzeczywistości wielbłądem. Nie wiem, jak on na wojnie walczył z tym wielbłądem i skąd go wziął. Nadal mieszkaliśmy w Zittau, aż do lipca 1945 roku.

Helga Bryś

Powrót do Zalesia

Na początku wojny nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Potem, kiedy byłam już starsza, wiedziałam, ile moja mamusia musiała się narutrudzić, żebyśmy mieli co jeść. Mamusia hodowała kury. Kiedy nazbierało się trochę jajek, chodziła na targ. Brała też masło i twarożek. Wszyscy baliśmy się, kiedy wychodziła z domu. Nie wiedzieliśmy, czy wróci. Starąła się zapewnić nam wszystko, co było trzeba. Sprzedała produkty, kupowała cukier i rzeczy potrzebne dzieciom. Kupowała nam też bułki, które nazywaliśmy „szneki”. Ten smak pamiętam do dziś. Nigdy potem nie jadłam lepszej bułki.

Na naszym terenie bardzo często wysiedlano Polaków. Niemcy przyjeżdżali, zazwyczaj w nocy, i kazali mieszkańcom opuszczać gospodarstwa. Spałam zawsze z babcią, bo bardzo się bałam, żeby nie zostawili mnie samej w domu. Prosiłam rodziców: „Tylko pamiętajcie, zabierzcie mnie ze sobą. Nie zostawiajcie mnie samej w domu!” Kiedy spałam z babcią, trzymałam rękę pod jej brodą. Babcia przed snem zawsze się modliła, a ja byłam spokojna, dopóki broda babci się ruszała. Kiedy babcia zasypiała, szturchałam ją. Prosiłam: „Babciu, nie śpij jeszcze.”

Któregoś dnia przyszli Niemcy i kazali nam opuścić dom. Mieliśmy zostawić wszystko i iść. Wzięliśmy wóz z koniem, ale cały inwentarz musiał zostać. Strasznie było nam przykro, że musimy odejść. Babcia zabrała jedną kozę, żeby dzieci miały mleko do picia.

Podczas wędrówki Niemcy zabrali mojego tatusia do niewoli. Bardzo

Gdy byłam mała i niewiele jeszcze rozumiałam, pytałam mamusię: „Dlaczego tak kawa jest taka gorzka?” A ona odpowiadała: „Za dużo cukru wsypałam”.

wtedy płakałam. Tatuś dał mi do ręki pieniądze, który trzymałam w garści. Niemcy nie wyznaczyli nam, dokąd mamy iść. Nie wiem dokładnie, jak długo to trwało. Wydaje mi się, że szliśmy kilka dni. Potem kazali nam wracać do domu. Przez całą drogę trzymałam pieniądze od tatusia w dłoni. Wyjęłam go z



Moi rodzice Anna i Władysław Bańka

ręki dopiero, kiedy wróciliśmy do Zalesia. Zwierzęta, które zostały w gospodarstwie, były głodne i wycieńczone, ślaniały się na nogach. Kiedy nas zobaczyły, podeszły do wozu, którym wróciliśmy. Płakaliśmy wtedy wszyscy, bo strasznie było nam żal naszych zwierząt. Dziwnie może to dzisiaj zabrzmieć, ale miałam wrażenie, że zwierzęta ucieszyły się z naszego powrotu.

Pamiętam, gdy tatuś wrócił w nocy z wojny. Spałam wtedy z babcią. Tatuś zapukał w okno i zawołał mamę: „Hanus!” Obudziłam się w tym momencie. W domu zapanowała wielka radość. Dostałam wtedy od taty cukierka. Był podłużny i miał kolorowe paseczki. Smak tego cukierka pamiętam do dzisiaj.

Zofia Markowska

„Nasza” Niemka

Gdy nas wywłaszczono, w naszym domu osiedliła się Niemka z dwójką swoich dzieci. Nazywała się Mesinger, imienia nie pamiętam. Na początku nie znaliśmy się. Spędzaliśmy wigilię u dziadka, który mieszkał naprzeciwko naszego domu. Ona dowiedziała się o tym. Przyszła do dziadka i zaprosiła nas do siebie na święta. Wspólnie usiedliśmy przy wigilijnym stole i śpiewaliśmy kolędy – my po polsku, ona po niemiecku. Niemka zaproponowała, żebyśmy zamieszkali obok, w lepiance sąsiada, którego gospodarstwo należało teraz do niej. Kiedy się

Gdy do Ksawerowa dotarli rosyjscy żołnierze, zatrzymali się u nas w domu. Odpoczęli, najedli się i następnego dnia poszli dalej. Rosyjscy żołnierze mieli wielkiego psa, owczarka niemieckiego. Uwielbiam psy i od razu tego owczarka pokochałam. Jeden z żołnierzy bardzo mnie polubił i nosił mnie na rękach. Powtarzał, że w domu ma taką córcię jak ja. Kiedy Rosjanie wyjeżdżali, ten żołnierz zrobił mi prezent i zostawił psa. Ale to nie był jedyny podarunek. Po ich wyjeździe okazało się, że na moim łóżku, pod kołdrą, zostawili dużo suchego prowiantu.

tam wprowadziliśmy, mama zaprzyjaźniła się z nią. Była dobrą kobietą, dzieliła się z nami tym, co miała. Kiedyś mama schowała mięso w beczce w kurniku. Beczka znajdowała się w dziurze wykopanej w ziemi. Któregoś dnia poszła, żeby wziąć trochę na obiad. Kiedy zobaczyła osobę w mundurze, szybko przykryła beczkę niewielką ilością słomy i uciekła do domu. Okazało się, że do „Mesingerki” przyjechał z frontu mąż na krótki urlop. Ona oprowadzała go po całym gospodarstwie. Kiedy weszli do naszego kurnika, Niemiec wpadł do niezabezpieczonej beczki z mięsem. Niemka zdenerwowała się na mamę i krzyknęła: „Co ty robisz? Gdyby przyszli żołnierze i zobaczyli to wszystko, wsadziliby cię do więzienia!” A potem, gdy ochłonęła, powiedziała do mamy: „Przyjechał mój mąż Aleksander, a ja nie

mam nic na obiad. Pożycz mi trochę mięsa.” Po tym incydencie zaproponowała, żeby mięso chować u niej.

Pamiętam jeszcze jedną historię związaną z naszą niemiecką sąsiadką. Kuzyn mojego taty został wywieziony do Niemiec do pracy. Był nauczycielem i znał dobrze język. Zaprzyjaźnił się tam z Niemcami. Zaoferowali mu swoją pomoc w powrocie do domu. Załatwili papiery i ubranie. Kuzyn wsiadł w pociąg i wrócił do kraju. Był poszukiwany przez żandarmów, ale ukrywał się u naszej sąsiadki. Żołnierze szukali zbiega we wsi, a on spokojnie siedział u Niemki w pokoju.

Gdy Niemcy szykowali się do powrotu, mama pomagała spakować się swojej przyjaciółce. Upiekła dla niej chleb na drogę. „Nasza” Niemka, jak ją nazywaliśmy, wróciła z dziećmi do domu. Potem zawiadomiła nas, że jej mąż wrócił z frontu. Po wojnie kontakt się urwał. Wtedy nie wolno było pisać listów. Kiedy wyjechała, wróciliśmy do domu. Zostawiła nam pięknie urządzone mieszkanie.

Janina Szatkowska

Wyprawa do Kłodawy z paczką mięsa

Przez okres wojny mieszkaliśmy w prowizorycznej obórcie. Zimą można było w niej jeździć sankami po ścianach, taki był śnieg i szron. Paliliśmy słomą, bo nie było czym grzać. Miałam dwóch braci, a w 1942 roku urodziła się moja siostra. Było nas sześcioro i wszyscy mieszkaliśmy w jednej izbie.

Niemiec, u którego pracowałam, zamieszkał w naszej okolicy jeszcze przed wojną. Odziedziczył gospodarstwo po rodzicach. To nie był jedyny Niemiec, który mieszkał w naszym sąsiedztwie przed wojną. Nigdy nie słyszałam, żeby rodzice mówili o nich coś złego. Mieli do Niemców stosunek raczej obojętny. Dopiero, gdy wybuchła wojna, wszystko się zmieniło. W naszej wsi zaczęli zjawiać się inni Niemcy. Przywieziono ich chyba zza Buga. Zamieszkali w gospodarstwach, z których wysiedlano Polaków. Tylko mój gospodarz miał swój własny dom, w którym dawniej mieszkali jego przodkowie.

Żeby dorobić, rodzice zaczęli handlować. Czasem na wsi kupili świnie, zabijali ją i sprzedawali mięso w mieście. Ludzie w miastach nie mieli co jeść. Na wsi łatwiej było o pożywienie. To było ogromne ryzyko. Czasem handlarze z Łodzi przyjeżdżali do nas. Łódź była oddalona od naszej wsi o 80 kilometrów. Mama chodziła tylko do Kłodawy. Pamiętam, gdy zabijali świnie i zdejmowali słoninę. Handlarki przywiązywały sobie słoninę na plecach pod ubraniem i tak wyszykowane jechały do Łodzi.

Pewnego razu pewna pani z Kłodawy poprosiła mamę, żeby przyniosła jej kawałek mięsa. Przy drodze do Kłodawy był budynek gestapo. Tam zawsze na warcie stał niemiecki żołnierz. Mama zrobiła paczkę z mięsa i zawinęła ją w chustkę. Kiedyś w takich chustkach noszono dzieci. Na tobołku położyła dziecięcą czapkę. Wzięła też butelkę mleka ze smoczkiem. Szła do Kłodawy i trzęsła się ze strachu. Przy drodze stał gestapowiec. Mama ukloniła się i powiedziała: „Dzień dobry” (każdemu Niemcowi trzeba było się kłaniać). Gdy go mijała, pokazał na zawiniątko i zapytał: „Kinder krank?” Przerażona mama przytaknęła i prędko poszła dalej. Gdyby Niemiec zorientował się, co ukrywa pod chustką, natychmiast zastrzeliby ją, albo trafiłaby do więzienia. Czasem wywozili też ludzi do Majdanka. Takie to były czasy. Rodzice jakoś sobie radzili. Mieliśmy co jeść. Przez jakiś czas hodowaliśmy kury, ale potem Niemcy powiedzieli, że dobrze wyglądamy i zabrali nam te kury.

Jadwiga Ciesielska

Rosjanie wkroczyli

Urodziłam się tuż po wybuchu wojny i moje najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z okresem wojennym, a właściwie z samym jego schyłkiem. Są to jednak wspomnienia bardzo mgliste. Wszystkie wydarzenia oglądałam oczami dziecka. Moje siostry na pewno dużo lepiej pamiętają tamten okres. Najstarsza, która była bardzo zdolna, najzdolniejsza z nas wszystkich, chodziła do czwartej klasy, gdy wybuchła wojna. Musiała przerwać naukę. Potem już nigdy nie wróciła do szkoły.

Pamiętam młodych Niemców, którzy czasem odwiedzali nas wieczorami. To byli dobrzy ludzie. Niemcy, wiadomo, jak przedstawiciele każdego narodu, byli i dobrzy, i gorsi. Jeden z nich opowiadał, że musiał iść na wojnę, że wcale tego nie chciał. Niemieccy żołnierze przynosili nam czekolady.

Jedna z moich siostr była wyjątkowo ładna – miała ciemne kręcone włosy i niebieskie oczy. Pewnego razu jeden z niemieckich żołnierzy powiedział do niej: „Irena, gdy skończy się wojna, ożenię się z tobą”. Siostra bardzo się przestraszyła. Bardzo głęboko i długo przeżywała jego słowa i naprawdę obawiała się, że on po nią przyjedzie. Mówiła, że za Niemca nie pójdzie. To byli jednak bardzo mili i sympatyczni ludzie.

Czasem przychodzili do ojca wojskowi po kontyngent w postaci jedzenia, mleka czy obroku dla koni. Na naszym podwórku stały kopy siana. Żołnierze dźgali bagnetami te kopce. Sądziли chyba, że ktoś się tam ukrywa.

Województwo kieleckie było miejscem, w którym było bardzo dużo partyzantów i Niemcy czynnie operowali w naszej okolicy. Wciąż czuliśmy zagrożenie z ich strony. Pamiętam, że pewnego razu w naszej miejscowości zastrzelili jakiegoś Niemca. Okupanci chcieli spalić za to całą wioskę. Gdy nadchodziło wyzwolenie, zaczęli aktywnie działać partyzanci. Nad naszym podwórkiem latały pociski. Co jakiś czas miała miejsce strzelanina. Pamiętam, jak mama mnie uczyła. Nie rozumiałam wtedy, co się dzieje, kto do kogo strzela i dlaczego. Do dziś nie wiem, kto tak naprawdę wymieniał ogień. To były ciężkie czasy. Żyliśmy w strasznej biedzie. Baliśmy się Niemców, a potem też Rosjan. Wciąż musieliśmy chować się to przed jednymi, to przed drugimi.

Pamiętam dość dobrze wkroczenie żołnierzy radzieckich do Secemina. Nie wiwatowano, gdy wchodzili do wsi. Ludzie często opowiadają, jak cieszyli się z nadejścia radzieckiego wojska. My siedzieliśmy cicho w domach. Nikt nie wiwatował. Rosjanie nadchodzili od strony Włoszczowej, od wschodniej granicy. Ubrani byli w szynele, obszarpane u dołu. Nogi mieli owinięte w jakieś szmaty. Przechodzili przez naszą ulicę. Ja siedziałam w oknie i obserwowałam ich, a oni

wciąż pytali: „Która jest godzina?” Mama powiedziała w końcu do mnie: „Ty nie siedź w oknie, tylko postaw im tam zegarek”. Postawiłam w oknie budzik, ale nadal spoglądałam na maszerujących żołnierzy. Pamiętam szczególnie jedną sytuację, która bardzo mnie przerażała. Jeden z żołnierzy radzieckich był ranny. Najpierw widziałam, jak jego kompani wlekli go za sobą. Potem zaprowadzili go na podwórko naszej sąsiadki i tam zastrzelili. Widocznie uznali, że lepiej będzie, gdy skrócą mu cierpienia. Nie wiedziałam wtedy, dlaczego tak się stało. Rodzice wówczas niczego mi nie wytłumaczyli. Powiedzieli tylko, że ten żołnierz już nie mógł iść dalej. Byłam przerażona. Odeszłam od okna i przestałam oglądać przemarsz radzieckiego wojska.

Gdy do Secemina weszli Rosjanie, nasza sytuacja niewiele się zmieniła. Radzieckie wojsko spaliło wszystko, co tylko nadawało się do palenia. Żołnierze nie mieli czym palić, zniszczyli między innymi nasz wóz konny.

Pamiętam też radziecką kuchnię na naszym podwórku i dwie kłócące się kucharki. Robiły makaron i nie wiedziały, w jaki sposób pokroić ciasto. Jedna z nich chciała gotować kluski, a druga klaczki. Moja mama wzięła wtedy nóż i sama zaczęła kroić. Kobiety spojrzały na to i zaczęły kroić ciasto z mamą. Kucharki gotowały ziemniaki w wielkich kotłach, a potem wrzucały do nich ugotowane kluski. Na patelni smażyły słoninę, którą nazywały „sało” i mieszały ją z ziemniakami i kluskami. Potem do kucharek podchodzili żołnierze z manierkami, a one wielkimi łychami nakładały im przygotowany posiłek.

To były bardzo niepewne czasy. My, dzieci, przyjmowaliśmy to ze strachem, ale szybko o wszystkim zapominaliśmy. Nasze wojenne wspomnienia szybko się zatarły. Starsi natomiast dobrze o tym pamiętali. Choć przebaczenie innym ludziom i narodom jest potrzebne, pamięć ludzka jest niezawodna.

Adela Widziewicz

Front rosyjski, worek ziemniaków i sól

Gdy szedł front, Niemcy próbowali przeganiać nas na zachód. Obawiali się Rosjan i Amerykanów. Szliśmy około tygodnia. Pamiętam, że byliśmy w Stuttgarcie, bo przeczytałam tę nazwę na tabliczce. Spaliśmy, gdzie się tylko dało, na strychach, w stodołach. W naszej grupie było około stu osób. Starsi, młodszy, kobiety i mężczyźni. W pewnym momencie spotkaliśmy na drodze niemieckich cywili. Okazało się, że oni również uciekają przed Rosjanami. Zorientowaliśmy się, że armia radziecka otoczyła cały teren. Niemieccy żołnierze byli zdezorientowani, nie wiedzieli, co mają dalej robić. Pewnego dnia zostawili nas w lesie i uciekli. Zostawili nam worek ziemniaków i sól. Zatrzymaliśmy się w tym lesie i



Moja mama, Stanisława Gospodarek, z domu Pomorska

spędziliśmy tam pięć dni. Z trzciny zrobiliśmy sobie budkę, która chroniła nas od deszczu i wiatru. To było w kwietniu 1945 roku. Baliśmy się i czekaliśmy. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Na niebie krążyły samoloty. Piątego dnia po południu przyjechali do lasu niemieccy żołnierze. Mieli ze sobą kuchnię polową. Rozbili obóz i odświeżali się w jeziorze. Mój ojciec bardzo się bał. Powiedział do mamy: „Gdy Rosjanie zobaczą, że tutaj stacjonuje wojsko niemieckie, to nas wszystkich rozstrzelają”. Okazało się jednak, że martwił się niepotrzebnie, ponieważ Niemcy rano opuścili obozowisko. O świcie zrobił się w obozie straszny hałas. Niemcy zabrali swoje rzeczy i uciekli. Wstaliśmy i poszliśmy do jeziora się umyć. Na brzegu zobaczyliśmy zabita świnia. Zorientowaliśmy się, że Niemcy chcieli sobie zrobić ucztę, ale już nie zdążyli. Dzięki temu, że uciekli, mieliśmy co jeść. Rozpaliliśmy ogień i w znalezionych puszkach po konserwach topiliśmy słoninę. Nagle usłyszeliśmy strzelaninę. Za nami zaczął palić się las. Ojciec się przestraszył i powiedział: „Musimy wykopać schron, żeby Rosjanie nas nie znaleźli”. Wykopaliśmy bunkier i schowaliśmy się w nim. Wierzch przykryliśmy gałęziami i czekaliśmy w skupieniu. Do naszego obozu przyszedł Rosjanin. Jeden z nich stanął przy naszym schronie i spytał „Sztó wy, Germany?” Odpowiedzieliśmy: „Jesteśmy Polakami”. Żołnierz rozkazał: „Wychadzić!” Opuściliśmy bunkier. Spytał nas jeszcze, czy z nami są Niemcy. Powiedzieliśmy, że niemieccy żołnierze już uciekli. Do dziś pamiętam moment, kiedy zobaczyliśmy Rosjan. Byli brudni, spoceni. Nie widzieliśmy ich twarzy, gdyż skórę pokrywało błoto. Od nich dowiedzieliśmy się, że jesteśmy już wolni. W lesie pod Frankfurtem zastało nas wyzwolenie. Był maj 1945 roku.

Nie wiedzieliśmy, co mamy zrobić i dokąd pójść. Wyszliśmy z lasu i poszliśmy przed siebie. Zatrzymaliśmy się w pierwszej wiosce. Rosyjscy żołnierze stali na warcie i sprawdzali wszystkim dokumenty. Potem wchodzili do opuszczonych domów i wyrzucali przez okno pozostawione przez gospodarzy rzeczy. Nocowaliśmy wtedy w jednym takim domu. Był opuszczony, ale zostały tam wszystkie rzeczy gospodarzy. Jeden Rosjanin przyszedł do nas i powiedział do mojego ojca: „Po co ty jedziesz do Polski? Tam jest teraz straszna bieda. Zostań tutaj, weź sobie dom i gospodaruj”. Ale ojciec powiedział do niego: „Co ty wygadujesz. Niemcy wrócą i nas stąd wypędzą”. Później okazało się, że Polacy ze wschodu przyjeżdżali i osiedlali się na ziemiach zachodnich, zajmując opuszczone domy.

Zenobia Juraszek



Rozdział IV

Młodość i miłość

Cudowne wspomnienia... Beztroska... Pierwsze zauroczenie, mocniejsze bicie serca... Pierwsza sympatia, pierwsza miłość... Ślub... Biała sukienka, długi welon, rodzina i przyjaciele. A czasem zwyczajnie w codziennych ubraniach, bez pompy, tłumu gości, tylko we dwoje w obecności świadków. Każda młodość jest piękna!

Możemy się o tym przekonać, czytając życiorysy osób, które opowiedziały nam swoje życie.

Młodzieńcze lata naszych rozmówców przypadają przede wszystkim na okres wojny i lata powojenne. Na uwagę zasługuje fakt, że mimo traumatycznych przeżyć, ci ludzie potrafili się bawić, cieszyć każdą chwilą i czerpać radość z życia. Dzisiaj młodzi ludzie już tak nie potrafią...

Przeprawa przez granicę

Po ukończeniu pierwszej klasy wyjechałam na wakacje do ciotki Skińskiej, do Nakła. Była to daleka krewna, ale bardzo żyta z naszą rodziną. Zaprzyjaźniłam się z kuzynką Sabiną, córką ciotki. Chodziłyśmy razem na spacer w towarzystwie „sztubaków”. Naprzeciwko domu ciotki była kawiarnia. Syn właściciela zalecał się do mnie, podrzucając nam przez okno świeże pączki.

Pewnego dnia Sabinka przybiegła do mnie i zawołała: „Jesteśmy zaproszone na wieczorek do państwa Wiciorków!” Wahaliśmy tylko przez chwilę. Po przybyciu na miejsce zostałyśmy przedstawione gospodarzom. Po chwili zjawili się tam dwaj panowie. Jeden z nich był kuzynem, a drugi przyjacielem domu. Po pysznym podwieczorku, gospodarze włączyli „patefon” i zaprosili wszystkich do tańca. Byłam oczarowana. Moim partnerem był pan Jerzy Dastych. Imponowało mi to, że mam zaszczyt tańczyć z dyplomowanym profesorem muzyki. Dla mnie, dziewczyny piętnastoletniej, było to ogromne wyróżnienie. O tym, że pan Dastych jest profesorem muzyki, dowiedziałam się dopiero na drugi dzień, gdy zostałam odprowadzona przez niego i kuzynkę na stację kolejową. Pan profesor wręczył mi na pożegnanie wizytówkę, prosząc jednocześnie o mój adres bydgoski.

Gdy wróciłam do domu, nikomu nie powiedziałam o mojej nowej znajomości. Po miesiącu, gdy wróciłam do szkoły do Bydgoszczy, zjawił się pan Dastych z bukietem pięknych kwiatów. W towarzystwie mojej koleżanki Zosi poszliśmy do kina na film „Serce matki”. Zosi bardzo spodobał się pan profesor, gdyż nie lubiła bandy rozwydrzonych gimnazjalistów. Ona podkochiwała się w nauczycielu, który pracował w szkole w Dziewierzewie. Kiedy otrzymywałam listy od pana Dastycha, czytałyśmy je z zapartym tchem. Sielanka skończyła się bardzo szybko i z wielkim hukiem. Mama Zosi znalazła listy od profesora i przekazała je mojej mamie. Rodzice bardzo się zdenerwowali. Tatusz napisał list do profesora. A listy od niego pokazał przełożonej w gimnazjum, pani Rolbieskiej. Od niej też usłyszałam kazanie. Musiałam zmienić szkołę, niestety. Po wakacjach miałam rozpocząć naukę w Poznaniu, chociaż nie bardzo mi się to podobało. (...)

Po dwóch tygodniach ja i mama zostałyśmy zaproszone do państwa Osetowskich. Pan Osetowski był właścicielem apteki, która mieściła się w ich domu. Pani Osetowska była przełożoną w gimnazjum. Osetowscy mieli dwie córki, jedna studiowała medycynę, a druga była farmaceutką i pracowała z ojcem w aptece. Państwo Osetowscy zaproponowali mi, żebym u nich została. Byłam tam traktowana jak gość, ale starałam się pomagać w obowiązkach. Pani Osetowska była teraz gospodynią domową, gdyż gimnazjum zostało zamknięte. Miała trzech bratanków – Janusza, Mariana i Kazika, którzy często odwiedzali

ciocię. Pewnego dnia powiedziała do mnie: „Od kiedy mieszkasz u nas, moi bratankowie częściej nas odwiedzają.” Wszyscy razem, ja, córki pani Osetowskiej i jej bratankowie, bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Często chodziliśmy na spacer, bawiliśmy się na śniegu, rzucaliśmy śnieżkami. Wieczorem przychodził Kazik, który pięknie grał na skrzypcach. Janusz, który zajmował się elektryką, adorował mnie na każdym kroku. Często przynosił mi listy, chociaż mieszkał dwa domy dalej. W listach, które czytałam po kryjomu, zapewniał mnie o swoich uczuciach.

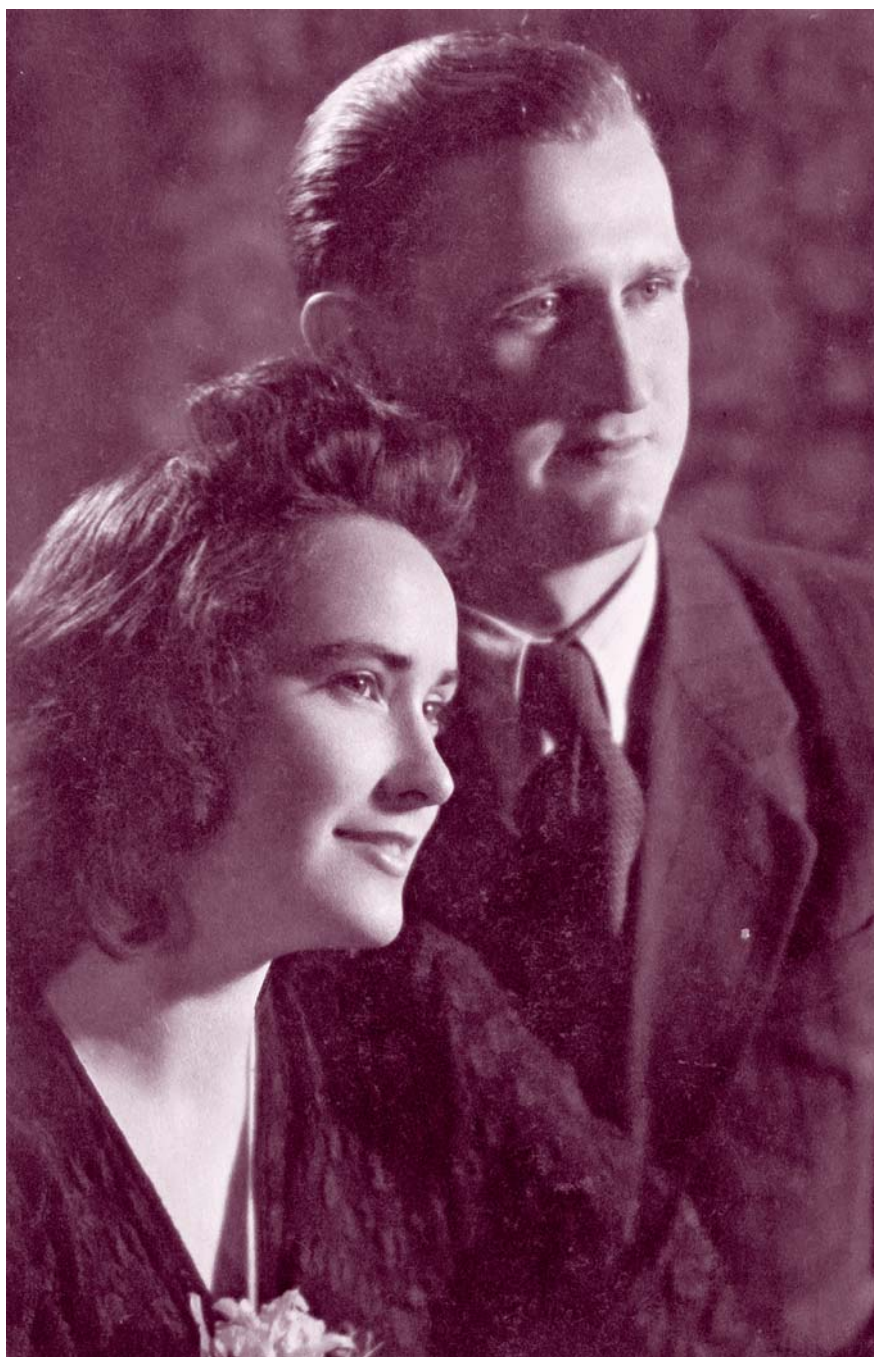
Moja mama napisała list do siostry taty. Opisała w nim naszą sytuację związaną z wysiedleniem. Pod koniec stycznia dostała wiadomość, że przyjeżdża po nas brat z zakonu Kamedułów i mamy być gotowe do wyjazdu. Najbardziej rozczarowani byli bratankowie pani Osetowskiej, bracia Kazikowscy. Każdy szepotał mi czule słówka i prosił, żebym o nim nie zapomniała. A ja każdego zapewniałam o swojej wierności, chociaż największe wrażenie wywarł na mnie Janusz.

W końcu nadszedł czas wyjazdu. Posłaniec zjawił się w cywilnym ubraniu. Pojechaliśmy. Podróż pociągami była bardzo niebezpieczna. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, które upoważniałyby nas do powrotu i przekroczenia granicy Warthelandu. Staliśmy na zatłoczonym ganku przy przedziale, w którym siedzieli niemieccy żołnierze. Co chwilę któryś z żołnierzy prosił, żebym usiadła na wolnym miejscu. Mama mocno trzymała mnie za rękaw, a ja grzecznie odmawiałam. Cóż innego mogłam zrobić. Najbardziej bałam się podczas kontroli granicznej. Ale udało nam się przez to przejść, chociaż do dzisiaj zastanawiam się, jak to się stało. Może zakonnik przekupił kontrolera?

Dojechaliśmy na miejsce. Wujek przysłał po nas powóz. Pojechaliśmy do klasztoru. Tam wspaniale nas przyjęto, przy suto zastawionym stole. Byliśmy wzruszeni, gdyż po pięciu miesiącach tułaczki, byliśmy znowu z rodziną.

Ciocia z wujkiem zajmowali się gospodarstwem, dobrze im się powodziło i dzięki temu nam też żyło się lepiej. Wszyscy byli dla nas bardzo serdeczni. Kuzynki Jadzia i Zosia były dla mnie bardzo miłe. Często wyjeżdżałam z Jadzią do Kazimierza Biskupiego po zakupy. Rowery zostawialiśmy zawsze w młynie u pana Dolaty. Dziwiłam się, dlaczego akurat właśnie tam zostawialiśmy nasze środki lokomocji. Okazało się, że pan Dolata miał syna Tadeusza, który był li-

Moja kuzynka lubiła spacerować. Była bardzo elegancką, pięknie ubraną panią. Prezentowałam się przy niej bardzo skromnie. Nosiłam skromny, gimnazjalny płaszczyk. Głowę zdobiły dwa, nie do końca zaplecione, warkocze, które zwiły się w podłużny lok, i szkolna czapka. Być może ten dziewczęcy, nieco nieokrzesany wizerunek, przyciągał uwagę chłopców.



Ja i Edmund, mój przyszły mąż

cealistą. Poznaliśmy się. Powiedziałam mu, że jestem wnuczką Wojdyńskiego i bratanicą Karpińskich. Tadeusz odprowadzał nas, kiedy byliśmy w mieście.

Myślałam, że on jest zakochany w moje kuzynce. Pewnego dnia dostałam list od Tadeusza, w którym zapytał: „Czy ty nie zauważyłaś, jakie zrobiłaś na mnie wrażenie?” Nie chciałam nikomu mówić o tym liście, gdyż zdawałam sobie sprawę, że Jadzia kocha Tadeusza. Tadeusz również mi się spodobał. Był bardzo przystojny i miły. Gdy byłam w jego towarzystwie, przypominały mi się beztrojskie „czasy sztubackie”.

Podczas Świąt Wielkanocnych kuzynki planowały zorganizować przyjęcie. Poszliśmy zaprosić pana Zabłockiego, bratanka zaprzyjaźnionej rodziny. Na przyjęcie miał być też zaproszony Tadek Dolata. W Wielki Piątek pojechaliśmy do kościoła. Przed kościołem czekał Tadeusz. Wysiedliśmy z powozu. Stałam oddalona o kilka kroków od kuzynek. Tadeusz podszedł do mnie, pocałował w rękę i wprowadził do kościoła. W kościele stał przy mnie. Do dzisiaj pamiętam, jakie piekło rozpełtała moja ciotka, mama Jadzi. Ciotka miała nadzieję, że Jadzia zostanie w przyszłości panią Dolatową. Mama bardzo się zdenerwowała, kiedy usłyszała „wywody” cioci i stwierdzenie, że jeśli zostaną u nich na święta, to one wyjadą. Rano odprowadziła mnie do cioci Zielińskiej, która mieszkała obok dziadka. Obydwie śmiały się z historii, którą opowiedziała mama. Ja zostałam u cioci, a mama pojechała do Pyzdr.

Nie wiem skąd Tadeusz dowiedział się, gdzie jestem. Gdy przyjechał, poszliśmy na spacer. Zapewniał mnie o swoim uczuciu. Powiedział mi także, że nigdy nie interesował się moimi kuzynkami. Potem zasypywał mnie listami.

Wanda Czarnecka

Wróżby andrzejkowe

Mojego męża poznałam mniej więcej w tym samym czasie, gdy rozpoczęłam pracę w „makaroniarni”. Nasza znajomość zaczęła się od andrzejkowych wróżb. W andrzejkowy wieczór mamusia kazała mi postawić pod łóżko miskę z wodą i na wodzie położyć patyczek. „To będzie kładka – powiedziała – ten, kto we śnie przeprowadzi cię przez tę kładkę, będzie twoim mężem”. Nie przyśniło mi się, że ktoś przeprowadza mnie przez kładkę. Za to przyśniło mi się coś zupełnie innego. Śniło mi się, że otworzyły się drzwi w kuchni i wyciągnęła się po mnie długa wąska ręka. Przez lufcik spoglądała na mnie twarz w kapeluszu. O tym śnie opowiedziałam mojej bratowej, Lusi. Lusja była siostrą mojego przyszłego męża. Powiedziała, że z pewnością przyśnił mi się jej brat – Rysiek. Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

Rysiek na krótko przed tym, jak go poznałam, wrócił z więzienia. Został skazany za przynależność do AK i za zamach na Polskę Ludową. Gdy go pierwszy raz zobaczyłam, nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. Był krótko obcięty, prawie nie miał włosów. Bardzo mi się nie podobał. Ale moja bratowa wciąż mnie przekonywała. Mówiła, że on mnie bardzo lubi, że chciałby ze mną porozmawiać. Ja nie chciałam. W końcu raz odwiedziłam Lusię i Ryśka. Porozmawialiśmy i na tym koniec. Potem był ślub i wesele siostry Ryśka, Reginy. Moja przyszła teściowa gorąco zapraszała mnie na uroczystość. Podobno Rysiek powiedział wtedy, że nie pójdzie na wesele, jeśli mnie tam nie będzie. Czy tak naprawdę było? Nie wiem. W każdym razie mama Ryśka tak mówiła i poszłam na ślub. Na weselu posadzili mnie koło Ryśka, a on wtedy był taki zahukany. Prawie się nie odzywał. Po powrocie z więzienia bał się własnego cienia. Ale na weselu, jak to na weselu, w pewnym momencie wszyscy zaczęli śpiewać „gorzka wódka” i namawiać Ryśka, żeby mnie pocałował. On wtedy bardzo się obraził i poszedł sobie. Do końca wesela już nie wrócił.

Potem wszystko się jakoś samo ułożyło. Zaczęliśmy ze sobą chodzić. Rysiek wciąż opowiadał mi o przeżyciach wojennych. O pobycie na dalekiej Syberii, o ucieczce stamtąd przez Moskwę, o głodzie, o więzieniu. Mąż miał bardzo trudne doświadczenia. Najgorsza była chyba ucieczka z Syberii. Rysiek szedł ze swoim kolegą, też Ryśkiem. Pewnego razu podczas wędrówki, kolega zostawił go w pobliżu jakiegoś śmietnika i powiedział: „Ukryj się tutaj. Ja pójdę, może znajdę coś do jedzenia”. Rysiek długo na niego czekał, aż w końcu postanowił go poszukać. Jego towarzysz podróży wygrzebywał jakieś resztki ze śmietnika i zjadał. Był tak głodny. Jakimś cudem dotarli do domu. Rysiek był aż spuchnięty z głodu. Nie mógł już nawet iść. Wieźli go na wozie na pierzynach. Gdy wrócił do kraju, zamieszkał w Szczecinie. Tam wraz ze swoim kuzynem, Tadeuszem Judą, który mieszkał przy naszej ulicy w Gorzowie, zorganizowali zamach na Polskę Ludową. Pamiętam, że ubowcy ich szukali. Pytali, gdzie mieszka Tadeusz Juda. Wtedy nie znałam jeszcze mojego męża. W końcu złapali Ryśka i jego kuzyna. Umieścili ich we Wronkach. Bili ich i torturowali. Tadeuszowi wybili wszystkie zęby. Rysiek dostał pięć lat. W jego tapczanie znaleźli broń. Zdradziła go koleżanka, która była sympatią jakiegoś ubowca. Była nasłana, a Ryśkowi wydawało się, że jest jego przyjaciółką, że może jej zaufać. Gdy mąż wrócił z więzienia, ubowcy chodzili za nim bez przerwy. Namawiali go, by został konfidentem, żeby donosił, ale on nigdy na to nie przystał. Później, nawet już długo po ślubie, zawsze chodził za nami ubowiec. Mąż mówił wtedy do mnie: „Widzisz! Ten z tyłu to mój anioł stróż”.

Za mąż wyszłam w październiku 1955 roku. Bracia posadzili mnie na taczce i wozili po domu i ogródku. Niestety, nie była to zbyt wesoła uroczystość.



Mój mąż

Miałam żalobę po tatusiu, który zmarł w grudniu 1954 roku. Ubrana byłam w sukienkę z jasnej wełny z czarnymi lamówkami, którą uszyła mi ciocia.

Lilia Kononowicz

Miłość polsko–niemiecka

Naprzeciwko naszego domu była wielka sala, w której odbywały się tańce. Chodziło się tam co tydzień. W Niemczech po wojnie była bardzo dziwna sytuacja. Brakowało chłopaków. Najpierw mówiono, że już nigdy nie będzie w naszym państwie armii. Nic nie remontowano w koszarach, które powoli niszczały. Później jednak powstało wojsko, ale nieobowiązkowe. Kto chciał, mógł iść do wojska. Mój brat był bardzo zapalony i uparł się, żeby wstąpić do armii. Miał wtedy 17 lat. Był tam dwa lata. A potem wprowadzili obowiązkową służbę wojskową. Chłopcy, którzy nie chcieli iść do wojska, uciekali na zachód. Wtedy jeszcze właściwie nie istniała RFN, ale już była różnica między Niemcami wschodnimi i zachodnimi. Już wtedy ta granica w pewnym sensie istniała, choć można było ją bez problemu przekroczyć. Wówczas wielu chłopaków uciekło z naszych stron. Właściwie na wschodzie Niemiec zostały same dziewczyny. Zazwyczaj na zabawach tanecznych było więcej dziewczyn niż chłopaków. Potem w Zittau powstała szkoła inżynierska i wtedy przyjechało do nas dużo chłopaków, ale oni też pobylili tylko trochę i szybko pojechali. Nie było tak, że dziewczyna mogła wybierać. Chodziłyśmy co tydzień na zabawy, ale na tym się kończyło. Zanim poznałam mojego męża, z nikim się nie spotykałam. Co najwyżej zawierałam jakieś niewiele znaczące, krótkie znajomości. Ot, i to wszystko.

Męża poznałam podczas święta dziesięciolecia NRD w 1959 roku. Z tej okazji odbywała się u nas zabawa. Ja należałam do FDJ (Freie Deutsche Jugend – Wolna Niemiecka Młodzież). To był związek, który powstał po wojnie. Gdy młody człowiek szedł do pracy, automatycznie był zapisywany do FDJ. Jeśli ktoś powiedział, że nie chce należeć do związku, krzywo na niego patrzyli. Przynależność do ZMS w Polsce chyba nie była aż tak przymusowa. W zasadzie przynależność do FDJ też nie było obowiązkowa, ale raczej nikt nie chciał się wychylać. W ramach FDJ odbywały się zebrania, festyny. Czasem braliśmy udział w konkursach sportowych. Raz nawet jechaliśmy na dwa tygodnie na coś w rodzaju obozu sprawnościowego. Niezbyt mi się ten wyjazd podobał. Biegaliśmy po lesie i wykonywaliśmy różne ćwiczenia wojskowe. To było prawie jak wojsko, nawet nocne warty mieliśmy. Odbywały się również zabawy, na które nieraz zapraszano Polaków. Jedną z takich imprez była właśnie zabawa z okazji dziesięciolecia NRD. W moim zakładzie pracy mieliśmy kontakt z Polakami. Przede wszystkim



Wycieczka do Drezna

z kopalnią w Polsce, w której kiedyś pracowali Niemcy. Przyjechał cały autobus Polaków z ZMS. Mój przyszły mąż nie należał do związku. Zabrali go ze sobą, bo umiał mówić po niemiecku. Jako dziecko trzy lata chodził do niemieckiej szkoły na Śląsku. Miał być tłumaczem polskiej wycieczki. Tak się poznaliśmy. Stasiu miał ciemne włosy, prawie czarne. Był szczupły. Przyjemnie mi się z nim rozmawiało. Był bardzo miły. Następnego dnia Polacy pojechali do Drezna i ja pojechałam z nimi. Drezno wyglądało wtedy zupełnie inaczej niż teraz. Była tam bardzo interesująca galeria obrazów i naprawdę warto było je zwiedzić.

Gdy mój przyszły mąż wyjechał, pisywaliśmy trochę do siebie po niemiecku. Ja poszłam po jakimś czasie na kurs języka polskiego. W naszym mieście była nauczycielka, która znała język polski. Zorganizowała kurs językowy. Ja i kilka innych osób chodziliśmy na ten kurs. Właściwie po polsku nauczyłam się mówić dopiero w Polsce, ale kurs trochę mi pomógł. Może też nie przykładałam się za bardzo do nauki? Nie wiedziałam, że będę mieszkać w Polsce.

Przez cały okres od przyjazdu męża na dziesięciolecie NRD aż do ślubu widzieliśmy się dwa, może trzy razy. I to w warunkach niezbyt komfortowych. Gdy mąż przyjechał z delegacją z Polski, spotkaliśmy się w budynku, w którym pracują celnicy. Stasiu dowiedział się, że przyjedzie tam delegacja z mojego zakładu pracy i zabrał się z polską delegacją, żebyśmy mogli się zobaczyć. Na granicy spotkaliśmy się jakieś trzy razy. Tęskniłam za mężem i dlatego wymyśliłam, że pojedę do Polski do Międzyzdrojów na urlop. Mój mąż też mógł tam przyjechać i dzięki temu mieliśmy w końcu szansę normalnie się spotkać.

Pojechałam do Międzyzdrojów na dwa tygodnie. Moja wycieczka była zorganizowana przez niemieckie biuro podróży, a mąż przyjechał prywatnie. Te nasze pierwsze wspólne wakacje miały miejsce w 1960 roku. Gdy spotkaliśmy się w Międzyzdrojach, bardzo dużo rozmyślaliśmy nad tym, co powinniśmy zrobić. W końcu zdecydowaliśmy się na ślub.

Helga Bryś

Praktyka w kółku rolniczym

Swojego męża poznałam w 1963 roku, gdy byłam jeszcze w szkole średniej. Byłam wtedy z koleżanką na praktyce u pana Henia w kółkach rolniczych. To były praktyki zimowe, w okresie karnawału. W świetlicy, obok której mieszkał pan Henio, odbywała się zabawa. Gospodarz bardzo gorąco zachęcał nas do wzięcia w niej udziału. Poszliśmy na tańce. Mój mąż był wtedy w wojsku w Krośnie. Twierdził potem, że gdy tylko wszedł do świetlicy i spojrzał na mnie, powiedział: „Dziś muszę bawić się z tą dziewczyną!”. Koło mnie kręcił się wtedy

jakiś inny adorator. Mój przyszły mąż zawołał go na bok i powiedział mu, że ma się ode mnie odczepić. Tamten nie chciał się zgodzić. Mąż powiedział wówczas: „Stawiam ci dwa wina, ale musisz zostawić ją w spokoju”. Tamten przystał na ten układ, ale gdy je wypił, zrobił się odważniejszy i znów zaczęli konkurować ze sobą. Zabawa się skończyła, praktyki również i wróciliśmy do szkoły. Wtedy dostałam od konkurenta mojego przyszłego męża list, w którym napisał, że „poważna twarz kaprała cały czas nam przeszkadzała”. Adres dostałam od mojego kolegi. Ten chłopak pisywał do mnie regularnie. Mieszkałam wtedy w internacie. W domu bywałam tylko raz w miesiącu, więc spotykaliśmy się rzadko, ale utrzymywaliśmy stały kontakt listowny.

Minął jakiś czas. Zaczęłam już pracować i kiedyś miałam coś do załatwienia w urzędzie gminy. Tak się złożyło, że akurat był tam również mój przyszły mąż, którego zobaczyłam pierwszy raz od czasu pamiętnej zabawy. Gdy wyszłam, zaczął wypytywać urzędniczki, kim jestem i prosić o mój adres. Urzędniczka nie podała mojego adresu, ale powiedziała, że niebawem będę w pobliskiej wsi – tam nas ze sobą zapoznała. Porozmawialiśmy trochę i rozeszliśmy się. A potem znów była jakaś zabawa, na której mąż nie odstępował mnie ani na krok. Tak już zostało.

Zakochałam się i pobraliśmy się 5 lutego 1966 roku. Wtedy był olbrzymi problem z kupnem materiału na suknię. I w końcu zdecydowałam, że pójdę do



Nasza fotografia ślubna

ślubu w kostiumiku. Był uszyty z pięknego materiału – z gabardyny w kolorze ecru. Nigdzie nie mogłam dostać białego materiału. Dużo później moje córki, gdy były w szkole średniej, chodziły w moim ślubnym kostiumie. Rzecz jasna, przerobionym. Nasze wesele odbyło się w domu. To była niewielka uroczystość, na której było może z 30 osób.

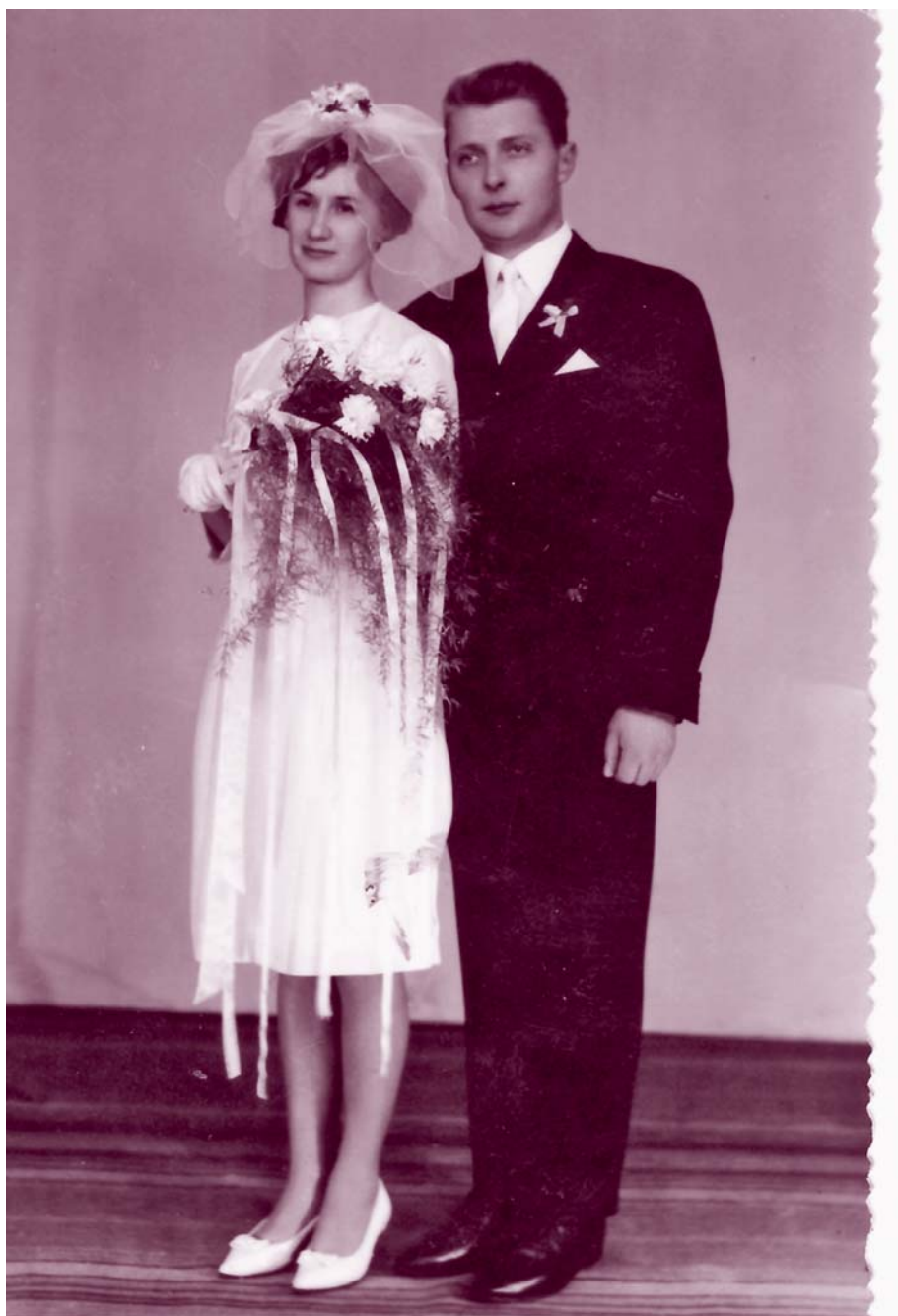
Irena Czernuszewicz

Mała czarna i „gwizdany” schabowy

Gdy przyjechałam do Słubic, wyglądałam jak uczennica. W tamtych czasach dziewczęta były bardzo naturalne. Nie używałyśmy kosmetyków. Modne były granatowe układane spódnice i białe bluzki. Dbaliśmy o fryzury. Chciały się podobać. W Słubicach chłopaków było dużo, zwłaszcza żołnierzy, którzy szukali sobie sympatii. Miałam chłopaka, który był oficerem. Przyniósł mi kiedyś wojskowy kombinezon. Uszyłam sobie z niego strój na rower. Rzecz jasna, na pożyczony rower, bo swojego nie miałam. Wszyscy pytali mnie, gdzie kupiłam taki piękny kombinezon. Sukienki też szyłam sama ręcznie. Bardzo często chodziłam z moją sympatią na różne zabawy, musiałam zatem mieć odpowiednie stroje. Gdy uszyłam sobie jedną sukienkę, po dwóch tygodniach musiałam przerobić ją tak, by wyglądała zupełnie inaczej. Wtedy bardzo modne były tzw. „małe czarne”. Najpierw szłam na zabawę w czarnej sukience z koralikami, potem w czarnej z białymi wypustkami, a później jeszcze ze złotym paseczkiem. Stawałam na głowie, by zmienić starą sukienkę. A pieniędzy naprawdę nie miałam. Gdy kupowałam bluzkę, zawsze wybierałam taką, która mogłaby mi posłużyć i latem, i zimą. W Słubicach był prywatny sklep u pani Klemensowej, w nim kupiłam kiedyś zielony golf. Był z cieniutkiej dzianiny. Latem nie było mi w nim gorąco, a zimą mogłam włożyć na niego kamizelkę i tak nadawał się do użytku przez cały rok. Nie miałam pieniędzy! Ale kto wtedy je miał? Jak na taką biedę, i tak dobrze się ubieraliśmy. Gdy pewnego razu miałam na Sylwestra czerwoną sukienkę, mój chłopak pomalował mi na czerwono białe czółenka. Tej nocy wyglądałam jak dama, choć buty, rzecz jasna, niebawem popękały.

Ostatnią rzeczą, na którą wydawałam pieniądze, było jedzenie. Nieraz jadłyśmy z koleżanką gwizdanego schabowego. Mówiłyśmy: „Dziś robimy na obiad schabowe”. Pogwizdałyśmy, pogwizdałyśmy i zjadałyśmy kaszankę. Potem przekonywałyśmy się wzajemnie, że czujemy się, jak po zjedzeniu schabowego.

Nie dorobiłam się żadnego majątku, ale wtedy to nie było dla nikogo takie ważne. Ceniliśmy sobie wolność i swobodę oraz fakt, że jesteśmy młodzi, zdrowi, że możemy się bawić. W tamtym czasie ustrój, w którym żyliśmy, wcale



Fotografia ślubna

nam nie przeszkadzał. Byłam wykształcona, bo wtedy szkoła średnia to już było coś. Nie mieliśmy wielkich wymagań. Uznawaliśmy wszystkie święta narodowe. Podobały nam się, bo to były dni wolne od pracy, wypełnione imprezami. Byliśmy młodzi, beztroscy i szczęśliwi. Nic więcej ponad to, co mieliśmy, nie było nam potrzebne. Gdy dziś o tym pomyślę, stwierdzam, że ten okres był bardzo przyjemny. Nie podchodziliśmy krytycznie do nikogo i niczego. Wiedzieliśmy, że istnieje zależność w obozie układu warszawskiego, ale nam to osobiście wcale nie przeszkadzało. Może osoby starsze od nas myślały wtedy o tym. Nas te sprawy w ogóle nie zajmowały.

W Słubicach żyło mi się bardzo dobrze. Po jakimś czasie zapoznałam pewnego oficera. Spotykaliśmy się cztery lata. Byliśmy już bardzo blisko ślubu. Rozstaliśmy się jednak. Doszliśmy bowiem do wniosku, że nie nadajemy się do wspólnego życia. Mieliśmy bardzo podobne charaktery. Byliśmy niezwykle uparci. Bardzo to przeżyłam, bo to była moja pierwsza wielka miłość. Potem mi jednak przeszło. Miałam wielu znajomych, z którymi mogłam chodzić na zabawy. Nie odczuwałam tak bardzo braku chłopaka. W wieku, w którym wtedy byłam, każda dziewczyna pragnęła się ustabilizować. Ale mi się chyba za bardzo nie spieszyło do małżeństwa. Gdy wychodziłam za mąż, miałam 24 lata.

Z moim przyszłym mężem dojeżdżałam do pracy. Byliśmy dla siebie mili, ale nigdy za bardzo nie gustowaliśmy w sobie. Pewnego roku nie mieliśmy z kim pójść na Sylwestra i postanowiliśmy iść razem. Rok później wzięliśmy bardzo skromny ślub. Myśleliśmy o przełożeniu terminu, ponieważ mój ojciec był bardzo ciężko chory. Mamie bardzo zależało, żebyśmy zmienili datę ślubu. Obawiała się najgorszego. Stwierdziłam jednak, że nie organizujemy dużego wesela, tylko przyjęcie. Codziennie dostawałam wiadomość, w jakim stanie jest tata, ale codziennie też obawiałam się, że to będzie zła wiadomość. Na ślubie nie było moich rodziców. Były tylko moje dwie siostry i szwagier. To było niewielkie przyjęcie na 30 osób. Bez orkiestry. Tylko na akordeonie grał kolega męża. Wszystko urządziliśmy i opłaciliśmy sobie sami. Teściowa miała gospodarstwo, więc dała nam jakieś mięso.

Wtedy bardzo modne były krótkie sukienki ślubne. I taką właśnie sukienkę uszyła mi krawcowa. Była bardzo skromna, ale ładna. Wesele nie było dla nas takie ważne. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy już małżeństwem i że zamieszkamy razem. Teściowa była bardzo chora i niezwykle cieszyła się, że ostatni syn w końcu się ustatkował.

Adela Widzewicz

Prawdziwa miłość

Jan Sipa, mój przyszły mąż, był moją pierwszą prawdziwą miłością. Mieszkał niedaleko, w tej samej miejscowości. Moja przyszła teściowa nie chciała, żeby Janek się ze mną żenił. Byłam towarzyska i miałam powodzenie u chłopaków, lubiłam się bawić. Wszyscy się cieszyli, kiedy przychodziłam na zabawy, tańczyliśmy, graliśmy w różne gry. Mój ojciec grał na skrzypcach, stryjek na bębenku i cała młodzież się schodziła, ze Starkowa, z Golic, a z Drzecina nawet boso przychodzili. Młodzież lepiej się bawiła wtedy niż teraz.

Janek pilnował mnie na każdym kroku, czasem i musiał się o mnie po-
bić. Gdy siedziałam i szyłam, kolega Władek włożył na lipę i zaglądał do mnie, a my się śmialiśmy z moim przyszłym mężem. Gdy Janek poszedł do wojska, teściowa mnie pilnowała. Uważała, że skoro za czasów panieńskich lubiłam się bawić, to tak będzie i po ślubie. Potem okazało się, że niesłusznie mnie podejrze-
wała, bo byłam bardzo uczciwą żoną.

Janek pracował w organizacji Służba Polsce. Ja zresztą też należałam do SP. Podczas zawodów sportowych zajęłam pierwsze miejsce w skokach wzwyż i w dal. Niezły był ze mnie sportowiec. Potem miałam jechać na zawody sportowe do Warszawy, ale mąż mnie nie puścił. Powiedział mojej mamie, żebym nie jechała i mama poparła męża. Sama też nie chciała się zgodzić na mój wyjazd.

Wyszłam za mąż 19 października 1952 roku. Najpierw wzięliśmy ślub kościelny, cywilny braliśmy w lipcu 1953. Nasz ślub był bardzo piękny. Msza święta odbyła w Słubicach, a w Lisowie mieliśmy wesele. Pamiętam, że było około 70 osób. Miałam tzw. „rzymski ślub”. Do kościoła jechaliśmy bryczkami, których było siedemnaście. Pierwszą bryczką jechali muzykanci i grali całą drogę. Towarzyszyło nam siedemnaście druchen i siedemnastu drużbów. Dziewczęta ubrane były na biało, różowo i niebiesko. Wszystkie miały długie, piękne suknie i wiązanki kwiatów. Chłopaki nieśli świece. W kościele stanęli, zrobili most, żebyśmy mogli pod nim przejść i podejść do ołtarza. Miałam długi, trzymetrowy welon i długą sukienkę, szytą na miarę. Od pasa była rozszerzana, miała falbany u dołu i okrągły karczek pod szyją. Mój ślub był wspaniałym przeżyciem. Z czułością wspominam całą uroczystość. Pamiętam, że dostaliśmy talerze, żelazko, dwa obrusy i inne drobiazgi.

Zuzanna Sipa



Ślub z Janem Sipą

Młodość jest piękna

Dwa lata po wojnie poznałam swojego przyszłego męża, Zenobiusza Majchrzaka. Pochodził z tej samej wioski. Zaczęliśmy się spotykać, gdy miałam dwadzieścia lat. Mąż był starszy ode mnie o cztery lata. Wpadliśmy sobie w oko. Nasze narzeczeństwo trwało dwa lata.

Spotykaliśmy się wieczorami w grupie młodzieży. Zbieraliśmy się, śpiewaliśmy piosenki. Nawet bajki sobie opowiadaliśmy, np. o Kopciuszku. Takie były wtedy czasy. Pamiętam też wojenne piosenki, które śpiewaliśmy na łące.

Organizowaliśmy również zabawy. Letnią porą, gdy muzyka przygrywała, tańczyliśmy na łące. Było bardzo wesoło. Miło wspominać te czasy. Potrafiliśmy się wspaniale bawić. Zresztą jak mogło być inaczej, przecież każda młodość jest piękna. Taka też była nasza, chociaż powojenna.



Nasz ślub

Pobraliśmy się 20 lutego w 1950 roku. Wesela nie mieliśmy, tylko nieduże przyjęcie w gronie rodziny. Ślub braliśmy w Boleszczynie, w kościele parafialnym. Miałam białą sukienkę i welonik. Skromnie i tradycyjnie.

Justyna Majchrzak

Marysia i dwa śluby

Zacząłem zastanawiać się nad własnym życiem. Chciałem założyć rodzinę i zacząć żyć na własny rachunek. Wybrałem sobie gospodarstwo i wyprowadziłem się z domu. Próbowałem radzić sobie sam, ale było mi bardzo ciężko.

Marysię poznałem w 1947 roku zimą. Rodzina żony mieszkała za wsią, na nizinie w Ługach Górzycznych. Pod koniec zimy wylała tam Odra. Woda zalała całe ich gospodarstwo i musieli natychmiast się stamtąd wyprowadzić. Sołtys Górzycy przyszedł do nas i kazał jechać na zalany teren. Wzięliśmy wóz i konia. Pojechaliśmy im pomóc. Zabraliśmy wszystko, co było można uratować. Pamiętam, jak wybieraliśmy ziemniaki z kopca. Wywieźliśmy stamtąd całą rodzinę. Potem ten teren był już tak zalany, że nie dało się tam dojechać. Rodzina żony zamieszkała kątem u sąsiadów.

Marysia od razu mi się spodobała. Zaczęliśmy się spotykać. Ale długo ze sobą nie chodziliśmy. Uważałem, że nie mamy na co czekać. W kwietniu 1948



Marysia i ja

roku wzięliśmy ślub cywilny. Na początku naszego wspólnego życia mieszkaliśmy jeszcze osobno. Byliśmy już małżeństwem, ale dopiero wtedy tak naprawdę zaczęliśmy chodzić na randki. Przez całe lato chodziliśmy na spacer. Był to wspaniały okres w naszym życiu.

Wzięliśmy ślub cywilny, gdyż nie chciałem iść do wojska. Szkoda mi było tych dwóch lat. Wówczas obowiązywał taki przepis, że chłopak, który ma już żonę, nie będzie musiał służyć w armii. Dostałem zwolnienie od służby wojskowej. W ten sposób Marysia uchroniła mnie przed wojskiem.

Kilka miesięcy później, w październiku, wzięliśmy ślub kościelny. Pojechaliśmy bryczką z końmi do kościoła. Ceremonia ślubna odbyła się w kościele w Słońsku. Tego samego dnia ślub brała również siostra mojej żony, Władzia. Po ceremonii w kościele odbyło się niewielkie przyjęcie w domu. Było skromnie, gdyż nie mieliśmy pieniędzy na duże wesele. Świątowaliśmy w rodzinnym gronie.

Jan Palichleb

Beztraskie lata

W Górzycy był budynek, przy którym skupiało się życie kulturalne. Była tam sala kinowa, a obok taneczna. Było też kino objazdowe, którego właścicielem był mieszkaniec Żabic. Przyjeżdżał do Górzycy co kilka tygodni, żeby wyświetlać filmy dla mieszkańców. Było to dla nas wielkie święto. Zbieraliśmy się w sali kinowej i wspólnie oglądaliśmy film.

W sali tanecznej odbywały się potańcówki. Był mały bufecik, a wokoło parkietu ławki. Często na tych ławkach siadały mamy i pilnowały swoich córek. Były naszymi przyzwoitkami. Wszyscy wspaniale bawili się na tych zabawach. Byliśmy jak jedna, wielka rodzina. Zawsze znalazła się jakaś okazja do zabawy. Ludzie byli bezpośredni, nietrudno było nawiązywać kontakty. Wszyscy sobie pomagali. Cieszyli się z sukcesów innych. Dzisiaj już nie ma takiej serdeczności wśród ludzi.

Były też potańcówki na strażnicy na świeżym powietrzu. Był tam ogrodzony teren, pokryty trawą. Po środku znajdowało się miejsce na ognisko. Tam odbywały się święta wojskowe. Mieliśmy zespół, który prowadziła pani Irena, mieszkanka Górzycy. Często w zabawach uczestniczyli żołnierze. W ciągu dnia pomagali mieszkańcom w pracach gospodarczych. Wieczorami grali i śpiewali, a słyhać ich było w całej wsi. Ja też lubiłam zabawę i potańcówki. Z rozrzewnieniem wspominam tamte czasy. Było bardzo fajnie. Młodość i beztraska, cudowne lata. Moja babcia często mówiła do mamy: „Oj Hanuś, jak ty ją wychowujesz. Będzie rozpuszczona, jak dziadowski bicz.”



Lata pięćdziesiąte

Gdy byłam młodą dziewczyną, lubiłam się bawić. Byłam beztroska i bezpośrednia. Przebierałam w chłopakach jak w ulęgałkach.

Pamiętam jednego chłopca. Miał na imię Roman. Kiedy go poznałam, wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. Zawsze szukałam okazji, żeby chociaż z daleka na niego spojrzeć. Ale on nie zwracał na mnie uwagi. Nasza znajomość nawet się nie zaczęła, a już musiała się skończyć. Roman był starszy ode mnie dwa lata, widocznie byłam dla niego „za smarkata”.

Poznałam też jednego żołnierza, który mieszkał w Zawadzie, koło Zielonej Góry. Przyjeżdżał do Górzycy. Miał jasne, kręcone włosy. Bardzo mi się podobał. Miał na imię Wiesław. Ale jakoś nie pasowaliśmy do siebie. Tatusi mówił do mnie: „Nie zwracaj chłopakowi głowy, jeżeli ci się nie podoba.” Kiedy przyjeżdżał do Górzycy, chodziliśmy razem na potańcówki. Przyjeżdżał do mnie przez jakiś czas, ale ostatecznie wszystko się rozleciało.

Był jeszcze inny młodzieniec. Poznaliśmy się w pracy. Mieszkał i pracował w Gorzowie. Firma, w której pracował, odbierała len z punktu w Laskach Lubuskich. Zostałam oddelegowana do pracy w tym punkcie i tam go poznałam. Kiedyś przyjechał do mnie zimą motorem, podczas wielkiej śnieżycy. Umówiliśmy się, że spotkamy się na zabawie. Jednak coś strzeliło mi wtedy do głowy i nie poszłam na potańcówkę. Nie wiem dlaczego tak postąpiłam. Tatusi strasznie się na mnie pogniewał. Powiedział tylko: „Jak ty mogłaś tak postąpić?” Przez jakiś czas miałam w domu „przechlapanie”. Mało brakowało, żebym dostała lanie od tatusia „za chłopaka”.

Przyjaźniłam się też z chłopcem, który miał na imię Rysiu. Miał czarne, kręcone włosy. Jego mama bardzo mnie lubiła. Ale serce nie biło mi mocniej na jego widok i znajomość nie przetrwała. Potem Rysiu ożenił się i zamieszkał w Kostrzynie. Dopóki jego mama mieszkała w Górzycy, mówiła na mnie „synowa”. Kiedy się spotykałyśmy wypominała mi: „Nie chciałaś być moją synową!” Przychodziła do nas do domu, kiedy już byłam mężatką i mówiła do mojej teściowej: „Przyszłam odwiedzić swoją synową.”

Zofia Markowska

Dwóch kandydatów – jeden ślub

Gdy miałam szesnaście lat, rodzice postanowili, że trzeba mnie wydać za mąż. Ja wtedy w ogóle o tym nie myślałam. Chciałam się uczyć i coś w życiu osiągnąć. Pewnego razu tato przyprowadził mi kawalera. Kawaler był w wieku taty. Gdy go zobaczyłam, zaczęłam płakać i uciekałam do pokoju. Stamtąd wyszłam przez okno na zewnątrz. Chciałam iść do siostry mojej mamy, która przyjechała nas odwiedzić, poznała tu męża i została z nim w Jesionowie na stałe. Uciekałam, a tato zaczął mnie szukać po domu. Spojrzał przez okno i zobaczył, że idę drogą. Tato zawołał kandydata na mojego męża, wsiedli na bryczkę i pojechali za mną. Nagle usłyszałam za sobą stukot końskich kopyt i wołanie taty. Udawałam jednak, że nie słyszę. Tato zawołał drugi raz. Minęli mnie i zatrzymali



Z mężem, rok 1950

się. „Jadzia –stanowczym głosem zawołał tata – wsiadaj!” Rodziców trzeba było słuchać. Wsiadłam i wróciliśmy do domu. Gdy kawaler pojechał, tato zaczął mi tłumaczyć: „Ten pan jest bogaty, będziesz miała z nim bardzo dobrze”. Ale mama popatrzyła na mnie, zobaczyła, że płaczę i powiedziała do taty: „Daj spokój dziecku”.

Gdy jechaliśmy transportem na zachód, jechała z nami rodzina – rodzice, trzech synów i córka. Po przyjeździe zamieszkali w Brzesku, sześć kilometrów od Jesionowa. Rodzice spotykali się z nimi od czasu do czasu. Dwóch synów ożeniło się, a najmłodszy wyjechał na Śląsk do pracy. Potem wrócił i chyba jego rodzice opowiedzieli mu o mnie. Pewnego razu odwiedził nas. Gdy moja mama go zobaczyła, stwierdziła, że to bardzo przystojny chłopak. Zawsze mówiłam, że mama pierwsza się w nim zakochała. W następnym tygodniu przyjechał z rodzicami, bratem i bratową, żeby omówić nasze małżeństwo.

Podobał mi się ten chłopak, choć nie byłam jeszcze gotowa na małżeństwo. Jednak, gdy przypominałam sobie, jakiego kawalera przyprowadził mi tato, zgodziłam się. Upłynęły trzy miesiące. Musieliśmy przygotować się do ślubu. Ja miałam niepełne 18 lat, mąż miał 19. Byliśmy jeszcze dziećmi. Rodzice załatwili ślub. Pojechali do Barlinka, bo u nas nie było księdza. Pojechaliśmy do kościoła i wzięliśmy ślub. Ubrana byłam w białą suknię i welon. Mieliśmy też nieduże wesele. Przygrywała orkiestra. Za mąż wyszłam w 1948 roku.

Jadwiga Ciesielska



Rozdział V

Na Ziemiach Odzyskanych

Kilka tygodni w wagonie, często razem ze zwierzętami... Ciasnota, głód, strach i niepewność. Ale nadzieja na lepsze jutro...

I wielka radość, że ziemie zostały odzyskane.

To był dopiero początek nowego życia. Ludzie wysiadali z zatłoczonych pociągów i szukali swojego miejsca. Nowego miejsca do życia w wolnej, odrodzonej Polsce.

Zajmowali domy opuszczone przez niemieckie rodziny. Powoli życie zaczynało nabierać tempa. Szukanie nowej pracy, dorabianie się. Codzienne smutki i radości. Ale już u siebie...

Czytając historie zamieszczone w tej książce, możemy się przekonać, że ludzie zaczynali nabierać pewności siebie i cieszyć się każdą chwilą. Przestali się bać tego, co przyniesie los...

Mieszkanie na strychu

Ludzie zaczęli wyjeżdżać na zachód. Znajoma rodzina też zbierała się do wyjazdu i ja się do nich „przytuliłam”. Nie miałam nawet walizki. Pożyczyłam od kogoś, spakowałam dwie sukienki i pojechałam. Mama próbowała mnie przekonać, żebym została: „Gdzie ty chcesz jechać? Ty nie umiesz w mieście żyć! A to też trzeba umieć. Na wsi jest łatwiej. Na pole pójdziesz, kartofli nakopiesz, mleka się napijesz i będziesz żyła”. Ale ja chciałam do miasta. Wszyscy wyjeżdżali z rodzinami. Tylko ja jedna sama byłam.

Przyjechaliśmy do Słubic jesienią 1957 roku. Dwa dni spaliśmy u znajomej na podłodze. Później zaczęliśmy się rozglądać, gdzie są jakieś wolne mieszkania i jak tylko coś się znalazło ludzie zaraz się wprowadzali. Ja wybrałam mieszkanie na strychu przy ulicy Reja. W nim były dwa pokoje i kuchnia. Całe domy stały puste, ale ja byłam sama, więc wystarczyło mi małe mieszkanko. Zgłosiłam do prezydium, żeby mi zrobili światło. Przyszli znajomi i nastawili drzwi. Kupiłam maszynkę na prąd. Mieszkanko było przyjemne i ciepłutkie. Na początku żyłam tam sama. Pamiętam, jak siedziałam w moim pokoiku przy oknie i rozmyślałam o tym, jaka jestem samotna, że nie mam tu rodziny. Smutno mi było.

Na szczęście, przyjęli mnie do pracy. Miałam sprzątać w „odzieżówce”. Kazali mi się wymeldować z domu w Olszewie. Pojechałam w olsztyńskie i rzuciłam pracę w majątku. Trochę było z tym kłopotu. Do nowej pracy potrzebne były dokumenty. Ludzie, którzy ze mną pracowali w majątku, musieli poświadczyć, że byłam zameldowana w Olszewie i że rzuciłam tam pracę. Musiało być dwóch świadków. W końcu się udało. Przyniosłam zaświadczenie do biura. Mogłam zacząć pracę i normalne życie. Podobało mi się tutaj.

Anna Stepanek

Przyjazd na zachód i skarb pod podłogą

Zaraz po wojnie ogłoszono, że ziemie zostały odzyskane. Mama poprosiła dziadka, żeby z nami został, a sama postanowiła jechać na zachód. Pojechała do miejscowości Wojcieszyce, koło Jeleniej Góry. Zamieszkała w domu, na parterze którego mieszkali Niemcy, jego właściciele. Potem dziadzius zawiózł mnie i siostrę do mamy.



Moja mama, ciocia z wnuczkiem i kuzynki

Kiedy przyjechałyśmy z siostrą, mama oprowadziła nas po miejscowości. Było tam jeszcze sporo pustych mieszkań. W wielu z nich zostały meble i rzeczy gospodarzy. Dziwiłam się, kiedy widziałam nakryte do obiadu stoły.

Zbliżała się zima. Moja mama zaczęła upychać watę w dziury, które znajdowały się w podłodze przy piecu, żeby ciepło nie „uciekało”. W pewnej chwili usłyszała jakieś brzęknięcie. Pomyślała, że coś tam musi być. Poszła po siekiere i zaczęła rąbać podłogę. Okazało się, że pod podłogą ukryty był cały majątek Niemców, którzy mieszkali na parterze domku. Materiały, sztucce i wiele innych wspaniałych rzeczy. Niemcy usłyszeli, że mama znalazła ich dobytek. Natychmiast poszli na milicję. Milicjanci przyjechali dużym samochodem, wyrwali podłogę, zabrali cały „skarb” i odjechali. Nic nie zostało. Ani dla nas, ani dla Niemców.

W Wojcieszycach nie mieszkaliśmy długo. Siostra cioteczna mojej mamy wyjechała do Cieplic. Mama nawiązała z nią kontakt. Potem postanowiła, że też się tam wyprowadzimy. Był rok 1947 albo 1948. Zamieszkaliśmy na ulicy Zjednoczenia Narodowego 34. Cieszyliśmy się, gdyż mieszkało tam wielu naszych krewnych.

Danuta Drozdowska

Z Niemcami pod jednym dachem

Ruszyliśmy w drogę na początku czerwca. Jechaliśmy otwartym pociągiem, w którym przewożono węgiel. W jednym wagonie jechali ludzie i bydło. Podróż trwała dwa tygodnie, a może jeszcze dłużej. Cały dzień poruszaliśmy się do przodu, a nocą – do tyłu. Budziliśmy się rano i zauważaliśmy, że nadal jesteśmy w tym samym miejscu. Wiele fragmentów torów było zniszczonych i często musieliśmy się cofać. Rodzice opowiadali, że Wrocław jeszcze się dymił, gdy przejeżdżaliśmy w pobliżu.

Przyjechaliśmy do Rzepina 19 czerwca 1945 roku. Wtedy Rzepin nazywał się jeszcze Reppen. Wyładowano nas przy torach. Nie było tam wtedy żadnych domów. Rodzice poszli poszukać domu, w którym moglibyśmy zamieszkać. W mieście jednak było bardzo dużo rosyjskiego wojska. Rosjan bali się wszyscy, a zwłaszcza kobiety. Mama była jeszcze młoda. A ludzie mówili, że to bydło, a nie wojsko. Tato postanowił, że najlepiej będzie zatrzymać się na wsi. Trafiliśmy do Lubiechni Wielkiej. Gospodarze stwierdzili, że tam jest dobra ziemia. We wsi mieszkali jeszcze Niemcy i przez dwa tygodnie mieszkaliśmy razem z nimi.

W domu, do którego trafiliśmy, mieszkało niemieckie małżeństwo i ich służąca. Niemiec bardzo się ucieszył, gdy przyjechaliśmy, bo pomyślał, że znów będzie miał pracowników. Stodoła w gospodarstwie była spalona, ale stały jeszcze chlewy, w których w czasie wojny żołnierze rosyjscy trzymali konie. Tam było bardzo dużo obornika, aż do połowy drzwi. Obornik nie był wywalany przez całą wojnę. Gdy przyjechaliśmy, koni już nie było i ktoś musiał posprzątać ten bałagan. Nam – dzieciom – Niemiec kazał sprzątać strych i zamiatać podwórko. Doskonale sobie wszystko zaplanował. Rodzice powiedzieli wtedy: „My nie przyjechaliśmy pracować dla Niemca. Przyjechaliśmy tu gospodarzyć. Przecież obiecywali nam, że dostaniemy tu gospodarstwo”.

Poszli do sołtysa na skargę. Sołtys powiedział jednak, żeby póki co nie sprzeciwiali się Niemcom, bo oni i tak tu nie będą mieszkać. Niemcy muszą iść za Odrę, bo tutaj jest Polska. Żołnierze rosyjscy gwałcili Niemki. Ustawiali się w kolejce i maltretowali je aż do zgonu. Po dwóch tygodniach powiedziano Niemcom, że mogą tu zostać, jeżeli przyjmą obywatelstwo polskie. Żaden Niemiec w Lubiechni nie przyjął polskiego obywatelstwa. Wszyscy zostali wywiezieni za Odrę. Potem jeszcze przez jakiś czas zostało we wsi wojsko rosyjskie i polskie, ale i oni w końcu wyjechali.

Zaczęło się zwyczajne życie. Nasz dom w Lubiechni był duży. Najpierw mieszkali w nim trzy rodziny, a potem dwie. W naszej części domu mieliśmy trzy pokoje i kuchnię. W piwnicy była kuchnia latowa. Na podwórku stał piec, w

którym dawniej kobiety z całej wsi wypiekały pieczywo. W Lubiechni tata jeszcze przez jakiś czas zajmował się kołodziejstwem. Potem jednak popularne stały się koła gumowe i tato zajął się gospodarstwem.

Zofia Kliszczak

Kromka chleba i kwaszony ogórek

Z Grodna wyjechaliśmy w lipcu 1945 roku. Tatuś załatwił ewakuację. W naszym domu zamieszkał rosyjski kapitan. Oddał nam pieniądze za to, co było posadzone w ogrodzie. Na początku zamieszkał w jednopokojowym mieszkaniu, w którym wcześniej mieszkała moja starsza siostra. Mieszkał z żoną – aktorką. To była jego druga żona. Miał z nią dziecko – córeczkę Maję. Gdy żona kapitana wychodziła na próby do teatru, często prosiła mnie, żebym zaopiekowała się jedenastomiesięczną Majką.

W końcu jednak ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy trzy tygodnie. Podczas podróży przejeżdżaliśmy przez Warszawę. Stolica bardzo mi się spodobała. Jadąc przez most, spoglądałam na Wisłę, która była taka niebieska i piękna. Nad wodą latały ptaki. Cudownie to wyglądało. Poprosiłam tatusia, żebyśmy zostali w Warszawie. Tatuś powiedział: „Dziecko! Gdzie ty chcesz zostać? Co my tu będziemy robić? Zobacz, jak ludzie tu mieszkają!”. I pokazał mi dom, a właściwie jedną ścianę, która po nim została. Okno, schody, wejście i jeden ocalały mały pokoik, w którym ktoś mieszkał. W Warszawie były same ruiny.

Pewnego razu podczas podróży zobaczyliśmy na stacji niemieckich niewolników. Jedli wszystko, co tylko znaleźli. Szukali skórek i ogryzków na peronie. Byli biedni, zmęczeni i wygłodniali. Gdy ich zobaczyłam, powiedziałam do tatusia: „Dajmy im coś do jedzenia”. Mamusia dała mi do ręki kromkę chleba i kwaszonego ogórka. „U ciebie nie zauważą” – powiedziała. Przecież gdyby jakiś strażnik to zobaczył, moglibyśmy zostać surowo ukarani za pomoc niewolnikom. Wśród Niemców był jeden człowiek, który szczególnie przykuł moją uwagę. Zrobiło mi się go bardzo żal. To był Niemiec, ale przede wszystkim człowiek. Przechodząc obok, wcisnęłam mu do ręki chleb i ogórka. Jak on to chwycił, jak spojrzał, jak zaczął jeść! Boże Świąty! To było straszne.

15 sierpnia 1945 roku przyjechaliśmy do Gorzowa Wielkopolskiego. Zatrzymaliśmy się w Gorzowie, ponieważ tatuś znał go jeszcze z czasów, gdy pracował w Niemczech. Wtedy Gorzów nazywał się Landsberg. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, na stacji były jeszcze niemieckie napisy. Pociąg zatrzymał się i wyładowaliśmy swój bagaż na rampie. Rodzice zabrali ze sobą z Grodna stół, szafę, krzesła i łóżka. W pociągu mieliśmy do dyspozycji pół wagonu towarowe-



Przed domem w Gorzowie

go. Było nas czworo oraz brat z żoną, teściową i dwójką dzieci. Druga połowa wagonu należała do jakichś obcych ludzi.

Gdy zajechaliśmy na miejsce, z tatusem, bratem i bratową wybraliśmy się na poszukiwania odpowiedniego domu. Szukaliśmy takiego domu, do którego nie musielibyśmy dopłacać. Tatus miał dokumenty naszego domu w Grodnie i chciał wymienić je na lokum o podobnej wartości. Znaleźliśmy w końcu ładny, jednopiętrowy dom. Był dużo większy od tego w Grodnie. Na dole były dwa pokoje z kuchnią i na górze jeszcze dwa. Dom był już zajęty przez jakiegoś wojskowego z Poznania, który przykleił kartkę na drzwiach. Tatus zerwał kartkę. Nie wiem, czy skądś dostał klucz, czy sam otworzył drzwi. W każdym razie prędko zameldował naszą rodzinę i niebawem wprowadziliśmy się. Dom był zupełnie pusty, podłogi były wymyte. Tylko roiło się w nim od pluskiew. Wcześniej przez jakiś czas stacjonowali w tym domu Rosjanie.

Lilia Kononowicz

Przyjazd do Rzepina

Na wschodzie mieszkaliśmy do 1945 roku. Wyjechaliśmy w kwietniu ostatnim transportem. Jechaliśmy ponad miesiąc, różnymi pociągami, głównie towarowymi. Dojechaliśmy do Krakowa, gdzie planowaliśmy zostać. Tata miał tam zapewnioną pracę i mieszkanie, ponieważ po wojnie kolejarze byli poszukiwani. Wydarzyło się jednak inaczej, ponieważ rodzina mamy, jej matka i siostry, usilnie nalegały, aby jechać z nimi dalej. Nie chciały zostać w Krakowie, gdyż nie miały tam szans na znalezienie pracy i domu. Pojechaliśmy zatem dalej i w maju dotarliśmy do Rzepina. Wszędzie grasowali wówczas Rosjanie. Dobijali się do mieszkań i szukali sobie damskiego towarzystwa. Musieliśmy założyć okiennice, które szczelnie zamykaliśmy na noc. Czasami słyszało się o gwałtach, ale były to sporadyczne wypadki.

Zostaliśmy w Rzepinie niecały rok, potem przeprowadziliśmy się do Kowalowa, ponieważ chcieliśmy uciec przed Rosjanami. W 1947 wróciliśmy do Rzepina. Zajęliśmy dom na ulicy Leśnej.

Kilka lat po wojnie mama pracowała dorywczo przy zbiorach jagód lub grzybów, aby pomóc ojcu w utrzymaniu domu. Lata powojenne były trudnym finansowo okresem, tym bardziej, że ze wschodu przyjechaliśmy praktycznie bez niczego. Tata był pewny, że podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, po kilku tygodniach lub miesiącach wrócimy do domu. Nie zdaliśmy zatem dokumentów i nasz dom na wschodzie został oddany innym gospodarzom.

Mieczysława Drożdżyńska

W Sławniowicach

W tym czasie władze agitowały do wyjazdów na Ziemię Odzyskane, na zachód. Wszędzie wisiały plakaty zachęcające do wyjazdu.

Gospodarstwo brata mojej mamy spaliło się w czasie wojny i wujek zdecydował się na wyjazd. Mama w czasie wakacji spakowała plecak i Włodek wyjechał na poszukiwania wujka. Przy okazji miał sprawdzić, jak w rzeczywistości jest na Ziemiach Odzyskanych. Ogromna ilość ludzi kotłowała się nieustannie na dworcu w Katowicach. Pociągi – przeważnie towarowe – przyjeżdżały i odjeżdżały nieregularnie. W tym tygłu ludzi brat pojechał na zachód. Dojechał do gminy Borkowice i zgłosił się w punkcie osiedleńczym. Miał już wtedy skończoną pierwszą klasę liceum, był mądry i wykształcony. W Borkowicach potrzebni byli pracownicy do urzędu gminy i zaproponowano mu pracę. Dzięki temu przydzielono mu też dom w Sławniowicach. To była jesień 1946 roku. Ziemię zachodnie w tym czasie były już praktycznie zasiedlone. Część domów jednak gmina trzymała dla siebie i ludziom nie można było tam wchodzić. W centrum Sławniowic był dom, do którego tylko sołtys miał klucze i ten dom nam przydzielono. Przy okazji dostaliśmy też krowę.

Mama od razu zdecydowała się na wyjazd. Zabraliśmy za sobą tylko tyle, ile byliśmy w stanie udźwignąć. Nieśliśmy bagaże na plecach i w rękach. Mieliśmy ogromny problem, żeby dostać się do pociągu. Był straszny tłok. W końcu jednak udało nam się wsiąść do pociągu towarowego i ruszyliśmy na zachód. Jechaliśmy bardzo długo. Często pociągi zatrzymywały się. Pamiętam, że siedziałam podczas podróży na kolanach pewnej kobiety. Była więźniarką obozu w Oświęcimiu i opowiadała o swoich przeżyciach. Wielu ludzi wspominało wstrząsające historie o obozach koncentracyjnych. Szczególnie dobrze zapamiętałam, że w obozach nawet dzieci były zabijane, że umierały z zimna.

W końcu dojechaliliśmy do stacji Nowy Świątów. Tam nas wysadzono. Na stację miały przyjechać wozy, które miały rozwieźć nas po domach. Po nas jednak nikt nie przyjechał. Mama zdecydowała, że pójdziemy piechotą. Szliśmy, żywiąc nadzieję, że ktoś w końcu nas zabierze. Nie wiedzieliśmy nawet, w którą stronę mamy iść. Była piękna, złota jesień. Świeciło słońce. Było przepięknie. Droga wydawała mi się ogromna, szeroka, jasna i bardzo długa. Pamiętam rzekę oraz most, przez który przechodziliśmy. Szliśmy w stronę Markowic. Markowice to była ładna wieś, za którą znajdowały się już Sudety. Nie były to tak wysokie góry, jak Tatry na Podbeskidziu, ale bardzo się wszyscy cieszyliśmy, że tu też są góry. W końcu przyjechał po nas wóz i ruszyliśmy do Sławniowic. Minęliśmy po drodze kilka miejscowości – Biskupów, Borkowice(dawniej Borkendorf), Bur-

grabice i w końcu Sławniowice (dawniej Kunzendorf – Kunów). Wszędzie wisiały jeszcze wtedy nazwy niemieckie. To były bardzo ładne, zadbane miejscowości – domy zachowane w dobrym stanie, duże gospodarstwa, sady, kwiaty w oknach. Nigdzie nie było widać śladów wojny. Jedynie w Sławniowicach był wysadzony na rzece most i rozwalony częściowo piękny, żółty dom. To był naprawdę piękny dom, który można było jeszcze uratować. Niestety, popadł w ruinę. Ogólnie Kunów był jednak bardzo ładną wioską. Wszystko było bardzo zadbane – piękne wille, park, drogi, chińskie altanki, zagraniczne drzewa i krzewy. Dawny Kunzendorf dzieliła czeska granica. Większa część wsi znajdowała się już w Czechach. W Sławniowicach – po polskiej stronie – było dużo zakładów kamienia budowlanego, marmurów oraz piękny kamieniarski zakład Tosta. Gdy przyjechalśmy do Kunowa, zakład był już uruchomiony i ludzie w nim pracowali. Życie wrzało. Od zakładów w stronę stacji szła kolejka. Stacja jeszcze wtedy nie była czynna. Pierwszy pociąg przyjechał na nią dopiero w 1947 roku. We wsi mieszkali rozmaici ludzie. Było dużo Niemców, Ślązaków oraz Polaków ze wschodu i z gór.

Dom, do którego trafiliśmy, był ogromny. Mieszkała tam jego właścicielka – pani Iza Bauchman. Była niedużą staruszką. Czuła się trochę zażenowana, gdy przyjechalśmy. Bała się, z kim przyjedzie jej zamieszkać. Otworzyła nam drzwi. Była w dużym, szarym fartuchu na szerokich szelkach. Jej włosy upięte były w kok.

Na dole w naszym domu mieszkało dziewięć Niemek z Opoła. Ich ojciec prawdopodobnie był naczelnikiem poczty. Dziewczyny miały też kilku braci, którzy zginęli na wojnie. Współlokatorów przydzielał sołtys, a mieszkańcy nie mieli nic do powiedzenia.

Na poddaszu zakwaterowany był fotograf z żoną. Para staruszków. On – bardzo elegancki pan w czapce i w charakterystycznych pompach. W jego mieszkaniu zawsze walało się mnóstwo zdjęć. My zamieszkaliśmy na piętrze. Iza spała na dole. Dni spędzała z nami. Uspokoila się trochę, gdy zaczęła rozmawiać z mamą i lepiej ją poznała. Pamiętam do dziś jej ciepłe słowa: „Frau Piekarska”, „Frau Anna”. My – dzieci – szybko do niej przyłgnęliśmy. Mama cieszyła się, że mamy babcię. Iza gotowała razem z mamą, pomagała jej, razem z nami siadała do posiłków. Pamiętam jej słynne kluski nadziewane serem lub mięsem, które nazywała „polonisz klejzen”. Mama organizowała jedzenie. Potem zaczęła szyć. Przywiozła ze sobą głowę maszyny „Singer”. Co ciekawe, w domu, do którego trafiliśmy, znajdowała się dolna część do takiego samego modelu maszyny. To był niesamowity zbieg okoliczności i olbrzymia radość. Mama miała gotowy warsztat do pracy.

Dom był już „wyszabrowany” przez innych. Były w nim ogromne sale. W czasie okupacji prawdopodobnie był tam lagier, bo na górze znajdowało się



Przed domem w Sławniowicach; 1957

jeszcze kilka prycz, na których spali ludzie pracujący w zakładach kamienia budowlanego. Potem mama z Niemkami porąbały te łózka na opał. W jednej z stał duży śrutownik, który napędzał prąd. Przy domu znajdowała się piękna altanka i olbrzymi potok wody, który poruszał koło młyńskie. Brat uruchomił śrutownik. Ktoś przyniósł nam jęczmień. Ześrutowali to zaraz i zrobili z tego kaszę. Mogliśmy wypiekać chleb. W niemieckim, elektrycznym piecu piekliśmy chleb razowy i ciasto. Niemki gotowały z kaszy zupę. Wspólnie jakoś sobie radziłyśmy.

Niemki, które z nami mieszkały, chodziły do PGR-u do pracy. Wtedy nazywało się to gospodarstwo rolne. Wszystkie Niemki zabierano rano do pracy w polu. Zbierały ziemniaki. Bardzo dobrze razem nam się żyło.

Naprzeciwko nas znajdowało się piękne gospodarstwo Sikorów, w którym mieszkała ciocia „naszych” Niemek. Gdy kobiety uciekały z Opoła, wybierały się właśnie do tej cioci, na wieś. Nie mogły jednak tam zamieszkać, bo u Sikorów mieszkało dużo ludzi, którzy na dodatek chorowali na gruźlicę. Dwie osoby nawet zmarły. Potem już Niemki chciały mieszkać z nami. Moja mama była bardzo dobrym i mądrym człowiekiem. Niemki czuły się przy niej bezpieczne i spokojne.

Po pewnym czasie zostały jednak ewakuowane. Wyjechały sąsiadki z dołu i fotograf z żoną. Ludzie mówili, że wywożono je starami za Nysę i Odrę. Zabrały ze sobą cały swój dobytek. Po paru dniach wróciły, już bez bagażu. Małżeństwo fotografów nie wróciło. Podobno żona fotografa zmarła. Niemki natomiast znów trafiły do naszego domu, ale pozbawione wszystkiego. Chodziły wkoło domu i zbierały drzewo na opał. Mama im pomagała. Szukały pończoch. Znajdowały pojedyncze sztuki, które prały i wkładały na siebie. Pruły stare swetry i robiły z odzyskanej włóczki ubrania na drutach. Mama im szyła. Doświadczone kobiety, które przeżyły wojnę, pomagały sobie nawzajem. Ja zawsze byłam wrażliwa na krzywdę ludzką. Patrzyłam na to, co się dzieje z naszymi sąsiadkami i nie mogłam się z tym pogodzić. Po pewnym czasie, gdy na nowo ułożyły sobie życie, znów je wywieziono. I ponownie wróciły pozbawione dobytku. Znów trzeba było im zorganizować jakieś ubrania. Na szczęście, gdzieś tam stały jeszcze puste domy, w których wały się różne rzeczy.

Nasza rodzina jednak najbardziej zżyła się z Izą. Mama bardzo chciała, żeby Iza została z nami. Jeździła do starostwa w Nysie, by załatwić jej pobyt w Polsce. Iza też chciała z nami zostać. Była starą panną – samotną, bezdzietną – i bardzo cieszyła się, że znalazła rodzinę w Polsce.

Natalia Piekarska – Poneta

Na dobre w Słubicach

W 1950 roku, dwa miesiące po ślubie, przyjechaliśmy tutaj. Najpierw zamieszkał w Słubicach brat męża z żoną. Było to w 1948 roku. Potem zaproponował, żebyśmy też przyjechali.

Zamieszkaliśmy na ulicy Armii Czerwonej, obok restauracji Graniczna. Był tam dwurodzinny domek parterowy. Jedną część zajmował brat męża, drugą my. Mąż poszedł do pracy, do lasu. Pracował tam razem z bratem. Ładowali drzewo na wozy i zawozili na dworzec kolejowy. Potem zrezygnował z tej pracy, założył własną działalność i zajmował się budowaniem studni.

Długo nie pracowałam. Zajmowałam się przydomowym gospodarstwem. Potem na świat przyszły dzieci. Nasz syn Alek urodził się w 1951 roku. Potem, w 1953 roku, na świat przyszedł Andrzej, młodszy syn. Kiedy chłopcy poszli do przedszkola, poszłam do pracy do „Komesu”. Pracowałam tam jednak tylko kilka miesięcy.

Potem zaczęłam pracować w nowo wybudowanej szkole jako intendentka. Było to w roku 1962. W jednym budynku mieściła się Szkoła Podstawowa nr 2 i Liceum Ogólnokształcące. Tam pracowałam do emerytury.

W roku 1965 przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania przy ulicy Kopernika. Tutaj mieszkam do dziś.

Justyna Majchrzak



Mój tato, ja, mąż i nasi synowie

Przeprowadzka

W lutym 1946 roku pojechałem w moje rodzinne strony, do Kukowa w województwie krakowskim. Przeraziłem się, gdy zobaczyłem, jak to wszystko wygląda. Ojciec powiedział: „Nie będę tu gospodarować, bo do śmierci niczego się nie dorobię.”

Siostra Marysia, która została wywieziona do Niemiec na roboty, wróciła do domu, do Kukowa. Mój brat Józek nie wrócił już do nas. Gdy skończyła się wojna, miał zamiar przyjechać. Po drodze zatrzymał się w Górzycy, która wówczas należała do powiatu rzepińskiego. W Górzycy stacjonowało wojsko polskie. Mój brat był krawcem i zajmował się naprawą ich odzieży. Szył także mundury żołnierzom. Zadomowił się i już nie chciał wracać do Kukowa.

Józek zamieszkał w tutejszej kamienicy. Pisywaliśmy do siebie listy, dlatego też wiedział, jak bardzo zostało zniszczone nasze gospodarstwo. W jednym z listów napisaliśmy, że chcemy wyjechać z krakowskiego i pojechać na zachód. Józek namówił nas wszystkich, żebyśmy przyjechali do niego, do Górzycy.

Pojechałem pierwszy. Potem, po kolei, przyjeżdżali bracia i siostry. Gdy byliśmy już razem, zajęliśmy gospodarstwo, znajdujące obok kamienicy, w której mieszkał Józek. Dom był w złym stanie, wymagał remontu, ale mogliśmy w nim zamieszkać.



Na polu w Górzycy

W Górzycy było wiele gospodarstw, które zostały opuszczone przez uciekających Niemców. Brat Michał pomagał Józkowi w krawiectwie. Ja i rodzeństwo zaczęliśmy remontować dom i budynki gospodarcze. Potem przyjechał ojciec. Po przyjeździe do Górzycy dostał konia z UNRRY i zaczęliśmy wspólnie gospodarować. Gospodarstwo w Kukowie zostawił swojemu bratu.

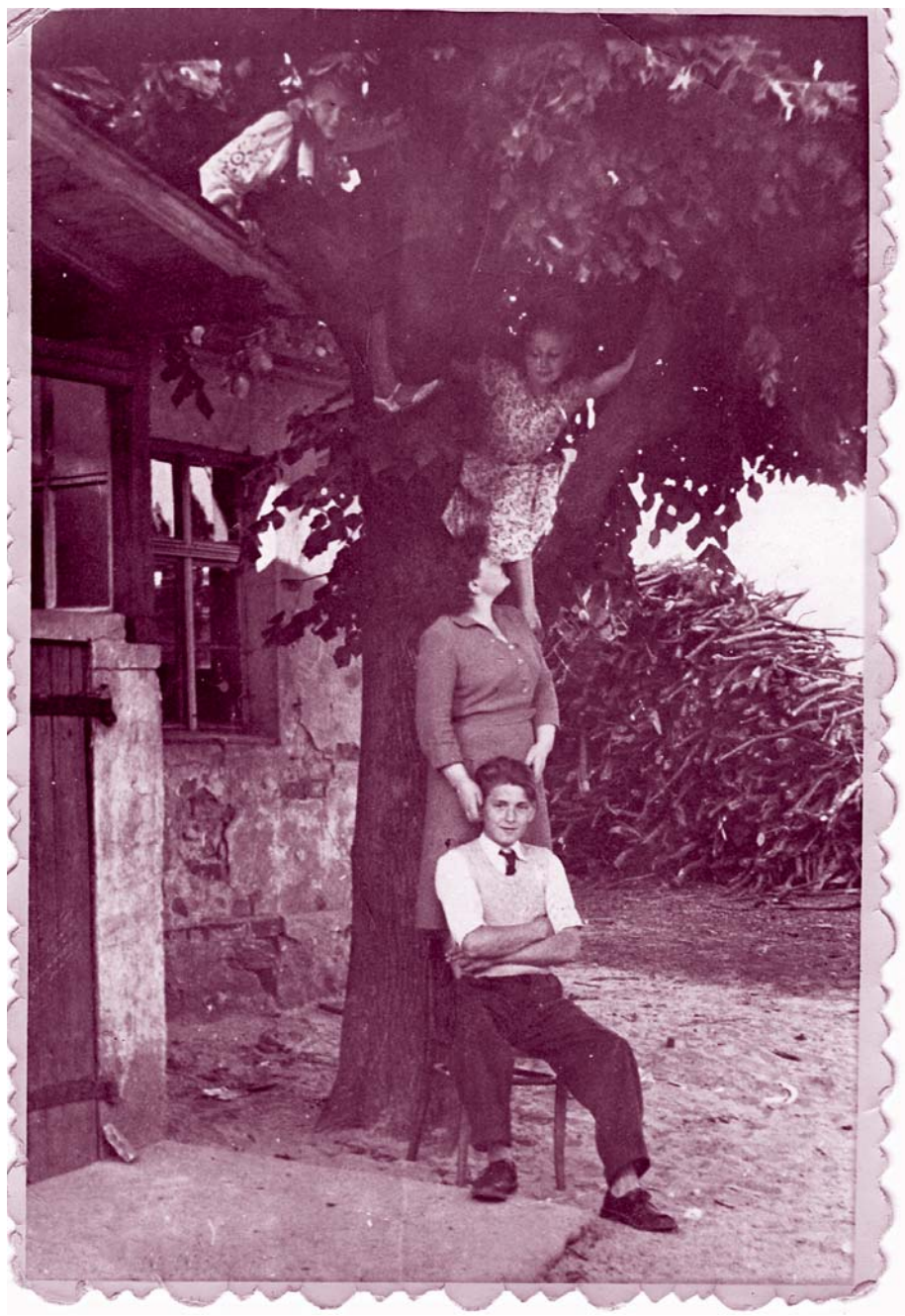
Jan Palichleb

Pojechali w nieznane

Na zachód przyjechaliśmy we wrześniu 1945 roku. Rodzice osiedli w Osiecznicy koło Krosna Odrzańskiego. Przyjechali tu zupełnie sami. Odważyli się i ruszyli w nieznane. Cała ich najbliższa rodzina została w Szynkielowie. Brat mojej mamusi podczas wojny przebywał w obozie pracy w pobliżu Świecka. Gdy skończyła się wojna, wszyscy opowiadali, że na Ziemiach Odzyskanych jest tyle pustych, pięknych gospodarstw, domów i pól. Gdy wujek wracał z obozu do domu, obejrzał gospodarstwa w okolicach Krosna. Zarezerwował jedno dla siebie, drugie dla moich rodziców. Gdy przyjechał do Szynkielowa, opowiedział wszystko moim rodzicom. Tatuś przyjechał do Osiecznicy, obejrzał gospodarstwo i postanowił tu zostać. Potem przyjechał po nas i osiedliśmy tu na stałe. Natomiast brat mamusi nie zdecydował się na wyjazd. Bał się. Mówił, że to zbyt blisko Niemiec, że Niemcy jeszcze wrócą. Taka wtedy panowała psychoza. Rodzice liczyli na to, że ktoś jeszcze z rodzeństwa do nich dotrze, ale wszyscy zostali.

We wszystkich domach można było znaleźć ponemieckie sprzęty, naczynia i meble. To, co ludzie zastawali w swoich domach po przyjeździe na zachód, stawało się ich majątkiem. Jednak, gdy moi rodzice przyjechali do Osiecznicy, ich nowy dom był zupełnie pusty. Odwiedziny w domach kolegów były dla mnie niesamowitą atrakcją. Oglądałam, w jaki sposób mają urządzone mieszkanie, jakie mają meble. To było dla mnie bardzo ciekawe i interesujące. Zachwycałam się wszystkim.

Osiecznica to wieś bardzo ładna i dosyć duża. Wszystkie domy są murowane. Rzadko można było tam spotkać jakąś brzydką i zaniedbaną chałupę. Teraz wszystkie są wyremontowane i prezentują się bardzo ładnie. Miejscowość zamieszkiwało ponad 1000 osób. Przez wieś przepływa rzeczka Bielawka. Ta rzeczka stanowi w pewnym sensie granicę. Oddziela bowiem wieś rolniczą od gospodarczej. Od strony Krosna znajdują się same rolnicze zabudowania, duże podwórka, budynki inwentarskie, stodoły. Z drugiej strony kiedyś mieszkali przede wszystkim robotnicy. Tam w pałacu znajdowała się przed wojną fabryka włókiennicza. Do dziś we wsi stoi pałac, w którym mieści się gospodarstwo



W wieku jedenastu lat; jestem na drzewie

rybne. Pamiętam, jak kiedyś tatuś obudził mamę rano i cichutko opowiadał jej, że w nocy z fabryki wywieźli wszystkie maszyny. To wszystko miało niby iść na odbudowę Warszawy. Czy w istocie tak było? Nie wiem.

Irena Czernuszewicz

Miasto – widmo

Do Słubic przyjechałam z koleżanką 3 listopada 1957 roku, która też mieszka tu do dziś. Na początku zamieszkałyśmy „na sublokatorce” u pewnej pani, w domu przy ulicy Kopernika. To w istocie było miasto-widmo. Wszędzie stały puste domy z powybijanymi szybami w oknach. W miarę upływu czasu wieczorami w kolejnych oknach zaczęło się pojawiać światło. Powoli ludzie zaczęli zasiedlać Słubice. Wtedy stwierdziłam, że tu zostanę.

Rozpoczęłam pracę na granicy w kwarantannie roślin. Momentami było bardzo ciężko. Wciąż wracałam myślami do rodzinnego domu. Rodzinę odwiedzałam tylko raz w roku. Z domu przywiozłam jedynie mały obrazek Matki Boskiej. To moja jedyna pamiątka. Wkrótce jednak głęboko związałam się ze Słubicami i na granicy przepracowałam 45 lat.

Na początku na przejściu granicznym ruch był bardzo mały. Nie było wtedy ruchu towarowego, tylko osobowy. Byłam pionierką kwarantanny roślin na tych terenach. Bardzo lubiłam swoją pracę. Ktoś powiedział kiedyś, że praca nie jest przekleństwem, a błogosławieństwem. W pełni się z tym zgadzam. To stwierdzenie jest szczególnie aktualne w obecnych czasach. Dziś każdy powinien powiedzieć sobie: „Jeżeli mam pracę, to jest błogosławieństwo”.

Adela Widziewicz



W roku 1955



Rozdział VI

Pasje i zainteresowania

Każdy człowiek ma jakieś hobby i zainteresowania. Bez tego nasze życie byłoby smutne i pozbawione blasku. Nasi rozmówcy to ludzie, którzy się nie nudzą, potrafią znaleźć sens w życiu i cieszyć się każdą jego chwilą.

Są wśród nich twórcy, którzy zajmują się np. poezją. Niektórzy nas zaskoczyli, płynnie recytując zapamiętane w dzieciństwie wierszyki.

Są tacy, którzy podróżują, malują, zajmują się fotografią, potrafią pięknie szyć lub wyszywać. W ten sposób tworzą wspaniałe dzieła.

Są też i tacy, którzy potrafią wyhodować dwukilowego kalafiora lub nową odmianę kwiatów. To zasługuje na uznanie. Pasja pozwala realizować marzenia, a dzięki rozwijaniu swoich zainteresowań możemy żyć pełniej i bardziej świadomie wykorzystywać swój potencjał...

Ogród – moja wielka miłość

Mimo nawału pracy, miałam zawsze zagospodarowany ogród. Interesowałam się tym od najmłodszych lat. O każdej porze roku mój ogród tonął w powodzi przeróżnych gatunków kwiatów. Uprawiałam również warzywa. W tym czasie należałam do Koła Gospodyń Wiejskich, które założyła pani Nieć. Była zresztą przewodniczącą koła. W konkursie „Więcej warzyw i kwiatów”, organizowanym w 1974 roku, zdobyłam dyplom i pierwsze miejsce w gminie. W tym samym roku zdobyłam uznanie za moje przetwory warzywne, które wyeksponowane były na pokazie powiatowym w Żninie. Kosztowało to trochę pracy, ale miło było otrzymać pierwszą nagrodę. Ona przyczyniła się do odznaczenia wojewódzkiego, które otrzymałam 15 września 1974 roku. Miałam ze sobą przeczca, które pokazywały kwitnące kwiaty podczas poszczególnych pór roku. Przyznam się, że pobiłam wszystkie rywalki.

Praca w ogrodzie stanowiła dla mnie odskocznnię od codziennych problemów i pracy na roli. Oczywiście, nie stroniłam od swoich obowiązków, gdyż one były najważniejsze. Żniwa, przerywki buraków, wykopki ziemniaków.

I tak zostało do dzisiaj. Ogród to moja wielka miłość i pasja. Pierwszą różę wyhodowałam, chociaż wstyd się w tej chwili przyznać, dzięki kradzieży. Pewnego dnia przechodziłam koło jakiegoś gospodarstwa. Zza płotu wystawała piękna róża. Nie mogłam się powstrzymać i ukradłam „szczepkę”. I tak to właśnie się zaczęło. Oprócz pięknych kwiatów hoduję także warzywa. Mogę się pochwalić, że udało mi się wyhodować kalafior, który ważył ponad dwa kilogramy. Wszyscy mówią, że na punkcie ogrodu mam „hopla”. A ja uważam, że do tego trzeba mieć serce. Dla mnie każda chwila spędzona w ogrodzie to wielka przyjemność i wspaniały dar. Oprócz ogrodu mam również oranżerię, w której kwiaty kwitną cały rok. Dzięki oranżerii mogę przez wszystkie pory roku zajmować się tym, co kocham najbardziej.

Wanda Czarnecka



W ogrodzie wśród kwiatów



Przed domem, 2004 rok; obok mnie mój mąż, Zenobiusz Majchrzak

Sprawny umysł i dobra kondycja

Wsiadam na rower i wiem, że żyję. Rower służy mi od wielu lat. Był moim narzędziem pracy, kiedy pracowałam jako intendientka. W 1988 roku przeszłam na emeryturę, ale nie zrezygnowałam z ulubionego środka lokomocji.

Jazda na rowerze dodaje mi sił. Gdy spotykam znajomych, pytają mnie: „Jak się czujesz Justyna?” Odpowiadam wtedy: „Wiesz, jestem już słaba i schorowana.” A znajoma patrzy na mnie i mówi: „Tak słaba, ciekawe. Tylko skąd masz siłę, żeby jeszcze na rowerze jeździć?” Rower dobrze wpływa na moją kondycję i zdrowie. Przez tyle lat zdążyłam się już zahartować.

Na każdą okoliczność w szkole uczyliśmy się wierszy. Gdy któryś zapadł mi w pamięć, już tak zostało. Mieliśmy książki, z których się uczyłam. Gdy byłam młoda, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero z wiekiem bardziej zaczęłam doceniać swoje umiejętności.

Pamiętam wiersz, który mówił mój szkolny kolega. Było to 11 listopada 1938 roku. Okazało się, że nauka nie poszła w las. Miałam okazję zaprezentować go w tamtym roku. Było to podczas obchodów uroczystości 11 listopada przed pomnikiem Bohaterów w Słubicach. Podeszłam do burmistrza w czasie uroczystości i zapytałam: „Panie burmistrzu, czy mogę powiedzieć wiersz?” Burmistrz, nie zastanawiając się ani chwili, odpowiedział: „Proszę bardzo”. W ten sposób zaprezentowałam wiersz, którego nauczyłam się 70 lat temu. Gdy skończyłam, rozległy się gromkie brawa.

Justyna Majchrzak

Przygoda z piosenką

W latach 90-tych w Górzycy powstało Koło Gospodyń Wiejskich. Kobiety, które były tam zrzeszone, postanowiły założyć zespół wokalny. W ten sposób powstał zespół „Odrzanki”, który prowadził Marek Bajka, syn tutejszej nauczycielki. Postanowiłam przyłączyć się do grupy. Zawsze lubiłam śpiewać, należałam też do kościelnego chóru.

Szykowałam nam się pierwszy wyjazd na przegląd zespołów ludowych. Bardzo chciałam pojechać z koleżankami. Ale niestety, nie udało się. Dzień przed wyjazdem opalałam kaczkę, używając denaturatu. Przez przypadek wylałam na siebie denaturat i zapaliło się na mnie ubranie. Próbowałam gasić ogień ścierką, ale nic to nie dało. Poparzyłam się wtedy strasznie i trafiłam do szpitala.

W repertuarze naszego zespołu były piosenki ludowe, kresowe i patrio-



Zespół Odrzanki na przeglądzie piosenek kresowych – Gorzów 1998 rok

tyczne. W naszej grupie śpiewało piętnaście kobiet. Do zespołu należało też kilku panów, którzy przygrywali na instrumentach. Jeździliśmy na różne konkursy i często zdobywaliśmy nagrody. Występowaliśmy na wielu uroczystościach w Górzycy, wyjeżdżaliśmy też do Niemiec.

Potem odeszłam z zespołu, gdyż musiałam opiekować się swoją schorowaną teściową. Ale bardzo miło wspominam tamten okres. Cieszę się, że mogłam swoim śpiewaniem sprawić radość innym ludziom. Kiedyś spotkała mnie jedna pani i powiedziała: „Pani Zosiu, zawsze kiedy śpiewa pani „Pieśń o Matce”, mam łzy w oczach”. Moje śpiewanie lubiła też siostra Marysia. Kiedy przyjeżdżała do Górzycy w odwiedziny, szłyśmy do kościoła. Ja śpiewałam z koleżankami, a ona siedziała w ławce i słuchała.

Zofia Markowska

Od Sri Lanki po Maderę

Uwielbiam podróże. Tą pasją zaraziła mnie kuzynka z Poznania. Nasz kolega Mieczysław wyszukuje w Internecie atrakcyjne oferty. Jeździmy z biurem niemieckim, wybierając oferty last minute. Pierwszy raz pojechałam z nimi do Rosji. Zwiedziliśmy kraj, płynąc Wołgą na wspaniałym statku. Załoga oferowała nam wiele atrakcji, świetne wyżywienie, dansingi. Było tak wspaniale, że wybrał się po raz drugi na taką wycieczkę



Z mieszkanką Sri Lanki i jej synkiem

Dwa razy odwiedziliśmy Sri Lankę. Tam jest przepięknie. Bujna egzotyczna roślinność zauroczyła mnie. Ale najbardziej zachwycona byłam mieszkańcami Sri Lanki. Są radośni, weseli. Ludzie pozdrawiają się na ulicy. Nie spotkałam tam smutnego człowieka. Obserwując ich, można powiedzieć, że szczęście i radość nie zależy od bogactwa. Być może niezwykła flora wpływa na samopoczucie tych ludzi.

Byłam także na Maderze. Było cudownie, jak w bajce. Ale ludzie nie są tak szczęśliwi jak na Sri Lance, chociaż są bardziej zamożni. Podczas moich podbojów zwiedziłam też Londyn i Pragę.

Dwukrotnie w życiu udało mi się obejrzeć pełne zaćmienie Słońca. Pierwszy raz w latach 50-tych. Grabiłam siano na łące nad Wartą. Tam miałam okazję zobaczyć to niesamowite zjawisko. Oglądałam zaćmienie za pomocą szkła z rozbitej butelki. W 2006 roku w kwietniu byłam w Turcji z kolegą Mieczysławem, synem Romanem i synową Małgosią. Tam także podziwialiśmy zaćmienie Słońca.

W tym roku wybieram się z przyjaciółmi w rejs. Popłyniemy nowym statkiem dookoła Wysp Kanaryjskich. Wszyscy mnie pytają, skąd biorę pieniądze na ekskluzywne podróże. Po pierwsze nie palę i dlatego jestem w stanie wygospodarować pieniądze na jeden wyjazd. Po drugie nie piję, więc mam drugą wycieczkę. Jestem bankowcem, więc umiem rządzić pieniędzmi. Uważam, że świat jest piękny i jeżeli są możliwości – trzeba jeździć i podziwiać jego zakątki. Zastanawiam się tylko, dlaczego ludzie niszczą to piękno?

Sensem mojego życia jest poezja. Uwielbiam czytać i uczyć się wierszy

na pamięć. Znam wiele utworów, niektóre pamiętam jeszcze z czasów szkolnych. W młodości uwielbiałam poezję Ludwika Jerzego Kerna. Teraz uczę się wierszy z tomiku „Myśli piórkiem pisane”, którego autorem jest Marcin Urban.

Janina Szatkowska

Moja babcia była poetką

Moja kuzynka Asia podarowała mi kilka miesięcy temu tomik wierszy naszej babci. Dostała te wiersze od niej kilkanaście lat temu. Podczas czytania bardzo się wzruszyłam. A potem postanowiłam, że przy pomocy rodziny, sporządzę życiorys babci i umieszczę w nim wszystkie wiersze, które napisała. Wiersze mojej babci są zwierciadłem odbijającym to, co w życiu najbardziej niezwykłe i najcenniejsze: miłość do dzieci, do przyrody i do Ojczyzny. Prostota i szczerść jej słów poruszyły moje serce do głębi.

Nie wiedziałam, że babcia zostawiła po sobie taki skarb. Opisując historię jej życia mogę przyczynić się do tego, że jej twórczość będą mogły poznać kolejne pokolenia naszej rodziny.

W wierszach, które dedykowane są dzieciom, babcia opisała swoją wielką miłość do nich. W prosty i szczerzy sposób opowiedziała historię każdego z nich. I dlatego wiersze dedykowane dzieciom są najbardziej niezwykłe i wzruszające.

Marzena Słodownik

Mój Wojtuś

*Mam ja synka Wojtusia, takiego chłopaczka małego.
Wszyscy się w domu nim cieszą, kochają go z serca całego.
Mój synek kończy już roczek i stawia swe pierwsze krocзки.
A w chwili, gdy się uśmiecha, w policzkach ma śmieszne dołeczki!*

*Ten mój grubasek kochany toczy się jak piłeczka.
Gdy go siostrzyczki uczeszą, wygląda niczym laleczka!
Ma cztery małe ząbki, na głowie same loczki,
Buzię rumianą jak róża i ciemne błyszczące oczki.*

*Kocham cię Wojtusiuku mały, moje Ty najmilsze dziecko,
Moja ptaszynko maleńka, mojego życia słoneczko.
Rośnij mój synku drogi, uśmiechaj się i bądź zdrowy,
Bo z Tobą świat jest cudowny, wesoły i kolorowy!*



Janusz, Ania i Ela



Rozdział VII

Lekcje od życia

Każde przeżyte doświadczenie pomaga nam żyć. Nawet te najbardziej przykre kształtują nasz charakter, osobowość i wrażliwość.

Każda osoba przeżywa inaczej swoje sukcesy i porażki. Każda dźwiga bagaż doświadczeń na swój sposób...

Czasami życie daje nam w kość i widzimy wszystko w czarnych barwach. Ale przychodzi dzień, kiedy na horyzoncie pojawia słońce... I wtedy wszystko zaczyna się od nowa. Po każdym doświadczeniu jesteśmy silniejsi, bardziej odporni na stresy i niepowodzenia.

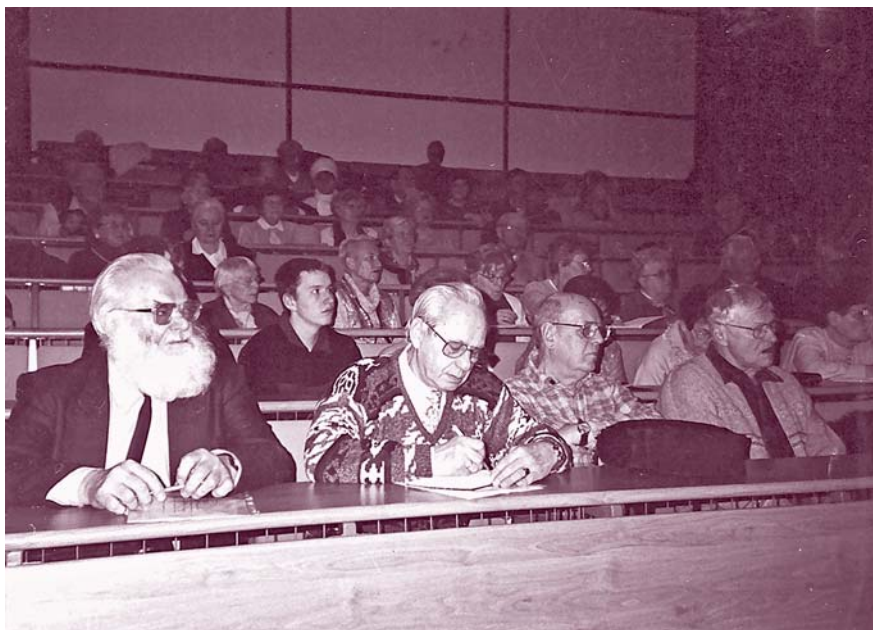
Nasi rozmówcy opowiadają o różnych momentach w swoim życiu. O tych dobrych i o tych złych...

Często zdarza się, że podczas nagrywania wywiadów bardzo się wzruszają i przeżywają wszystko na nowo. Wtedy zazwyczaj jest czas na refleksje i podsumowania.

Lekcja tolerancji

Współpracę z Niemcami zacząłem w latach 70. Już wtedy istniało Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. W Niemczech jest podobna organizacja, która nazywa się Urania. Kiedy mieszkałem w Świnoujściu, byłem członkiem tego towarzystwa i nawiązałem kontakt z podobnym stowarzyszeniem w Rostocku. I już wtedy rozpoczęliśmy współpracę. W Polsce mieliśmy jednak większą swobodę, sami podejmowaliśmy ważne decyzje, ustalaliśmy terminy. Natomiast w Niemczech bardzo zaskoczyło nas to, że wszystko trzeba wcześniej uzgadniać. Swoboda u nas, kontrola w Niemczech. Wolność tu, administracja za granicą. Jednak prawdziwa współpraca i oficjalne kontakty zaczęły się w stanie wojennym. Robiliśmy wymiany: 15 osób z Polski, 15 osób z Niemiec. Nasze spotkania przebiegały zazwyczaj w podobny sposób: Niemcy przyjeżdżali do nas kupować różne drobiazgi – kryształy, glinianki, ozdoby. Przez pierwsze dwie godziny biegali po sklepach. Potem spotykaliśmy się w jakiejś świetlicy, piliśmy kawę, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Następnie wystawiane były zaświadczenia, że to są upominki, aby nie mieli problemów na granicy. To samo było na spotkaniach w Niemczech. Banalne, ale pozwalało nam się poznać. Kiedy się skończył stan wojenny, zaczęły się dyskusje. Poznałem elitę frankfurcką: dyrektorów szkół, nauczycieli, ambasadorów, członków akademii. Jako tłumacz zostałem współorganizatorem spotkań. Takie były początki naszych kontaktów.

Pamiętam jednak jeszcze lata 70, kiedy grupy społeczne pracujące w Niemczech zaczęły się wywyższać, ponieważ zarabiały więcej od nas. Ci ludzie mieli większe możliwości, bez problemu dostawali mieszkania. Strasznie mnie to denerwowało, tym bardziej, że byli traktowani jako grupa uprzywilejowana. Pamiętam taką sytuację, kiedy w czasie stanu wojennego, po wejściu kartek, byliśmy uzależnieni. Mogliśmy kupić tylko to, na co mieliśmy kartki. Inaczej było z tą uprzywilejowaną grupą ludzi, która liczyła około tysiąca osób pracujących w DDR. Mieli swoje kartki. Mieszkali w Polsce, a do tego mogli robić jeszcze zakupy w Niemczech. Dlatego my kupowaliśmy od nich te kartki i znowu byliśmy w gorszej sytuacji. Jako socjolog amator często to analizowałem. Opisałem to w moich zapiskach. Jedna osoba pracująca w Niemczech zaopatrywała trzy, cztery osoby z Polski. Zmniejszyli nam przez to racje. Byłem wtedy przewodniczącym Komisji Przestrzegania Prawa i Porządku Publicznego i zasiadałem w prezydium Rady Urzędu Miasta. Wiedziałem, że nasze obcięte racje przekazywane były na Śląsk, do Warszawy, ponieważ władza bała się robotników. Mój artykuł o stanie wojennym, w którym to opisałem, wywołał duże zdziwienie wśród Niemców. Przeprowadzali ze mną wywiady i pytali dlaczego tak napisałem. Nigdy nie



Stuchacze Polsko – Niemieckiej Akademii Seniorów

podejmowałem pracy w Niemczech, ponieważ uważałem to za karę. Często nas wywożono na przymusowe prace, bez pieniędzy. Dlatego uważałem, że praca w Niemczech jest niegodna prawdziwego Polaka. Właśnie to strasznie ubodło Niemców. Przyjeżdżali z Berlina, żeby ze mną porozmawiać. Było to w roku 1993. Teraz zastanawiam się, skąd miałem tyle odwagi, aby tak napisać.

Artykuły, które my chętnie kupowaliśmy w Niemczech, wcale nie były lepsze od naszych. Ale były ładniej opakowane, i bardziej interesujące, bo z zagranicy. Pamiętam jeden przypadek. Kiedy pracowałem w marynarce handlowej w Świnoujściu, Niemcy mieli w Kanale Kilońskim sklep i tam drogą radiową zamawiało się produkty. Gdy dopływaliśmy, podchodziła pilotówka i lądowała towar na statek. Często dostawało się wtedy jakieś drobiazgi, jakiś produkt gratis. Gdy przywoziłem to wszystko do Polski, wszyscy uważali mnie za milionera, bo miałem takie piękne rzeczy. U nas tego nie było, a przecież to były tylko banalne przedmioty.

Mimo że doznałem w życiu wiele krzywd, nie mam żalu. Nadrabiałem je wiedzą i potrafię usprawiedliwić krzywdzącego. Zawsze stawiam się w jego sytuacji i zastanawiam się, co ja bym zrobił na jego miejscu. Kiedyś, gdy byłem przewodnikiem na wycieczce w Sądowie, jakiś starszy pan, typowy Niemiec, strasznie narzekał na całą sytuację. Powiedział, że kiedyś był tam zamek, a teraz

został zniszczony. Pod nosem mrucał „Cholerni Polacy” („Verfluchte Polacken”). Nie wytrzymałem i powiedziałem do całej grupy: „Trudno, ale muszę zwrócić Panu uwagę, że to nie nasza wina, że to jest popsute. To wasza wina. Gdybyście nie wywołali pierwszej i drugiej wojny światowej, ja mieszkałbym w Warszawie, a wy tutaj, w Sądowie, w pałacu. To wasza wina i bardzo sobie wypraszam oskarżenia Polaków, bo to nie jest ani ładne, ani zgodne z prawdą!”

Ja Niemców lubię, szanuję, ale nie Kocham. Dlatego na początku bardzo nie podobał mi się tytuł książki Krzysztofa Wojciechowskiego „Moi kochani Niemcy”. Gdy jednak przeczytałem książkę i przedyskutowałem wszystko z panem Czarnuchem, zacząłem rozumieć, że ten tytuł całkowicie pasuje. Ja jestem świnia, ale świnia kulturalna, wnikliwie wszystko obserwuję.

Uważam, że współpraca polsko-niemiecka jest oparta na partnerstwie. Mówię szczerze, że na przykład nie mogę iść z nimi do Niemiec na piwo, ponieważ mnie na to nie stać. Nie mogę kupić sobie piwa za trzy euro, ponieważ moja emerytura mi na to nie pozwala. Im się to bardzo podoba. O nic nie proszę, chyba, że dla innych, ponieważ zaopatruję grupę biednych byłych pracowników PGR-u, którzy często mają problemy ze wzrokiem. Dostają bardzo skromne zasiłki. Na całą sześciuosobową rodzinę mają mniej pieniędzy niż ja. Ta moja pomoc bardzo się Niemcom podoba. Uważam, że partnerstwo trzeba umieć ustawić. Druga strona nie może odczuć, że ja jestem biedniejszy, czy głupszy. Prawdziwe partnerstwo jest wtedy, kiedy dwie strony są sobie równe.

Henryk Rączkowski

Lekcja miłości

Życie się zmienia, wszystko jest teraz inne. W dzisiejszych czasach jest dużo łatwiej. Pamiętam czasy, kiedy nawet gazety nie można było kupić. Dzisiaj mogę powiedzieć, że dobrobyt jest ważny i pomaga nam żyć. Ale najważniejsza w życiu jest prawdziwa miłość. Bez tego nie ma nic. Można żyć skromnie, można mieć w życiu niewiele, ale jednego w życiu nie może zabraknąć – prawdziwej miłości. Prawdziwa miłość nigdy nie zawiedzie. Wiem, że nie ma ideałów na świecie. Z perspektywy przeżytych lat mogę jednak stwierdzić, że spotkało mnie wielkie szczęście i trafiłam na odpowiedniego człowieka. Między mną a mężem nigdy nie było poważnych konfliktów.



Złote Gody, rok 2000

Zenobiusz zmarł 28 listopada 2006 roku, gdy miał 85 lat. Mąż bardzo długo chorował na płuca. Przeżyliśmy razem prawie 57 lat. Wychowaliśmy dwóch synów. Doczekaliśmy się trojga wnucząt i dwojga prawnucząt.

Justyna Majchrzak

Zawsze powtarzałam, że chociaż pracuję w banku, pozostała mi słabość do leśników. Mariana Szatkowskiego znałam jeszcze z czasów, kiedy byłam uczennicą w Mojej Woli. Pracował wtedy w ministerstwie i był w naszym technikum na uroczystym nadaniu szkole imienia Bolesława Bieruta. Pamiętam go jako młodego, przystojnego mężczyznę. W latach 80-tych nasza znajomość zaczęła się rozwijać. Marian był emerytowanym dyrektorem technikum w Staroście i wdowcem od dziesięciu lat. Ślub wzięliśmy 16 kwietnia 1988 roku, chociaż po rozwodzie zarzekałam się, że już nigdy nie wyjdę za mąż. Marian po prostu mnie zauroczył. I jeszcze ten mundur. A poza tym, dyrektorowi się nie odmawia. To był wspaniały, zacny człowiek. Pedantyczny, poukładany. Miał troje dzieci z pierwszego związku, córkę i dwóch synów, z którymi od razu nawiązałam serdeczny kontakt. Kiedy wychodziłam z domu, mąż zawsze pytał: „Janinka, kiedy wrócisz?” A córka męża śmiała się i mówiła: „Ty będziesz długo młoda, bo tata traktuje cię jak uczennicę.”

Nasze wspólne życie układało się wspaniale. Ciężko było, kiedy mąż zachorował na Alzheimera. Ta choroba jest bardzo uciążliwa, ale Marian zasłużył sobie na najlepszą opiekę. Wszystkim powtarzałam, że w tym ciężkim okresie procentowała jego inteligencja. Ludzie chorzy potrafią być okrutni, ale on nawet wtedy był wspaniały. Wiem z własnego doświadczenia, że choroba nie dotyka pacjenta, ale jego bliskich.

Kiedyś miała nas odwiedzić Hania, córka męża. Marian cały dzień cieszył się i czekał. Kiedy przyjechała, był bardzo szczęśliwy. Następnego dnia rano zapytał mnie: „Co ten chłopak tu robi?” Hania jest szczupłą osobą, ma krótkie włosy i lubi nosić spodnie. Powiedziałam do męża: „To Hania, twoja córka.” A on na to: „Hanka, niemożliwe. Ty myślisz, że ja nie poznałbym Hanki.” Innym razem spojrzął na mnie i zapytał: „Pani doktor, jak się pani nazywa?” Odpowiedziałam mu: „Nazywam się Szatkowska.” On popatrzył na mnie i powiedział z niedowierzaniem: „Szatkowska? To my może jesteście z jednej rodziny?” A ja mu na to: „Tak, jestem twoją żoną.” Spojrzął uważnie i powiedział: „Niemożliwe!” Zdarzały się takie dni, kiedy trzeba było pielęgnować go jak małe dziecko. Rano, kiedy umysł męża lepiej pracował, przypominał sobie, co działo się poprzedniego dnia i często mówił do mnie: „Janinka, idź i podziękuj panu doktorowi, że przydzielił



Z drugim mężem Marianem Szatkowskim

mi taką wspaniałą higienistkę.” Zdarzało się, że mąż wychodził z domu, kiedy nie zauważyłam. Wybiegałam z mieszkania i szukałam go. Pewnej nocy wyszedł niezauważony. Odnalazłam go na ulicy Jedności Robotniczej. Ucieszył się i powiedział: „Janinka, bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Mam coś dla ciebie.” Wyciągnął z kieszeni budzik, który wziął z mieszkania i dał mi. Wszystkie dzieci, męża i moje, pomagały w opiece nad chorym. Mariana nie można było zostawić w domu samego. Kiedy musiałam wyjść lub wyjechać, wyręczały mnie dzieci.

85-te urodziny męża obchodziliśmy hucznie na wyspie w Staroście. To wspaniałe miejsce do biesiadowania. Jest tam zadaszenie i miejsce na ognisko. A wokoło dużo zieleni. Zjechała się cała rodzina, było wspaniałe przyjęcie. Dwa lata później, 5 października 2001 roku, mąż zmarł. Chorował około pięciu lat. Do końca życia był aktywny. W łóżku leżał trzy tygodnie przed śmiercią, kiedy był w szpitalu.

Janina Szatkowska

Moi rodzice byli i są dla mnie wzorem idealnego małżeństwa. Nigdy nie widziałam, żeby się kłócili. W naszym rodzinnym domu nigdy nie było awantur. Nie przypominam sobie sytuacji, żeby mama i tato pokłócili się przy dzieciach. W domu była miłość, szacunek i zgoda, chociaż żyliśmy skromnie i zwyczajnie. Gdy byłam dzieckiem, myślałam, że tak żyją wszyscy ludzie. Dopiero



Moja mama na spotkaniu w Klubie Seniora

później przejrzałam na oczy. Okazało się, że przez wiele lat żyłam w błogiej nieświadomości. Potem wyszłam za mąż, prowadziłam własny dom i pracowałam. Spotkałam w swoim życiu różnych ludzi. Miałam okazję zobaczyć, jak jest w innych małżeństwach. Byłam przerażona. Nie mogłam zrozumieć, że ludzie, którzy tworzą rodzinę, mogą się kłócić, wyzywać, ubliżać sobie nawzajem. Zdałam sobie wtedy sprawę, że miałam szczęście wyrastać w cudownym domu, pełnym szacunku i miłości.

Mój tatuś zmarł w 1975 roku, gdy miał 79 lat. Moja mamusia natomiast dożyła sędziwego wieku. Zmarła w 1992, przeżywszy 92 lata. Do końca życia była sprawna i radziła sobie z codziennymi sprawami. Oboje pochowani są na cmentarzu w Górzycy.

Zofia Markowska

Lekcja odwagi

Pewnego dnia zobaczyłyśmy, że w Chorzowie zdejmują kierunkowskazy na Katowice oraz napisy na tramwajach. Wszędzie zmieniano nazwę „Katowice” na „Stalinogród”. To było nas ogromny szok. Odtąd nasze ukochane Katowice miały nazywać się Stalinogród. Tak głęboko wierzyliśmy, że po śmierci Stalina coś się zmieni... Okazało się jednak, że Stalin nawet po śmierci jest w stanie wiele zdziałać.

Wstrząsnęła mną zwłaszcza jedna sytuacja. Jechałyśmy z Basią, Ewą i Zosią tramwajem, który prowadziła bardzo brzydka i równie niemiła konduktorka. Na jednym z przystanków do tramwaju wsiadła biedna starowinka. Ledwie weszła na stopnie. Poprosiła o bilet do Katowic, na co konduktorka odburknęła jej, że taka miejscowość nie istnieje. Gdy zobaczyłyśmy tę sytuację, powiedziałyśmy sobie cicho: „Już my wam pokażemy”. Wybiegłyśmy z tramwaju i ruszyłyśmy w kierunku domu. Zamknęłyśmy się w moim pokoju i na kartkach papieru wyciętych ze zwyczajnego zeszytu zaczęłyśmy pisać: „Precz ze Stalinogrodem!”, „Katowice muszą być Katowicami!”, „Stalinogród – nie!” Powypisywałyśmy mnóstwo różnych haseł i z przygotowanymi kartkami pobiegłyśmy do tramwaju. Wszystkie ulotki rozsypałyśmy na podłodze. Widziałam, że ludzie niepewnie podnosili kartki, czytali i chowali je w kieszeniach. Dorośli zdawali sobie sprawę z tego, czym to grozi. Wiedzieli o przepełnionych więzieniach, o tym, za co siedzieli tam ludzie.

Biuro UB w Chorzowie mieściło się w dużym budynku na rogu przy ulicy Dąbrowskiego. W czasie wojny swoją siedzibę miało tam SS. Tam przesłuchiwana była moja ciocia. Wtedy nawet nie myślałam o tym, że i mnie mogą rzucić tam losy. Nieraz zwracaliśmy uwagę na funkcjonariuszy UB. To była elita,



Ewa Mecner, Basia Galas, Zosia Klimonda w towarzystwie kolegów

wyższa klasa. Nosili czarne, skórzane płaszcze, jeździli czarnymi wołgami. Taki samochód to był wtedy rarytas, marzenie. Nieraz widzieliśmy ludzi przywożonych tymi samochodami do UB. Słyszałyśmy, że kogoś zabrali, ale nie wiedzieliśmy nic o losach tych, którzy tam trafili.

Na akcji w tramwaju nie skończyła się nasza przygoda z ulotkami. Mama mojej koleżanki Basi była kierowniczką restauracji, w której w jednym kącie znajdowały się stoliki nakryte białymi obrusami. Zawsze stały na nich przygotowane talerze i serwetki. To były miejsca przygotowane dla funkcjonariuszy UB. Nieraz zaglądałyśmy do tej restauracji i wiedziałyśmy, że tam siedzą ubecy. Pewnego razu pod serwetki na ich stolikach powkładałyśmy ulotki. To była dziecinada, ale wtedy naprawdę wierzyłyśmy, że dzięki naszym działaniom, przywrócą nazwę Katowice. Potem wkładałyśmy ulotki do skrzynek pocztowych należących do milicjantów. Oprócz tego pisałyśmy na murach różne hasła. Jeździłyśmy po pobliskich miastach i protestowałyśmy przeciw zmianie nazwy. Liczyłyśmy na to, że ktoś w końcu zareaguje na nasz apel.

Inga i Ewa Mecner pracowały wtedy w urzędzie miejskim. Ewa napisała nam kilka rzeczy, ponieważ miała dostęp do maszyny do pisania. Nie musiałyśmy wszystkiego pisać ręcznie. O wszystkim dowiedziała się jednak mama Ewy. Była przerażona, że wszystkie możemy trafić za to do więzienia. Ewa powiedziała nam, że nie może nam dalej pomagać, bo ktoś mógłby to odkryć. Wycofała się z pisania, ale wiedziała o nas wszystko.

Tata Zosi pracował w kopalni i miał w domu wypożyczoną maszynę do pisania. Wykorzystywałyśmy ją i pisałyśmy ulotki na kartkach od zeszytu. Czasem robiłyśmy to u Basi, czasem u Zosi, czasem u mnie, nieraz pomagała nam Ewa. Niestety, praca na maszynie szła nam powoli, a my potrzebowaliśmy dużo

ulotek. Pewnego dnia Basia przypomniała sobie, że jej młodszy brat ma zabawkową drukarenkę. Postanowiłyśmy wykorzystać odkryty sprzęt. W drukarence brakowało kilku czcionek. Same je dorysowywałyśmy. Malowałyśmy kredą, farbami, atramentem. W końcu dziecięca drukarnia przestała nam wystarczać. Otrzymywałyśmy wtedy niewielkie kieszonkowe. Złożyłyśmy się z dziewczętami i kupiłyśmy małą drukarenkę.

Pewnego razu wstałyśmy z Basią o czwartej rano. U Basi był remont w domu i dzięki temu miała białą farbę. Farba lepiej nadawała się do pisania na murach, ponieważ kredę ścierano z nich bardzo szybko. Wiedziałyśmy, że farbę trzeba dłużej zmywać. Liczyłyśmy, że może w końcu górnicy i inni ludzie zauważą te napisy, że może ktoś w końcu się ocknie. Na hucie „Weldon” i na „Hajdukach” napisałyśmy „Precz ze Stalinogrodem”. Na szarym dużym papierze wypisałyśmy duże hasła i rozklejałyśmy te plakaty na murach i słupach. Dwa arkusze przybiłyśmy nawet na drzwiach ubeków. W ich mieszkaniach było cicho. Nie byłyśmy jednak pewne, czy nikt nas nie widzi. Pod ich domami rozsypałyśmy ulotki, a potem stanęłyśmy w ukryciu i czekałyśmy na to, co się wydarzy. Podjechał samochód, z którego wysiadło kilku mężczyzn. W błyskawicznym tempie zbierali ulotki.

To wszystko nie trwało długo. Cała nasza akcja zaczęła się około 7 marca, a już 18 marca znalazłam się na UB. Dopiero tam dojrzałam i zrozumiałam, czym tak naprawdę jest komunizm.

Natalia Piekarska – Poneta

Przebywając w okopach strasznie płakałam. Martwiłam się o rodziców, przede wszystkim o ojca, ponieważ nie wiedziałam, dokąd go zabrali. Samej było mi bardzo źle. Przychodził do nas starszy oficer. Patrzył na mnie i pytał: „Dlaczego ty ciągle płaczesz?” Opowiedziałam mu swoją historię, wszystko po kolei. Powiedział, że mogę jechać z żołnierzami do Guben, kiedy będą wieźli obiad dla wojska i zabrać trochę rzeczy z domu. Grisza chciał również pojechać. Dotarliśmy z żołnierzami do Guben. Żeby znaleźć się w domu, musieliśmy przejść przez most nad Nysą. Rzeka dzieliła miasto na dwie części. Na moście stała straż. Gdy nas zobaczyli, spytali Niemca, który jechał z nami, kim jesteśmy. On odpowiedział, że pochodzimy z Ukrainy. Poinformował strażników, że po drugiej stronie rzeki mieszkają nasi rodzice, a my chcemy zabrać z domu trochę rzeczy. Jednak strażnicy nie chcieli nas puścić. Powiedzieli: „Trzeba iść na komendę. Jeżeli tam dostaniecie zgodę, będziemy mogli was puścić.” Komendant nie chciał się zgodzić. Powiedział, że potrzebne rzeczy możemy znaleźć na ulicy. Wróciliśmy nocą, oglądając płonące ulice Guben.



Grisza Mazuk, kolega z czasów wojennych

Postanowiłam wybrać się jeszcze raz. Ale tym razem chciałam iść sama. Założyłam znalezione spodnie i płaszcz. Zapytałam Niemców, którzy wieźli obiad na front, czy mogą z nimi jechać. Zgodzili się, więc pojechałam. Ponownie musiałam spróbować przejść przez most. Modliłam się: „Panie Boże spraw, żeby Niemcy oślepli i mnie nie zauważyli”. Kiedy byliśmy już blisko Guben, zaczął padać gęsty śnieg. Złapałam konia z przodu za uzdę i udawałam żołnierza. Bez problemu przejechaliśmy przez most. Pomyślałam wtedy: „Już jestem w domu”. Podziękowałam żołnierzom i powiedziałam, że idę do domu. Zapytali mnie: „W którym miejscu będziesz na nas czekać?” Powiedziałam, że w miejscu, w którym się rozstajemy. Po cichutku, żeby nikt mnie nie zobaczył, szłam w kierunku domu. Ale nie wiedziałam, co tam zastanę. Nie wiedziałam, czy moja mama tam jest, czy w ogóle jeszcze żyje. Gdy byłam blisko domu, zobaczyłam mamę na podwórzu. Krzyknęłam: „Mamo!” Mama nie wiedziała co się dzieje, myślała, że to jakaś zjawa. Po chwili do niej dotarło, że to ja. Popłakałyśmy się wtedy. Mama spytała: „Gdzie jest ojciec?” Ale ja nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Weszliśmy do domu i schowaliśmy się w piwnicy. Bałam się, że Niemcy mnie znajdą. Na drugi dzień niemieccy żołnierze chodzili po domach. Kazali wszystkim cywilom spakować się w ciągu piętnastu minut i szykować do drogi. Zabrałyśmy tyle rzeczy, ile zdołałyśmy.

Zenobia Juraszek

Wkrótce powstała organizacja „Powszechna Służba Polsce” i ona przyciągała do siebie młodzież. Zaczęto budować w Polsce Nową Hutę. Szukałem akurat jakiejś roboty i zostałem zaangażowany do tej budowy. Pracowałem tam jako stolarz. Byłem aktywnym działaczem.

W 1950 roku, kiedy przyjechała do huty delegacja, znowu usłyszałem język niemiecki. Zdenerwowałem się i przypomniałem sobie słowa Mikołaja Reja: „Jak świat światem Niemiec nie będzie Polakowi bratem.” Wtedy, będąc w szoku i stojąc w pierwszym rzędzie dla zasłużonych, wykrzyczałem to przed trybuną. Zamknęli mnie w Krakowie w Urzędzie Bezpieczeństwa. Moi przełożeni zrozumieli moją złość i wówczas, aby sprawa ucichła, wywieźli mnie do Szkoły Morskiej do Tczewa, 500 kilometrów od Krakowa.

Dostałem się do marynarki wojennej i tak zaczął się mój żywot z Niemcami. Zacząłem się uczyć języka niemieckiego i obowiązkowego dla marynarzy języka angielskiego. Mój nauczyciel niemieckiego powiedział mi, że jeśli chcę się pozbyć całego ciężaru z czasów wojny, balastu przeszłości, to muszę nauczyć się



Na przepustce, Gdynia – Oliwa, 1959 rok

języka swojego wroga. Wówczas zmienię swój stosunek. Był to bardzo mądry człowiek. Potem niestety wyjechał i nasze kontakty się urwały.

Uczyliśmy się niemieckiego intensywnie, nieraz całymi nocami. Później zacząłem czytać literaturę niemiecką, rozpoznawać antyfaszystów. Dowiedziałem się, że w Niemczech są też ludzie tacy jak my, którzy słuchają muzyki.

Byliśmy dorośli, zrozumieliśmy więc politykę. Dzisiaj jestem człowiekiem międzynarodalnym, pozbawionym cech narodowościowych, czy wyznaniowych. Często wspominam i chętnie opowiadam historię mojej nauki języka niemieckiego.

Henryk Rączkowski



JESTEM SZCZĘŚLIWA BABCIA
DLA MOJEGO CUDOWNEGO HNUKA
MARZĘ O LATANIU W PRZESINORZAKU
NINA KĘDZIŃSKA

Rozdział VIII

Moje życie z MY LIFE

Czy wiesz coś o swoim pradziadku? Prawdopodobnie znasz tylko jego nazwisko. A może nawet i nie...

Czy chcesz, by Twoje prawnuki wiedziały o Tobie więcej?

MY LIFE to idea skierowana do wszystkich, którzy chcą zachować pamięć o swoich przodkach. Tu, na Ziemi, żyjemy bowiem tak długo, jak długo pamiętają o nas inni. MY LIFE jest wspólnym projektem polskiej Fundacji na rzecz Collegium Polonicum w Słubicach i niemieckiego stowarzyszenia MY LIFE - Historia Opowiedziana we Frankfurcie nad Odrą. Program szerzy kulturę opowiadania i refleksji nad własnym życiem, zwraca uwagę ludzi na ich własne biografie oraz na biografie innych, przyczynia się do zgłębiania historii kultury i życia codziennego.

Aby ocalić historie życia, spisane życiorysy gromadzone są w Archiwum Ludzkich Losów. Jest to miejsce, gdzie zatrzymał się czas... Tu na półkach, w oddzielnych kasetkach spoczywają mikrokosmosy ludzkich istnień...

Projekt Biografé

Tytuł projektu nawiązuje do nazwy cafeterii, w której odbywało się większość działań – wieczorki z cyklu "Twórczy senior" i "Wieczór z biografią". W spotkaniach, które cieszyły się dużym powodzeniem, uczestniczyli seniorzy z województwa lubuskiego. Celem przedsięwzięcia była przede wszystkim integracja różnych wiekowo grup. Autorzy projektu umożliwili seniorom spotkanie się z młodzieżą, a także branie czynnego udziału w życiu kulturalnym i społecznym regionu.

W ramach projektu organizowane były szkolenia z zakresu obsługi komputera i Internetu oraz warsztaty fotograficzne, których podsumowaniem była wystawa prac "Moje życie codzienne". Seniorzy nauczyli się również samodzielnie umieszczać biografie na portalu internetowym. Przeprowadzonych zostało kolejnych 30 wywiadów, które zostały zredagowane i wydane w postaci pięknych albumów. Życiorysy wydano w dwóch egzemplarzach. Jeden znajduje się w Archiwum Ludzkich Losów, drugi trafił do rąk respondenta.



Warsztat fotograficzny

Kawiarnia opowiadań

Jedną z inicjatyw projektu "Biografie" było otwarcie kawiarni opowiadań. Kawiarnia stała się miejscem wspólnych spotkań, które integrują pokolenia. Do tej pory nie było w regionie instytucji kulturalnej, która skupiałaby różne wiekowo grupy.

Uroczyste otwarcie kawiarni opowiadań odbyło się 23 listopada 2006 roku. Kawiarnia powstała w miejscu byłej księgarni Collegium Polonicum. Teraz, w odmienionej formie, służy młodym ludziom i seniorom. Kawiarnio-księgarnia stała się miejscem nietuzinkowym. Można tu przyjść, wypić świetną kawę, zjeść ciasto oraz kupić prasę i książki. Oferta książkowa skierowana jest przede wszystkim do studentów, ale znajdują się tu również publikacje dotyczące miasta, albumy, powieści współczesne. Właścicielka lokalu jest otwarta na pomysły studentów i seniorów.

W ramach projektu "Biografie" zorganizowaliśmy pięć wieczorków dla seniorów. 18 grudnia 2006 roku seniorzy spotkali się na wieczorku "Twórczy senior", podczas którego wystąpił chór Consonans. W czasie spotkania można było podziwiać wystawę „Moje życie codzienne”. 29 stycznia odbyło się karnawałowe szaleństwo "W rytmie starych melodii". Swoje umiejętności prezentowali młodzi tancerze, którzy prosili też seniorów do tańca.



W kawiarni

5 marca seniorzy wspaniale bawili się podczas wieczoru z biografią "Do zakochania jeden krok". Otrzymali upominki przygotowane przez dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Słubicach i wysłuchali minirecitalu zespołu Rytmos. 24 kwietnia odbył się wieczorek zatytułowany „Malowane igłą i kolorowymi niciami”. Prace ręczne wykonane przez uczestników projektu, malowane obrazy i wyrafinowane robótki ręczne, wystawione były na sztalugach. Całość uświetnił pokaz mody, podczas którego zobaczyliśmy grupę „Złote serca” z Frankfurtu. Modelki zaprezentowały kolekcję sprzed lat. 5 czerwca uczestnicy projektu zorganizowali wieczorek z cyklu „Twórczy senior”, zatytułowany „Wesołe jest życie staruszka”. Podczas spotkania usłyszeliśmy humorystyczne wiersze z morałem, zaprezentowane przez nasze respondentki. Odbyła się również loteria fantowa. Pomyśl zorganizowania loterii wyszedł od seniorów, którzy przynieśli do nas nagrody. Tym razem chcieliśmy zaskoczyć naszych gości. Podczas spotkania każda chętna osoba mogła zaśpiewać ulubiony utwór z pomocą programu karaoke.

Umieję słuchać

Moja przygoda z MY LIFE rozpoczęła się przypadkowo. Kiedy pracowałam w WSS-ach poznałam pana Henryka Rączkowskiego. Obecnie należę do Związku Emerytów i Rencistów. Często na różnych uroczystościach recytowałam napisane przez siebie wiersze. Henryk Rączkowski należy do różnych organizacji. Spotykaliśmy się często przy okazji organizowania imprez okolicznościowych. Któregoś dnia powiedział: „Danusiu, przyjdź do Collegium Polonicum, kiedy będę dyżurował.” Kiedy przyszłam, powiedział: „Mam coś dla ciebie. W Fundacji na rzecz Collegium Polonicum pracuje pewna pani, która przeprowadza wywiady z seniorami.” zaproponował, żebym się skontaktowała z tą osobą. Pomyślałam, że chyba lepiej będzie, jeżeli ta pani skontaktuje się ze mną. Henryk powiedział wtedy: „Daj mi numer swojego telefonu, a ja spróbuję was umówić.” Zadzwoił do mnie w czerwcu i zaprosił na wieczorek dla seniorów. Bardzo się ucieszyłam. Do uczestnictwa w wieczorkach namawiały mnie też koleżanki, które od początku uczestniczyły w spotkaniach.

Te spotkania są wspaniałe. Możemy się tutaj pobawić i porozmawiać. Szczególnie spodobał mi się ostatni wieczorek. Podczas spotkania mieliśmy okazję potańczyć w rytmie starych szlagierów. Bardzo podoba mi się to, że młodzi ludzie potrafią zorganizować czas seniorom. Na uznanie zasługuje fakt, że oni mają ochotę wysłuchać naszych opowieści. Cieszę się, że mój życiorys został wydrukowany. Będę mogła pokazać go swoim bliskim.

Danuta Drozdowska

Prawda w najczystszej postaci

Moje aktywne działania na rzecz seniorów rozpoczęły się w 2000 roku. Wtedy też zostałem członkiem klubu Świadkowie Czasu, który działał przy Radzie Seniorów we Frankfurcie nad Odrą. Pewnego dnia członkowie klubu spotkali się z Krzysztofem Wojciechowskim. Długo dyskutowaliśmy o działaniach skierowanych do najstarszych mieszkańców regionu. Zainteresował mnie ten temat. Zwerbowałem kilku Niemców i przyszliśmy na kolejne spotkanie. Tak to się zaczęło. Zacząłem współpracować z Fundacją i powstałym w 2004 roku Stowarzyszeniem MY LIFE. Bardzo zainteresował mnie cel działań MY LIFE. Wstąpiłem w szeregi stowarzyszenia i jestem jego członkiem do dziś.

Wywiad ze mną był jednym z pierwszych. Przyszedłem do pana Krzysztofa Wojciechowskiego. Nagranie trwało kilka godzin. Opowiedziane historie życia to coś prawdziwego, coś co każdy z nas przeżywa po swojemu. To jest bardzo wartościowe. Surowy materiał jest wyzwaniem. Jest prawdą w najczystszej postaci. To wartość dla potomnych, która zostaje na wieki. Podoba mi się, że tutaj buduje się prawdziwy most między pokoleniami. Często jest tak, że rodzina nie chce, nie ma czasu wysłuchać opowieści babci lub dziadka. Młodym



ludziom często wydaje się, że jeżeli dziadkowie coś opowiadają, niekoniecznie jest to prawdą. Pracownicy Fundacji starają się zmienić takie nastawienie i jednocześnie wyjść naprzeciw potrzebom osób starszych. A dla starszych osób to wielka przyjemność, jeżeli ktoś chce wysłuchać historii ich życia.

Bardzo istotne jest to, że działalność Fundacji i Stowarzyszenia nie skupia się tylko na spisywaniu życiorysów. Wszelkie spotkania, kursy i szkolenia, organizowane w ramach projektów, wpływają bardzo korzystnie na seniorów. Pomagają im nawiązać kontakty, uczą nowych rzeczy, podnoszą kwalifikacje i samoocenę. Dzięki tym działaniom ludzie nie zamykają się w domu.

Bardzo staram się włączać we wszystkie działania proponowane przez MY LIFE. Sprawia mi to wielką przyjemność. Mam wielu znajomych, więc bez trudu znajduję chętnych do wywiadów biograficznych. Żałuję tylko, że stan mojego zdrowia nie pozwala mi bardziej rozwinąć skrzydeł.

Henryk Rączkowski

Żyć aktywnie i cieszyć się chwilą

Uczestniczę w projekcie „Biografie” od samego początku. Od Henryka Rączkowskiego dowiedziałam się o warsztacie fotograficznym, w którym z przyjemnością wzięłam udział. Pani Ania, która prowadziła warsztaty, przekazała nam dużo praktycznych wskazówek. Na przykładach pokazała, w jaki sposób zrobić dobre zdjęcie. Potem, kiedy sama fotografowałam, te wskazówki bardzo mi pomogły.

Cieszę się, że Fundacja realizuje projekty skierowane do seniorów. Dzięki takim działaniom nasze życie jest dużo ciekawsze. Spotkania, warsztaty, kursy – to wszystko sprawiło, że mieliśmy motywację i cel. Wieczorki tematyczne były wspaniałe. Bawiliśmy się na nich znakomicie. Wszystko było zawsze dobrze przygotowane. Cieszę się bardzo, że powstała taka kawiarnia, miejsce naszych spotkań. Przyzwyczailiśmy się do niej i chętnie przychodzimy tutaj w wolnym czasie.

Nie jestem osobą, która spędza czas przed telewizorem oglądając seriale. Staram się żyć aktywnie i cieszyć każdą chwilą. Dla mnie takie projekty to nowe pomysły na zagospodarowanie czasu.

Fascynuje mnie spisywanie biografii mieszkańców regionu. To jest wspaniała inicjatywa. Historia mojego życia została spisana, wydrukowana i pięknie oprawiona. Najważniejsze jest dla mnie to, że moją biografię może przeczytać każda osoba z rodziny. Cieszę się, że mam taki skarb. Kiedy moja córka



Wieczorek taneczny w kawiarni

przeżyła życiorys, powiedziała: „Mamo, ja to wszystko wiem. Ale dobrze, że masz to spisane. Bo gdybym zapomniała...”

Jestem dumna z tego, że w naszym mieście jest Collegium Polonicum. Dzięki temu my, mieszkańcy, możemy z tego dobrodziejstwa korzystać. Bardzo się cieszę również z tego, że mieszkam przy granicy. Jestem słuchaczką Polsko – Niemieckiej Akademii Seniorów, a bliskość granicy sprawia, że możemy się spotykać.

Janina Szatkowska



Publikacja została wydana na zlecenie Fundacji na rzecz Collegium Polonicum
ul. Kościuszki 1, 69-100 Słubice, www.fundacjap.org

Publikacja powstała w ramach projektu „Biografie”,
finansowanego przez rządowy program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich

ISBN: 978-83-923762-2-4